WIADOMOŚCI BOCHEŃSKIE

KWARTALNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY
STOWARZYSZENIA BOCHNIAKÓW
I MIŁOŚNIKÓW ZIEMI BOCHEŃSKIEJ

ISSN 1426-195
ROK XXI nr 2 (89)
lato 2011
Cena: 4 zł

fot. Paweł Klasa

Stanisław Kobiela

Spacer szlakiem bocheńskich zagadek historycznych

Sal durum in Bochnia repertum est, quod nunquam ante fuit
Odnaleziono w Bochni sól twardą, której nigdy przedtem nie było.
Zapiska w Roczniku Kapituły Krakowskiej z 1251 roku

W każdym mieście możemy odnaleźć niepowtarzalny nastrój i klimat. Składają się na to różne czynniki, a najczęściej: historia, tradycje i zabytki oraz ludzie, którzy w nim żyją, a także ci, których już nie ma, ale pozostawili po sobie jakiś trwały ślad. Może to być zabytkowy, od wieków niezmieniony układ urbanistyczny z jego prawidłowościami jak i anomaliami, zadbane elewacje rynkowych kamieniczek ze stylowymi szyldami i witrynami sklepów, albo urok jakiegoś detalu, a więc stare latarnie, oryginalne fontanny, fragmenty bruku pamiętającego dawne stulecia.

W tym roku mija 760 lat od pierwszej pisemnej informacji o odkryciu w Bochni soli kamiennej. Dwa lata po tym odkryciu powstało miasto Bochnia lokowane na prawie magdeburskim. Z okazji tej ważnej rocznicy warto zastanowić się jak dzisiaj widzimy nasze miasto, co z tym miastem nas łączy, czy czujemy się w nim dobrze, czy sprawy miasta są nam bliskie, czy zdajemy sobie sprawę z tego, że mamy do czynienia z wielowiekowym dziedzictwem kulturowym i piękną kartą patriotycznej aktywności jego mieszkańców. Tylko takie spojrzenie na nasze miasto gwarantować będzie harmonijny jego rozwój w zgodzie z jego charakterem, klimatem i jego zabytkami.

Rozpoczynając wakacyjny, nieco wirtualny spacer po Bochni spróbujmy wniknąć w istotę i charakter tego miasta, wyłowić jego urok i to co w nim jest najpiękniejsze, rozwikłać jego tajemnice i zagadki, a może podjąć próbę porównania go z innymi miastami, aby odnaleźć podobieństwa i różnice i to, co dzisiaj wydaje się nam mało dostrzegalne, a może całkiem niewidoczne. Taki intelektualny rekonesans może przyczynić się do ciekawszego sformułowania oferty promocyjnej Bochni, do przyciągnięcia do naszego miasta rzesz turystów, spragnionych niebanalnej artystyczno-metafizycznej przygody. Co może nas w Bochni dzisiaj zachwycać, z czego możemy być dumni, a co powinniśmy jeszcze poprawić?

Legenda o cudownym pierścieniu Kingi

Bardzo silnym i przemawiającym do wyobraźni turystów akcentem w promocji miast są legendy z nimi związane, zwłaszcza jeśli wyłaniają się z czasów prehistorycznych albo z mroków średniowiecza. Kraków ma swoje legendy o smoku wawelskim, o Krakusie i o Wandzie co nie chciała Niemca.

Z odkryciem pokładów soli kamiennej w Bochni związana jest jedna z najpiękniejszych legend średniowiecznych, a mianowicie legenda o cudownym pierścieniu księżnej Kingi. Jest ona dla nas tym cenniejsza dlatego, że znano ją już w średniowieczu, że wymieniona jest w niej Bochnia, a więc miejsce gdzie ten pierścień w cudowny sposób w krysztale solnym

Szyb Sutoris (Szewczy) w Bochni związany z legendą o cudownym pierścieniu księżnej Kingi. Fot. Paweł Klasa

Polichromia Piotra Korneckiego z 1769 roku w kościele p.w. Św, Mikołaja w Bochni - scena wrzucenia pierścienia do kopalni w Marmaroszu. Fot. S. Kobiela

przywędrował, pokonując podziemną trasę z węgierskiej kopalni soli w Marmaroszu w Siedmiogrodzie. Jest ogród szewca pełny kwitnących róż, w którym na polecenie młodziutkiej Kingi ten pierścień wydobyto z kryształu soli, a dzisiaj w tym miejscu stoi szyb Szewczy (*Sutoris*).

Nie znalazła się ta legenda w słynnym zbiorze średniowiecznych legend arcybiskupa Genui Jakuba de Voragine (1238-1298) „Złota legenda" (*Legenda Aurea*), ale tylko dlatego, że kiedy ten zbiór żywotów świętych, legend hagiograficznych i opowiadań apokryficznych powstawał księżna Kinga jeszcze żyła. Legenda opisana została w latach 1317-1320, potem w żywocie Kingi z 1401 r. *Vita et miracula sanctae Kyngae ducissae* Cracoviensis[1], a później w dziele Jana Długosza *Vita beatae Kunegundis*. W następnych wiekach legenda ulegała pewnym zniekształceniom. Ikonograficznym przedstawieniem tej legendy jest piękny fresk nad kaplicą Matki Bożej Bocheńskiej w bocheńskim kościele św. Mikołaja, namalowany przez Piotra Korneckiego w 1769 roku[2].

Kinga jest patronką miasta Bochni i bocheńskiej kopalni soli, w której kwitnie nadal kult tej niezwykłej postaci. Miasto w porozumieniu z kopalnią i uzdrowiskiem powinno, w celu rozpropagowania kultu i promocji Bochni wykorzystać wszystkie miejsca, w których znajdują się jej wyobrażenia, zarówno pod ziemią jak i na powierzchni (podziemną i kościelną kaplicę, piękną polichromię Piotra Korneckiego z 1769 r. i obraz księżnej pędzla Władysława Rossowskiego, sztandary kopalni soli, plac św. Kingi, figury przydrożne).

Skąd przybyli do Bochni pierwsi górnicy?

Mógłby ktoś wywodzić z tej legendy, że to pewnie węgierscy specjaliści przybyli do Bochni i tutaj odnaleźli sól i wydrążyli szyby solne. Prawda jest jednak inna. Zarówno poszukiwanie bogactw naturalnych (głównie złota i srebra) jak i eksploatowanie ich na większych głębokościach, wymagało, ze względu na bezpieczeństwo i skuteczność, fachowej wiedzy i doświadczenia. W związku z tym władcy europejscy wydawali akty t.zw. „wolności górniczej" aby zachęcić do przyjazdu fachowców, którzy potrafiliby sprostać tym zadaniom. Prawo królewskie (*ius regale*) stwierdzało, że wszystko co znajduje się w ziemi należy do panującego. Akt wolności górniczej oznaczał, że korzystający z niego mogą poszukiwać i eksploatować królewskie złoża w zamian za określone korzyści dla władcy. Wzorem innych władców takie akty wolności górniczej wydawał w latach 1221-1224 książę Leszek Biały, a później jego syn książę Bolesław Wstydliwy. W przywileju dla cystersów z Wąchocka z 1249 r. określił, że chodzi o poszukiwanie z książęcą pomocą soli i innych kruszców na obszarze jego księstwa krakowsko-sandomierskiego (wolność górnicza) i przyznał im wieczystą jałmużnę w postaci 1/9 soli książęcej, jaką przynosi lub przyniesie w przyszłości przedsiębiorstwo książęce we wsi Bochnia. Uczynił to na prośbę swojej matki księżny Grzymisławy.

Dlaczego to cystersi z Wąchocka, a nie węgierscy specjaliści mieli wykonać to tak ważne zadanie. Czyżby sentymenty religijne matki księcia i habit miały decydujący wpływ na decyzję księcia? Czy księżna Kinga nie miała by tu nic do powiedzenia? Czy serdeczna więź księcia Bolesława z jego teściem królem Węgier Belą IV na gruncie sojuszu antyczeskiego miała tylko znaczenie symboliczne?

Po odpowiedź sięgnijmy do znakomitego opracowania dr Józefa Piotrowicza p.t. *Geneza górnictwa solnego w Polsce*[3]. Opactwo cystersów w Wąchocku było jedną z filii klasztoru w Morimundzie (łac. *Morimundus*) w Lotaryngii założonego w 1126 r. Tam przemysł górniczy (rudy żelaza, sole potasowe, węgiel) był jedną z podstawowych gałęzi gospodarczych, a reguła zakonna nakazująca zakonnikom pracę fizyczną przyczyniła się do tego, że kierownicze czynności oraz inne wymagające posiadania wysokich kwalifikacji wykonywali osobiście bracia konwersi czyli *fratres barbati* (brodaci). Silny system centralizacji i ożywione kontakty centrali z zakonnymi filiami pomogły do ściągnięcia stamtąd fachowców górniczych do Bochni i osiągnięcia oszałamiającego sukcesu właśnie w Bochni w niecałe dwa lata później t.j. odkrycia soli kamiennej w 1251 r. Jedynie oni mogli w owym czasie wprowadzić nieznaną na ziemiach polskich technikę eksploatacji podziemnej (głębinowej). Tam w głębi ziemi ukryte było źródło późniejszej potęgi polskich władców i zamożności kraju.

Trudno się dziwić, że zostali za to sowicie wynagrodzeni. Przywilej „wolności górniczej" nie mógł być skierowany do węgierskich „fachowców" – pisze dr Jozef Piotrowicz - ponieważ takich w królestwie węgierskim wówczas nie było. Kopalnia w Marmaroszu położona u źródeł rzek Cisy i Samosz, do której Kinga miała – według legendy - wrzucić swój pierścień nie była głębinowa, jak to wyobrażał sobie Piotr Kornecki w polichromii w kościele parafialnym w Bochni, ale miała charakter kopalni odkrywkowej, w której problemów górniczych związanych z drążeniem szybów solnych i podziemnych podłużni nie było. Sól występowała tam pod cienką warstwą gleby. W wyniku jej wydobywania tworzyły się jamy o głębokości ok. 20 m. długości 15-30 m. i szerokości 3-8 m. Nie mogli to być także górnicy alpejscy, gdyż w Alpach eksploatacja soli odbywała się w podobny sposób jak w Marmaroszu lub w wyniku ługowania złoża.

Zagadkowy patron

Moglibyśmy teraz zadać pytanie co ma wspólnego Bochnia z niemieckim Lűneburgiem, szwajcarskim Fryburgiem, słowacką Bańską Bystrzycą albo polskim Bolesławcem czy Chrzanowem. Otóż tym duchowym łącznikiem jest św. Mikołaj - patron bocheńskiego kościoła parafialnego i wielu innych kościołów bądź kaplic znajdujących się w różnych miejscach Europy, a głównie w ośrodkach górniczych.

Święty Mikołaj kojarzy się nam przede wszystkim z rozdawaniem prezentów w nocy z 5/6 grudnia. Ale oprócz worka prezentów ma on jeszcze ogromny bagaż innych obowiązków tak rozlicznych i tak sprzecznych z sobą, że pod tym względem zostawia za sobą w tyle innych świętych. Jest więc opiekunem dzieci, a jednocześnie adwokatów, sędziów, notariuszy, ministrantów, wytwórców guzików, sprzedawców perfum i wina, opiekunem wilków i ich ofiar, chroni od szczurów i myszy, czuwa nad dziewicami i pomaga pannom na wydaniu, chroni przed powodzią, złodziejami, jest klucznikiem raju, przewodnikiem po niebie i piekle, patronem literatów, piwowarów.

Wśród tych wszystkich obowiązków i kompetencji ochrania przed niebezpieczeństwami przede wszystkim żeglarzy i górników. I może z tego powodu kościoły wzdłuż brzegów mórz i rzek noszą jego imiona: jak np. kościół w Gdańsku i w miastach wzdłuż Wisły, a Amsterdam i Nowy Jork wzięły go za swojego patrona.

Z tych samych powodów bardzo silny kult św. Mikołaja zrodził się w średniowiecznych ośrodkach górniczych Euro-

py Zachodniej. Jego wezwanie stało się szczególnie popularne w kolebce górnictwa europejskiego czyli w Lotaryngii. Patronem Lotaryngii jest właśnie św. Mikołaj (*St. Nicholas in Lorraine*). Pod jego wezwaniem jest bazylika w Saint Nicolas de Port. Kaplice św. Mikołaja były w osadach Saint-Denis i Brussieux. Jest w Lotaryngii do dnia dzisiejszego kopalnia nazwana imieniem świętego w La Sainte-Croix-aux-Mines. Stąd rozchodził się jego kult za pośrednictwem cystersów. W Złotoryi kopalnia złota „Aurelia", wykuta została pod górą św. Mikołaja, a najstarszy kościół p.w. św. Mikołaja wybudowano na tej górze w miejscu pierwszej górniczej osady górników złota. Powstał tam także szpital św. Mikołaja. W Bolesławcu, gdzie była średniowieczna kopalnia złota wzniesiono w 1202 r. kościół p.w. św. Mikołaja, a kopacze złota zrzeszeni w trzech cechach: Złotej Działki, Srebrnego Okrucha i św. Mikołaja, zamieszkiwali najstarsze przedmieście Mikołajskie. W Lwówku na pocz. XI wieku górnicy, którzy wydobywali tu złoto ze złóż złotonośnego żwiru, wznieśli kościółek p.w. św. Mikołaja. Jedna z bram miasta nazywa się Mikołajska. W Sławkowie, który już w VIII wieku był osadą przedlokacyjną i centrum zagłębia kruszcowego w połowie XIII wieku wzniesiono wczesnogotycki kościół parafialny św. Mikołaja p.w. Podwyższenia Krzyża Świętego, który został przekształcony w kościół dekanalny. W Tarnowskich Górach-Reptach Śląskich – kolebce górnictwa kruszcowego jest parafia św. Mikołaja, a w sąsiednim Świerku kościół parafialny p.w. św. Mikołaja. W Bytomiu, gdzie już w XI wieku kwitł przemysł górniczy zakon franciszkanów wzniósł kościół p.w. św. Mikołaja, potem z nieznanych powodów zmieniono patrona kościoła na św. Wojciecha, a w Nowej Rudzie, gdzie jest kopalnia węgla z 1434 r. i podziemna trasa turystyczna, w l. 1885-1890 wzniesiono neogotycki kościół p.w. św. Mikołaja, co świadczy o niesłabnącym kulcie tego świętego. W 2007 r. św. Mikołaj został patronem Chrzanowa, gdzie rozwijało się kopalnictwo rud cynku i ołowiu. W 1325 r. wzniesiono tam gotycki kościół parafialny św. Mikołaja, z obrazem świętego w ołtarzu głównym a postać Świętego widnieje na czterech pieczęciach rajców miejskich z XVI i XVIII wieku.

Na Słowacji w Górach Szczawnickich w dwóch starych połączonych ze sobą miejscowościach górniczych Hodrusa-Hamre, gdzie wydobywano złoto jest kościół św. Mikołaja z XIV wieku. Wezwanie tego świętego nosi także kościół z 1332 r. w Żarnovicy w rejonie Bańskiej Bystrzycy, gdzie znajdował się kamieniołom, w którym wyrabiano kamienie młyńskie. W Preszowie, gdzie była kopalnia opali na Slanskich Wzgórzach jest gotycki kościół św. Mikołaja. W centrum niemieckiego Lűneburga, gdzie produkowano sól, także natrafimy na kościół św. Mikołaja. W Szwajcarii we Fryburgu, gdzie kopano srebro jest imponująca gotycka katedra św. Mikołaja (*Cathedrale Saint Nicolas de Freibourg*), w której znajdują się witraże wykonane przez Mehofera.

Chociaż w Polsce jest podobno 327 kościołów pod wezwaniem św. Mikołaja i powody wyboru tego patrona mogły być rozliczne, adekwatne do roli jaką miał pełnić, to jednak łączność wezwania kościoła w Bochni z górnictwem jest bezsporna[4]. Warto dodać, że św. Mikołaj jest patronem pojednania Zachodu ze Wschodem i przez pewien czas był patronem Europy, ale wyparł go z tej pozycji kult św. Barbary. Podobna rzecz zdarzyła się w Bochni kilka lat temu. Kierujący się ignorancją historyczną i fałszywą pobożnością radni wyrzucili ze Szkoły Podstawowej nr 4 jej patronkę Barbarę Radziwiłłównę żonę króla polskiego Zygmunta Augusta, która kilka razy przejeżdżała przez Bochnię, a nawet w niej nocowała, a na jej miejsce wprowadzili św. Barbarę, której kult nigdy w Bochni mocniej się nie zaznaczył. Po latach ktoś niezorientowany będzie wywodził, że skoro od początku XX wieku była szkoła im. św. Barbary, to istniał w Bochni jej kult.

Bocheńska kopalnia soli – najstarsza w Polsce, w Europie a może na świecie?

W Bochni znajduje się najstarsza w Polsce, funkcjonująca do dzisiaj czyli 760 lat bez przerwy kopalnia soli. Istnieje hipoteza, że kopalnia powstała już w 1248 r. ale najnowsze badania dr Józefa Piotrowicza, wskazują, że pierwszy bocheński szyb wydrążono w latach 1249-1251[5]. Potwierdza się więc cytowana na początku artykułu zapiska kronikarza Kapituły Katedralnej na Wawelu z 1251 r. Kopalnie soli w Bochni od 1251 r. i w Wieliczce od ok.1290 r. są kolebką górnictwa solnego jako królewskie żupy solne i te daty rozpoczynają historię gospodarczą Polski. Były w Alpach austriackich kopalnie soli starsze od Bochni i Wieliczki: Hallein, Halstatt i Alteussee, w których wydobywano sól już 2500 lat temu. Znane były złoża solne w Alpach szwajcarskich (kantony Valais i Vand) i w północnej Bawarii. Wszystkie one jednak nie mogą poszczycić się ani dokumentami, ani nawet wzmiankami dotyczącymi dat lub okresów ich działalności. Eksploatacja soli odbywała się tam przez głębienie sztolni lub pochyłych szybów, które służyły do produkcji soli jednak metodą ługowania. Niedawno odkryto ślad kopalni soli w Duzdagi na Kaukazie (rejon Araxe) w Azerbejdżanie, gdzie podobno kopano sól ok.3500 lat p.n.e. Znana jest piękna, rozległa kopalnia soli w Khewra w Pakistanie (z meczetem z różowych kryształów solnych w środku) założona rzekomo w roku 326 p.n.e., ale okazuje się, że sól odkryły tam konie Aleksandra Macedońskiego, które po bitwie nad rzeką Hydaspen z Porusem królem Pauravy (dzisiejszy Pendżab) w czasie odpoczynku lizały skały i kamienie, które okazały się słone. Od tego czasu nie ma żadnych śladów istnienia tam kopalni, a dopiero informacje o niej pochodzą z II połowy XIX wieku, kiedy produkcja soli intensywnie tam się rozwijała. W salinach Turda, Floresti, Slanic, Ocna Muresz w Rumunii (Transylwania) w Mołdawii i we wspomnianej już kopalni w Marmaroszu w Siemiogrodzie dobywano sól z pagórków litej soli, albo warstw zalegających płytko pod ziemią. Słynna góra Oromenes w Indiach także nie jest kopalnią, ale wielkim kamieniołomem, w którym jak pisze Pliniusz Starszy w *Naturalis Historia* t. XXXI 7,77 a za nim powtarza szwajcarski podróżnik Wadian, odłupuje się całe bloki solne. Istniała już w 1103 r. kopalnia soli w Cardonie i Surii w Hiszpanii (rej. Katalonii), ale tam także eksploatowano sól metodą odkrywkową, a nie głębinową jak kopalnie w Bochni i Wieliczce. Dlatego w tamtych przypadkach słowo „kopalnia" może być mocno przesadzone, podobnie jak daty ich funkcjonowania określone hipotetycznie jedynie na podstawie legend lub badań archeologicznych.

Jasno określone daty i dokumenty potwierdzające początki obu krakowskich kopalń, a następnie całe wieki ich funkcjonowania są bezsporne. Miarą ich znaczenia jest także fakt, że w czasach ich pełnego rozwoju dawały one monarsze wyższy dochód, niż wszystkie podatki bezpośrednie z całego państwa polskiego, a fenomenem jest, że oba te państwowe przedsiębiorstwa nadal funkcjonują nieprzerwanie: Bochnia przez 760 lat, Wieliczka przez prawie 710 lat.

Pomnik historii

We wrześniu 2000 roku zabytkowa część bocheńskiej kopalni soli uznana została za pomnik historii na podstawie rozporządzenia Prezydenta RP z dnia 26 września 2000 r. w sprawie uznania za pomnik historii (Dz. U. nr 83 poz. 938). Wchodzi więc w skład dziedzictwa narodowego, a co to znaczy uświadomimy sobie dopiero wtedy, gdy porównamy ją z innymi pomnikami historii w Polsce. Taką samą rangę pomnika historii jak bocheńska kopalnia mają: Biskupin, zespół klasztorny oo. Paulinów Jasna Góra, park pielgrzymkowy w Kalwarii Zebrzydowskiej, Kazimierz Dolny, zespół zamku krzyżackiego w Malborku, zespół zamkowo-parkowy w Łańcucie, historyczne zespoły miast Zamościa, Torunia, Gdańska, Warszawy z Traktem Królewskim i Wilanowem, Krakowa z jego śródmieściem, kościołami i królewskim Wawelem i kilka innych jeszcze najcenniejszych obiektów i zespołów zabytkowych w Polsce. Jest ich dzisiaj w Polsce 43.

Kiedyś kopalnia była labiryntem podziemnych komór i chodników pod śródmieściem Bochni (Stare Góry) i pod zachodnią częścią Bochni (Nowe Góry). Dzisiaj najgłębsze poziomy kopalni z najniższym na głębokości 470 m zostały już zlikwidowane, utrzymana została część zabytkowa sięgająca do głębokości 248 metrów gdzie znajduje się wielka komora Ważyn. Można by ustalać, która kopalnia soli na świecie była głębsza i jakie miejsce w tym rankingu zajmowała nasza kopalnia, ale nadwyrężylibyśmy cierpliwość PT. Czytelników[6].

Na przestrzeni ostatnich 200 lat Bochnia utraciła wiele z górniczego charakteru miasta. Po licznych przebudowach w XVIII i XIX wieku Austriacy przekształcili renesansową rezydencję wybudowaną przez żupnika Seweryna Bonera w czynszową kamienicę tyrolską, dzisiaj zagrzybiałą i opuszczoną przez lokatorów (koło MDK przy ul. Regis). Gdyby włodarze miasta zdecydowali się po uzgodnieniu z konserwatorem odbudować zamek wg zachowanych planów i rysunków, zamiast prowadzić żmudny i kosztowny remont kamienicy, to zapewne koszty budowy były by niższe niż koszty remontu. A jaki wspaniały efekt promocyjny? Pod koniec lat 50-tych zlikwidowane zostały szyby solne: Floris i Regis oraz komin przy szybie Sutoris. To były działania niszczycielskie. Zachowały się do dnia dzisiejszego nadszybia najstarszego szybu Sutoris (1251) związanego z legendą o pierścieniu księżnej Kingi i szybu Campi, koło którego króluje jeszcze górniczy komin, którego wysokość wynosi 45 metrów.

Kiedyś wokół rynku i w innych częściach miasta było wiele innych szybów solnych. Niektóre natrafiły w złoże, inne tzw. szyby płone uległy szybko zniszczeniu. Ślad po tych szybach pozostał na starych mapach górniczych i w latach 90-tych XX wieku za czasów burmistrza Teofila Wojciechowskiego w miejscach tych umieszczono wózki górnicze z zapomnianymi już nazwami. To była bardzo ładna i pożyteczna inicjatywa i dzisiaj jakby niedostrzegana przez mieszkańców budzi zainteresowanie przebywających w Bochni turystów.

Tajemnica nazwy Bochnia

Każde stare miasto ma swoje tajemnice i tematy, których wyjaśnienie nie jest łatwe. W przypadku Bochni takim pierwszym zagadnieniem na wpół historycznym, na wpół etymologicznym jest jej nazwa. Można próbować je rozwikłać, można się nim w ogóle nie zajmować, albo się nad nim prześlizgnąć, ale nie możemy powiedzieć, że sprawa ta została ostatecznie wyjaśniona. I w tym zakresie Bochnia wcale nie jest gorsza od Krakowa, nad którego nazwą trwają niekończące się spory[7].

Aby rozpocząć nasze poszukiwania musimy cofnąć się do epoki wypraw krzyżowych i przenieść do Ziemi Świętej, gdzie w 1198 r. Monachus, łaciński patriarcha Grobu Świętego wystawił t.zw. „dokument miechowski" dla zakonu bożogrobców miechowskich[8]. Dokument ten, wśród posiadłości przyznanych klasztorowi bożogrobców w Miechowie, wymienia sól w miejscowości Bochegna (*sal de Bochegna*). Bochnia jest więc w tym szczęśliwym położeniu, że może powołać się na dokument, który wymienia nie tylko nazwę, ale określa także charakter gospodarczy tego ośrodka (warzelniczego) już z końcem XII wieku. 63 lata później nazwa w obecnym już brzmieniu Bochnia a nie Bochegna pojawia się w kronice Kapituły Katedralnej na Wawelu w zapisce pod rokiem 1251 *Sal durum in Bochnia repertum est, quod nunquam ante fuit,* a dwa lata później w przywileju lokacyjnym wystawionym w Nowym Korczynie 27 lutego 1253 r. *locus salisfodinerum, qui Polonice Bochnija et Saltberk Theutonice nuncupatur,* a więc po polsku Bochnia, a po niemiecku Solna Góra.

Nazwa kojarzy się nam ze staropolskim słowem bochen albo bochenek, ale nie w znaczeniu bochenka chleba lecz dużej bryły, połcia, sporego kawałka. Mógłby ktoś wywodzić te bochny od wyłamywanych w kopalni brył albo głów solnych (*capita salis*) – mówił prof. dr Józef Mitkowski – ale z taką hipotezą można by się zgodzić jedynie w odniesieniu do Bochni wymienionej w dokumentach z 1251 i 1253 roku, ale co zrobimy z pochodzeniem nazwy Bochegna wymienionej w 1198 r. kiedy jeszcze soli twardej tutaj nie odnaleziono, kopalni nie było, a jedynie ośrodek warzelniczy, który produkował melasę solną pochodzącą z solanki i następnie suszonej (czasem w kształcie małych stożków). Czy mogła ona przybierać kształt bochenka chleba? Prof. Antoni Jodłowski potwierdza, że we wczesnym średniowieczu w procesie warzelniczym otrzymywano dwa rodzaje soli warzonej, a mianowicie warzonkę w formie sypkiej, dobrze wykrystalizowanej substancji oraz zapiekanki, którą stanowiły przypuszczalnie nieforemne kawałki soli o spoistej konsystencji, osadzające się podczas ewaporacji na ściankach panwi, tworzące rodzaj kamienia odbijanego po każdorazowym wywarze[9].

Czy zatem słowo bochen kojarzyć można z dużą bryłą soli i od niej wywodzić nazwę Bochnia? Z pewnością nie! Pracownicy Muzeum Żup Solnych w Wieliczce dr Józef Pio-

trowicz i dr Jerzy Grzesiowski stawiają hipotezę, że skoro ukształtowanie terenu ówczesnej Bochni przypomina swoim kształtem bochen (bochenek), to można przyjąć, że nazwa Bochnia wyłania się z tej właśnie „bochnowatej" wyniosłości terenu. Hipoteza ta wydaje się najbardziej prawdopodobna, ponieważ koło Jadownik niedaleko Brzeska znajduje się wzgórze w kształcie „bochnowanej" wyniosłości i nazywa się Bocheniec[10].

Są jednak tacy, którzy uważają, że Bochnia zawdzięcza swoją dzisiejszą nazwę starosłowiańskiemu określeniu *bochy* czyli „nieprzebyte bagna". Ta ostatnia hipoteza wydaje się najmniej prawdopodobna, Chociaż na pień *bech* i *boch* wskazuje sam Aleksander Brűckner, podkreślając jednocześnie, że określenie to ma, dla niego, nieznane znaczenie, to jednak trudno się do niej przekonać z następujących powodów.

Dokument miechowski z 1198 r. nie jest pierwszą wiadomością o tym solonośnym terenie. Jakkolwiek nazwa Bochnia pojawiła się w 1198 r. po raz pierwszy, to jednak wcześniej to miejsce wymienione jest pod inną nazwą. W słynnej Bulli Gnieźnieńskiej papieża Innocentego II wydanej dla arcybiskupstwa gnieźnieńskiego w 1136 r. wśród dochodów tego arcybiskupstwa wymieniona jest sól w miejscowości Babica *Babiza apud Cracoviam* (Babica koło Krakowa), a zatem to solonośne terytorium miało wcześniejszą nazwę Babica, zanim przekształciło się w Bochnię, a okolicznością potwierdzającą niezwykle mocno tę hipotezę jest dzisiaj nazwa rzeczki lub potoku, który wypływa z lasu kolanowskiego niesie swoje wody przez 6 km. i po przyjęciu wód potoków Murowianki i Storynki wpada do Raby. Dzisiaj potok ten na terenie miasta jest w większości przykryty nawierzchnią ulic. Jeżeli zatem w 1136 roku istniała pierwotna nazwa Babica, a 62 lata później pojawiła się nowa nazwa Bochegna (1198), to w żadnym wypadku nie możemy snuć domysłów o jakimś starosłowiańskim słowie *bochy* i z tego wnosić, że nazwa Bochni wywodzi się od nieprzebytych bagien.

Miasto Siedmiu Wzgórz

Już samo położenie Bochni na pagórkowatym terenie dodaje niepowtarzalnego uroku miastu w kotlinie, otoczonej siedmioma wzgórzami. Chciało by się powiedzieć: „Bochnia Miasto Siedmiu Wzgórz". Bo istotnie wzgórz tych mamy dokładnie siedem, tyle samo, ile liter jest w nazwie Bochnia. Co za wspaniała symetria, o wiele lepsza niż w przypadku „wiecznego miasta" Rzymu (łac. *Roma*), do którego przywarło na zawsze to określenie, chociaż w istocie tych rzymskich wzgórz można doliczyć się 8 lub 9. Włosi wyprodukowali w 1958 r. film pt. „Siedem wzgórz Rzymu", skąd pochodzi znana piosenka *Arrivederci Roma*.

Aby nie być gołosłownym wymieńmy bocheńskie wzgórza po kolei, z podaniem ich wysokości, rozpoczynając od najwyższego położonego na południowy wschód od Bochni czyli od Góry św. Urbana (309 m.n.p.m.) na której stał kiedyś kościółek pod wezwaniem tego świętego papieża, spalony przez Szwedów w czasie Wojny Północnej na pocz. XVIII w. Kierując się ruchem wskazówki zegara natrafiamy na Uzbornię, zwaną już w średniowieczu (w 1488 r.) Rozbornią, a później Husbornią (245 m.n.p.m.) o łatwej do rozszyfrowania etymologii powiązanej ze znaną legendą o zbóju Szycu i jego sławetnej kompanii. Dla odstraszenia miejscowych łotrzyków i amatorów cudzych pieniędzy stały tam przez całe wieki dwie szubienice. Trzecie jest Wzgórze Kolanowskie wymienione już w dokumencie kardynała Idziego z lat 1123-1125 jako Coyanov, które wznosi się do 262 m.n.p.m. Następne to Wzgórze Trójcy Świętej czyli Trinitatis osiągające wysokość 289 m.n.p.m. Piąta jest Srebrna Góra zwana także Kaliszynem, na której zgłębiono w latach 1555-1567 po 12 letnich zmaganiach z kurzawką, nazywaną wówczas po polsku *zydzem,* a po łacinie *demon metallicus* - szyb Campi (245 m.n.p.m.). Solna Góra zwana także Górą Salomona - *Mons Salomonis* (237 m.n.p.m.) to szóste wzniesienie, którego nazwa przetrwała w nazwie ulicy i Osiedla. Ostatnim siódmym wzgórzem jest Krzęczków 246,7 m.n.p.m.), nazywany Górą Żydowską (*Mons Semita*), a okoliczne pola rozciągające się od Krzęczkowa nosiły nazwę *U Pioruna*). Niewiernych Tomaszów zapraszam na wycieczkę po wzgórzach Bochni[11].

Na portalach internetowych i w przewodnikach turystycznych wiele metropolii, a także mniejszych miast szczyci się tym, że leżą jak Rzym na siedmiu wzgórzach. Do takich szczęśliwych stolic zaliczamy: Pragę, Bukareszt, Wilno, Amman, Lizbonę oraz Kampalę w Afryce. Inne szczęśliwe miasta to: Bergen w Norwegii, Cagliari na Sardynii, Edynburg w Wielkiej Brytanii, Płowdiw w Bułgarii, tysiącletni, cesarski Bamberg w Niemczech, Pula w południowej Istrii w Chorwacji, Veszprem na Węgrzech, Smoleńsk w Rosji, Lwów na Ukrainie, Rezekne (Rzeżyca) na Łotwie, Cincinnati w stanie Ohio w USA, Istanbul (Stambuł) w Turcji. A w Polsce: Sandomierz nazywany „Małym Rzymem", Gniezno, Gorzów Wielkopolski, Lublin, Białystok, Przemyśl, Zielona Góra, Kielce, Chełmno i Gdynia.

Najciekawsze w tej wyliczance jest to, że chociaż niektóre z tych miast znajdują się na liście światowego dziedzictwa kultury jak Bamberg czy Bergen albo Durnham i mają wiele innych mocnych atutów szokujących turystów, to jednak informacja, że są miastami siedmiu wzgórz znajduje się na pierwszym miejscu, a tuż za nią druga ważna informacja, że każde ze wzgórz ma swoją legendę. W Pradze doszukać się można 9 wzgórz, a w Płowdiwie zaledwie 5 (gdyż dwa wzgórza rozebrano na materiały budowlane), ale tamtejsze przewodniki obstają konsekwentnie za siedmioma wzgórzami. Tylko uczciwy Płock przyznaje się do 12 wzgórz. Dlaczego ta właśnie informacja przeznaczona dla turystów bije wszystkie inne na głowę? Odpowiedź nie jest trudna.

Magiczna liczba

Już w starożytności liczbie 7 przypisywano magiczną moc. Mistycyzm liczb ze szczęśliwą siódemką i feralną trzynastką upowszechnił sam Pitagoras. Mamy więc siedem cudów świata starożytnego, siedmiu mędrców starożytności, siedmiu archaniołów, siedem kryształowych sfer, siedem tonów gamy, siedem dni tygodnia, siedem sztuk wyzwolonych, u Sumerów: siedem wielkich wiatrów, siedem złych demonów, siedem sag, siedmiogłowe węże, u Egipcjan: siedem olejków do balsamowania zwłok, siedem odnóg Nilu, u Persów: siedem sfer świata, siedem metali, u Greków: siedem Hesperyd, siedmiu synów Heliosa, siedem Plejad, siedem córek Niobe, siedem bram Teb, siedem miast, które kłóciły się o miejsc urodzenia Homera, siedem cudów świata starożytnego, u Rzymian: siedmiu królów Rzymu, siedem westalek, siedem wzgórz Rzymu, w Starym i Nowym Testamencie: siedem krów tłustych i siedem chudych, siedem pieczęci, siedem wizji Apokalipsy,

siedem oczu, siedem rogów Baranka, siedem głów Smoka, siedem głów Bestii, w Islamie: siedem rajów, siedem piekieł, siedem grzechów głównych, w Indiach: siedem pagód, siedem rzek, siedem gwiazd Wielkiej Niedźwiedzicy, w Japonii: siedem bogów szczęścia itd. Nawet bajki zaczynają się od słów: *Za siedmioma górami, za siedmioma rzekami.*

Jest więc siódemka liczbą szczęśliwą. Oznacza pełnię szczęścia, doskonałości i skończoności pod różnymi długościami i szerokościami geograficznymi. Turysta łaknie takich informacji. Chce się czuć dobrze w miejscu do którego przybywa. Pragnie kontaktu z czymś nadprzyrodzonym, ezoterycznym i metafizycznym. I na pewno lepiej zapamięta takie miejsce. Kraków nie ma takiego szczęścia do wzgórz jak Bochnia, dlatego – być może - wymyślono słynny czakram na Wawelu, bo o to samo, w gruncie rzeczy chodzi – zainteresować i oczarować turystę.

Zagadką jest jednak, dlaczego w bocheńskich materiałach promocyjnych do tej pory nie ma ani słowa o mieście siedmiu wzgórz. Takie hasło nie tylko przyciągnie i zainteresuje turystę, ale przybliży nam inne miasta rozłożone na podobnych siedmiu wzgórzach. Grajmy w tej samej lidze co one. Może kiedyś będziemy ich partnerami.

Lokacja Bochni na prawie czynszowym

27 lutego 1253 roku książę krakowsko-sandomiersko-pomorski Bolesław Wstydliwy nadał Bochni prawa miejskie. Lokacja miasta oparta była na prawie magdeburskim (*ius municipale magdeburgense*), nowoczesnym prawie miejskim, czyli na pomocniczym spisie praw zwanym *Weichbild magdeburski* i *Zwierciadle Saskim*, które regulowały całokształt spraw związanych z funkcjonowaniem miasta (założenie, obywatelstwo, prawo targowe, składu, prawo mili, prawo sądowe (w tym prawo miecza), zwolnienie z ceł w państwie. Prawo magdeburskie wyłączało osadników spod jurysdykcji prawa ziemskiego, wpływało korzystnie na rozwój wymiany towarowej, podnosiło znaczenie pieniądza i dawało podstawę do wykształcenia się samorządu miejskiego i stanu mieszczańskiego. Wprowadzało na ziemie polskie elementy prawa rzymskiego.

Kiedyś ta forma prawna lokacji miast i wsi przesadnie rozumiana była, przez niektórych historyków, jako napływ jakiejś niemczyzny. Nie jest to prawdą. W rzeczywistości – jak twierdził znakomity krakowski mediewista prof. dr hab. Józef Mitkowski[12] było to dobrze i jasno sformułowane prawo czynszowe. Zasadźca zawierał bowiem z panującym umowę, na podstawie której nabywał precyzyjnie określone prawa, natomiast w zamian musiał, najczęściej po okresie wolnizny, płacić odpowiedni czynsz. Na podstawie tego prawa zakładano miasta i wsie na ziemiach polskich, aż do reform Sejmu Wielkiego i Konstytucji 3 Maja z 1791 r.

Najstarsze miasto w Małopolsce

Lokacji miasta czy wsi dokonywano na obszarze istniejących już osad targowych, albo miast wczesnośredniowiecznych[13], a czasem na t,zw, surowym korzeniu czyli w miejscu dotąd niezamieszkałym i niezagospodarowanym. W tym pierwszym przypadku lokacja miasta rozpoczynała jedynie nowy etap, nowy porządek miejski i dawała nowe możliwości rozwojowe w życiu istniejącej już struktury. Dlatego przyjmując datę nadania praw miejskich jako istotną cezurę w dziejach miasta musimy uważać, aby nie przesadzić. Śmiało możemy więc powiedzieć, że Bochnia jest najstarszym miastem w Małopolsce posiadającym prawa miejskie, że o 4 lata wyprzedza pod tym względem Kraków, Kalisz, i Wodzisław Śląski, które prawa miejskie otrzymały w 1257 r, że wyprzedza inne miasta małopolskie o co najmniej 20 lat, a ponadto (Gdańsk (1263), Świdnicę (1267), Słupsk (1265), Koszalin (1266), Malbork (1286), Bielsko (1312). Równolatkami Bochni są: Poznań (młodszy zaledwie o 2 miesiące), Głogów, Kluczbork, Oleśnica, Śrem i Żmigród, natomiast wśród starszych od Bochni możemy wymienić Złotoryję (1211), Lwówek Śląski (1217), Toruń (1233), Środę Śląską (1235) i Wrocław (1241 lub 1242). Może warto byłoby nawiązać współpracę z miastami – równolatkami Bochni, choćby w zakresie wymiany oferty promocyjnej. Przy okazji warto dodać, że nazwa Małopolska (łac. Polonia Minor) została użyta po raz pierwszy dopiero w 1411 roku, a potwierdzona w 1493 r. w Statucie Piotrkowskim Jana Olbrachta.

Bochnia królewska i górnicza

Bochnia była więc najstarszym w Małopolsce miastem książęcym, a od czasów Władysława Łokietka królewskim posiadającym prawa miejskie. Nie była nigdy miastem prywatnym jakiegoś biskupa jak np. Rzeszów, albo hetmana jak np. Tarnów. Ponadto była zawsze miastem górniczym, gdyż w Bochni funkcjonuje do dnia dzisiejszego najstarsze w Polsce górnicze przedsiębiorstwo – kopalnia soli – którego właścicielem był zawsze panujący (dawniej książę krakowski, potem król, a obecnie Skarb Państwa). Słusznie więc Bochni należy się tytuł królewsko-górniczego miasta.

Zabytkowy układ przestrzenny śródmieścia Bochni

Na co dzień nie zwracamy większej uwagi na układ przestrzenny śródmieścia Bochni, w którym kiedyś mieściła się cała średniowieczna Bochnia, a przecież tak jak Rynek Krakowski i Wawel są symbolami Krakowa wzbudzającymi refleksje u przechodniów i inspiracją dla artystów, tak samo Rynek w Bochni, malowany wielokrotnie przez Samlickiego, Stasiaka, Fischera, Kasprzyka, na którym kiedyś stał ratusz, studnia miejska i działy się wielkie dla Bochni wydarzenia powinien szczególnie skupiać uwagę władz miejskich. Powinien być dla nas tym czym dla Wenecjan jest Plac św. Marka, o który Napoleon Bonaparte powiedział, że jest najpiękniejszym salonem Europy.

Kiedy jednak turysta stanie na naszym rynku, to rzucą mu się w oczy przede wszystkim ogromnym rozmiarów, nieestetyczne i natarczywe reklamy, nawet zasłużonych bocheńskich spółdzielni, jedna na drugiej, albo jedna obok drugiej: *Społem. Powszechna Spółdzielnia Spożywców w Bochni.* Na linii A-B (południowa pierzeja rynkowa) znajduje się Sklep „Centrum”,

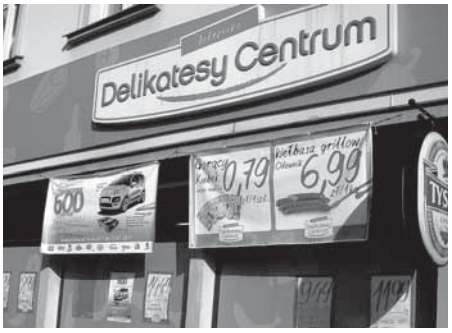

z brzydkim zielonym napisem *Delikatesy Centrum* a na jego witrynie też zielone tablice, na których sprzedawczyni wypisuje kredą, albo mazakiem : *Gorący kubek 0,79 zł./1 szt., kiełbasa grillowa 6,99 zł./kg.* Spodobała się taka praktyka Delikatesów Centrum władzom PSS-u i robią to samo: *Placek czeski 14,50 zł./kg, sernik z brzoskwiniami 14.55 zł./kg.* Czy tego rodzaju reklamy niszczące nastrój zabytkowego rynku władze miejskie powinny tolerować? Elewacja barokowej kamieniczki nr 1 została zapewne bez zgody konserwatora zabytków podzielona na małe okienka; w jednym pani sprzedaje lody, w drugim hamburgery. Niedawno jeszcze na rogu tej kamieniczki swoistym uwieńczeniem bocheńskich „dekoratorów" – przy całkowitej bezradności samorządu miejskiego – sterczał potężnych rozmiarów ok. 1,5 m. wafel lodów śmietankowych, usunięty dopiero po przejęciu tego lokalu przez następną firmę lodziarsko-ciastkarską.

Czy w takim otoczeniu możemy łudzić się, że turysta zatrzyma się na rynku, przysiądzie na lody lub małą czarną w ogródku kawiarnianym, westchnie – *jak tu pięknie!* i będzie miał ochotę zostać tutaj dłużej. A przecież rynek i rozległy teren wokół niego, zwany śródmieściem znajduje się pod ścisłą ochroną konserwatorską i obowiązkiem samorządu miejskiego jest wymuszenie na właścicielach i użytkownikach rynkowych kamienic pożądanego działania na rzecz godnego wyglądu najstarszego miasta w Małopolsce.

Rynek bocheński ma piękne klasyczne wymiary 100 m x 100 m. wliczając szerokość przyrynkowych ulic, a więc powierzchnię 1ha. Ma kształt kwadratu. Kwadratowe rynki są w Krakowie i Poznaniu . Wymiary rynku krakowskiego, który jest największym rynkiem średniowiecznej Europy są większe i wynoszą 200m. x 200 m. Kiedyś z bocheńskiego rynku wychodziło dziewięć ulic, po dwie z naroży i jedna na osi elewacji wschodniej – platea Coenobialis – Caustralis (Klasztorna) doprowadzająca widokowo na ratusz. Do dnia dzisiejszego zachowały się nazwy większości tych ulic, ale o tym piszemy niżej.

Rynek pochyły

Bocheński rynek był rynkiem pochyłym o spadku w kierunku wschodnim 5%, co na długości 100 m dawało różnicę poziomów 5 m. W 1964 r. rynek został przebudowany, a ówczesne władze Bochni pochwaliły się (zniszczeniem tego zabytku) i umieściły przed pomnikiem króla Kazimierza tablicę z informacją, że rynek przebudowany został w święto Manifestu Lipcowego 22 lipca 1964 r. Od strony zachodniej zdjęto część nawierzchni rynkowej, w ten sposób znacznie zmniejszono pochyłość rynku. Świadczą o tych efektach utworzona skarpa i schodki na rynek na długości rynkowej pierzei zachodniej. Przy okazji zlikwidowano z całej powierzchni rynku t.zw. „kocie łby" nie pozostawiając nawet niewielkiego ich śladu. Czy były to zabiegi przemyślane, mądre, pożyteczne z punktu widzenia promocji zabytkowego miasteczka? Niech Czytelnik sam osądzi po dalszej lekturze artykułu. Czy wojewódzki konserwator zabytków zgodził się wtedy na takie plany, czy postawiono go wówczas przed faktem dokonanym? Zapewne nigdy się już tego nie dowiemy. Wiemy natomiast jedno, że decydenci, niezależnie od panującego ustroju politycznego, nie lubią wsłuchiwać się w głos opinii społecznej i reagują nerwowo na każdy głos sprzeciwu płynący od społeczeństwa.

Powróćmy do tematu rynków pochyłych. W południowej Polsce jest kilka miejscowości z takimi rynkami i wszędzie są one atrakcjami turystycznymi, reklamowanymi na stronach i portalach internetowych tych miast. Spójrzmy np. na portal internetowy Sandomierza: *Sandomierz ma jeden z najpiękniejszych rynków. Ma wymiary 100m. x 100m. Jest rynkiem pochyłym. Otoczony kamieniczkami z gotyckim ratuszem. Rynek-niesamowity, bo pochyły, a różnica poziomów między górną i dolną pierzeją wynosi 10 metrów.* Rynki pochyłe ma Bielsko-Biała, Kłodzko, Wodzisław, Krasiczyn, Lewin Kłodzki, Grybów, Słomniki. Na jednym portalu internetowym Przemyśla czytamy*: O oryginalności unikatowego przemyskiego rynku decydują i jego pochyłość i ukośne uliczki i kocie łby*. Dzisiaj toczy się w Przemyślu dyskusja czy miasto powinno wydać potężne pieniądze, wyrównać rynek i przy okazji zniszczyć zabytkowy charakter miasta i jego atrakcję. Aby jeszcze lepiej uświadomić sobie istotę rzeczy przenieśmy się do naszych południowych sąsiadów, a więc do Republiki Czeskiej. Turyści zachwycają się pochyłym rynkiem w miejscowości Stramberk.

Na Słowacji w Bardijowie wg miejscowej opinii pochyły rynek jeszcze lepiej potrafi ukazać piękno stojących przy rynku kamieniczek. Opinię taką podzielają na bardijowskim blogu zachwyceni turyści: *Trudno się na nim nie zatrzymać. Kolorowe kamieniczki falują zgodnie z ukształtowaniem rynku. Niesamowite jest to, że nie ma tu współczesnych wtrętów czyli t.zw. plomb, a okoliczne uliczki pełne są uroczych zakamarków.* Gdybyśmy dzisiaj chcieli uświadomić sobie jak ten bocheński

rynek sprzed 1964 r. wyglądał, to możemy spojrzeć na Plac gen. Leopolda Okulickiego i ciekawy układ kamieniczek oryginalnie opadających od arkad, aż do ul. Sutoris. Pewnym śladem pochyłości rynku jest jego pierzeja północna.

cd. na str. 18, przypisy na s. 21

Władysław Kłóś (Częstochowa)

Bocheńskie lata szkolne

Wspomnienia z nauki w szkole Brodzińskiego i w Liceum Ogólnokształcącym (1937-1948)

Urodziłem się 16 listopada 1930 r. w Kolanowie w domu nr 29 (dziś ul. Czerwieniec 9). Tato pochodził z Rzezawy, był kolejarzem, mama prowadziła gospodarstwo domowe. Wiosną 1937 r. zacząłem chodzić do ochronki: z tego okresu zapamiętałem m.in. piosenkę o „komarze co spadł z dębu"

Ja z młodszym rodzeństwem

We wrześniu 1937 r. rozpocząłem naukę w szkole powszechnej im. Kazimierza Brodzińskiego. Miałem do niej najbliżej – ok.1,5 km. Kierownikiem szkoły był pan Michał Piotrowicz, moją wychowawczynią była pani Jadwiga Waszyńska. Mąż jej był kapitanem Wojska Polskiego. Trzecią osobą ważną dla mnie był stróż szkolny pan Paweł Urban. Miał groźny wygląd, a to z powodu swoich wąsów. Innymi nauczycielami których poznałem później były panie: Szlamkowa, Pałamarzowa, oraz nauczyciele

Mój dom rodzinny – Kolanów 29, teraz ul. Czerwieniec 9

- Tomasz Lohn, Dominik Kulma, Wojciech Kaszuba. Lekcje religii prowadził ks. Stanisław Bączewski. Bardzo mile wspominam panią Waszyńską. Była dla nas bardzo dobra, uczynna, urządzała z okazji Świąt akademie, jasełka Bożo-narodzeniowe itd. W jasełkach ważną rolę odgrywał nasz szkolny kolega Olek Reguła - był diabłem. Rolę anioła pełniła siostra kolegi z klasy Sylwestra Kurkiewicza. Dobry Anioł i Zły diabeł byli dla mnie najważniejszymi postaciami w tym widowisku.

Z okazji Święta Niepodległości 11 listopada 1938 r. nasza klasa urządziła uroczyste przedstawienie. Wystąpił w nim jako „ołowiany żołnierz"- po wojskowemu ubrany Jasiu Filipowicz, a jego partnerką była „ panna Lala". Tę postać kreował Stasiu Blotko. Miał długie włosy, jak dziewczynka i delikatną cerę. W lutym 1939 obchodził imieniny Prezydent Ignacy Mościcki. Ja w imieniu klasy składałem życzenia imieninowe. Wpatrzony w portret Prezydenta mówiłem:

Panie Prezydencie
Żyj w zdrowiu, bez troski,
i pracuj jak dotąd
dla potęgi Polski,
A my przyrzekamy,
Dziewczęta chłopacy
Że będziemy dzielni
Jak wszyscy Polacy.

Najbliższymi kolegami w klasie byli: Stasiu Krupa, Jurek Dyga, Zbyszek Smrokowski, Józef Zachara. Wracaliśmy razem ze szkoły. Z innych, bliscy mi byli Olek Reguła, Kaziu Chominiec z Chodenic i Tadziu Cepak również z Chodenic.

Po wybuchu wojny nauka w kl. III rozpoczęła się dopiero na początku października. Niestety nie było już z nami pani Waszyńskiej. Zginęła w czasie bombardowania Warszawy i zabrakło kierownika szkoły Michała Piotrowicza – został

Szkoła Gimnazjalna.

Klasa II Szkoły podstawowej im. Kazimierza Brodzińskiego z wychowawczynią Jadwigą Waszyńską
1. Najwyższy z lewej strony od góry Gen. Tadeusz Cepak patrzy z góry na swoją brygadę
2. W środku, obok ubranego w mundurek marynarski, w ciemnej bluzce i grzywce – Autor
3. Niżej T. Cepaka, z dziewczęcą fryzurą, Stasiu Błotko
4. Pierwszy siedzący od lewej strony - Olek Reguła
5. Blondynek z małą buzią – Jurek Dyga, na tle ręki wychowawczyni
6. Najbardziej wysunięty na prawo stojący, z czarną czupryną, Stefan Wrona.

aresztowany przez okupantów i tam w więzieniu stracił życie. Wychowawczynią w kl. III była pani Fitrzykowa. Była osobą chorowitą, często zmartwioną. Te jej kłopoty i zmartwienia udzielały się również nam.

IV klasą od nowego roku szkolnego opiekowała się p. Maria Bielawska; była podobno Bochnianką, przyjechała do nas z rejonów Podkarpacia. Interesująco opowiadała o tej pięknej ziemi ale również o wielkiej biedzie jaka tam panowała. Z tego co opowiadała wynikało, że bardzo współczuła mieszkającym tam ludziom. Pomagała w znalezieniu pracy lub zdobyciu zawodu. Spowodowała uruchomienie różnych kursów szkoleniowych dla zdobycia zawodów murarza, cieśli itd. Bardzo lubiła książki- posiadała ich chyba dużo, pożyczała je bowiem swoim uczniom.

Podczas okupacji nie mieliśmy żadnych podręczników. Zakazane było nauczanie historii, geografii, nie mieliśmy możliwości poznać pisarzy polskich: Kraszewskiego, Sienkiewicza, Mickiewicza. Pani Bielawska ryzykując mocno przynosiła ich książki do szkoły do wypożyczenia; jej mieszkanie było dla nas często biblioteką. Była osobą lubianą. Kończąc czwartą klasę poznaliśmy jej hasło: *Książki to najwięksi nasi przyjaciele, nie obmówią, nie skarcą a nauczą wiele.*

Od V do VII klasy opiekunem klasy a równocześnie – już od klasy III - kierownikiem szkoły był pan Tomasz Lohn. Był to szeroko znany w bocheńskim środowisku zasłużony nauczyciel i wychowawca. Był człowiekiem o wielkiej wiedzy i dużym doświadczeniu życiowym. Wysoki, przystojny mężczyzna z głową na glans wygoloną, z laską w ręku; czasem z futerałem ze skrzypcami pod pachą, znany był powszechnie. Miał opinię wymagającego ale sprawiedliwego nauczyciela. Tą ostatnią cechę bardzo wysoko cenili uczniowie i rodzice.

Jego pasją, jak się przekonaliśmy, był język polski, śpiew i muzyka, ale uczył wszystkiego. Obok przedmiotów humanistycznych znał przyrodę, matematykę i fizykę. Uczył mnie i moich kolegów przez trzy lata języka polskiego. Nasz wychowawca Lohn podjął się uczyć nas poprawnej wymowy, budowy zdań, jednym słowem gramatyki. Przyswoić i określić: zdanie, jego części, podmiot, orzeczenie, przydawka okolicznik; nie obce nam były również pojęcia: rzeczownik, czasownik, przymiotnik, przysłówek, czas teraźniejszy, przyszły, przeszły, rodzaje przypadków i liczby. Trzy lata poświęcone na poznanie tych pojęć nie poszły na marne; przydały się już na lekcjach łaciny a potem w życiu codziennym. Był dowcipny, umiał teorię potwierdzić czynem. Kiedy pytany uczeń" rozbierając" zdanie mówił np. że *podmiot jest ukryty* - odpowiadał pytaniem *a gdzie: w krzakach*. Rozśmieszał nas tym ale i uczył.

Obecność na lekcjach była sprawdzana. Najbardziej pod obstrzałem była np. nieobecność we czwartki. Wiadomo, czwartek to w Bochni dzień targowy, rynek, tandeta, gołębie itd. Wszystko bardziej ciekawe niż przydawka - okolicznik - zdanie złożone itd. Pyta więc nieobecnego we czwartek Grzesia Babraja. *Grzesiu, a coś ty robił we czwartek, że masz nieobecność?* Grzesiu odpowiada: S*iostra wyfasowała garnki na przedział i byłem je sprzedać.* Nauczyciel wyjaśnia: *wyfasować to można kogoś po pysku, a Przedział to jest we włosach na głowie.*

To była praktyczna nauka prawidłowego wysławiania się; nauka, która mogła się utrwalić w pamięci. W czasie lekcji śpiewu uczył nas ślicznych piosenek, zabawnych, prześnych a również pieśni kościelnych. Piosenki o krakowiakach, góralach, Hucułach i Cyganach, o upartej kozie, o niebie rozsypującym nocą gwiazdy. Ciekawe pouczające, melodyjne. Pamiętam ich wiele do dziś. W szkole powszechnej „ drukowaną wiedzę poznawaliśmy tylko z obowiązkowego miesięcznika „ Ster". Kosztował niewiele, 25 groszy, ale niewiele był wart. Korzystaliśmy z niego używając jako materiał do ćwiczeń gramatycznych. Tam były zdania, które nadawały się do rozbierania na części, ćwiczenie odmian, deklinacji czasów, przypadków itd. Wartościowe były dla nas charakterystyczne ilustracje Zofii Stryjeńskiej.

Drukowana prasa też ciekawa nie była. Znałem trzy gazety, które wychodziły w tym okresie. Były to dziennik „Goniec Krakowski", tygodnik „ Siew" oraz „Ilustrowany Kurier", Goniec Krakowski do znudzenia informował: „ Główna Kwatera informuje: *Wojska Rzeszy wycofały się na z góry upatrzone uprzednio pozycje* I dobrze – te upatrzone uprzednio pozycję przybliżały się stopniowo do naszych przedwojennych granic wschodnich. Codziennie słychać było nazwy afrykańskich miast: Tunis, Algier, Maroko. „Siew" traktowany był jako poradnik dla rolników, ogrodników , hodowców. Kupowałem go czasem.

„Ilustrowany Kurier„ był gazetą typowo propagandową informującą o „pięknym życiu" w Generalnej Guberni. Zapamiętałem jeden z reportaży z dożynek: Gubernator Frank w otoczeniu wesołych kobiet polskich ubranych na ludowo. Szczególnie zainteresował polskich czytelników egzemplarz, w którym znajdowały się zdjęcia i Komentarze z Katynia po wykryciu przez niemieckich żołnierzy masowych grobów polskich generałów i oficerów rozstrzelanych przez sowieckich morderców. To były przerażające zdjęcia i okrutne sceny. Było tych zdjęć dużo, mniej i bardziej wyraźnych, szczegółowo opisanych. Oglądający mieli pewność, że są to zdjęcia autentyczne, nie fotomontaże - tak wyrażali się o nich znający się na fotografii naukowcy. Te makabryczne sceny można teraz często oglądać na ekranach telewizorów i w prasie. Jedno ze zdjęć przedstawiało członków międzynarodowej Komisji Czerwonego Krzyża (nazwa może niezupełnie poprawna), która badała to tragiczne wydarzenie. W komisji uczestniczyli polscy przedstawiciele, podane były ich nazwiska. Nie pamiętam ich. Wiem na pewno, że jeden z Polaków albo jego brat, był znaczącym uczonym i pełnił wysoką funkcję w Krakowskiej Akademii Górniczo- Hutniczej. Stanowisko to, już w wyzwolonej Polsce musiał opuścić. Jego udział w Międzynarodowej Komisji Czerwonego Krzyża, która o zbrodnie oskarżała radzieckie władze uznano za zdradę narodu polskiego. Ten sam tygodnik – Ilustrowany Kurier… przedstawił zdjęcia i informację o tragicznej śmierci gen. Władysława Sikorskiego w Gibraltarskiej Cieśninie. Opisując lata szkolne nie mogę nie wspomnieć o wiedzy, którą mi przedstawili ludzie bez nauczycielskich dyplomów.

Bochnia przez cały czas okupacji przyjmowała na swój teren i okolicznych miejscowości wysiedlonych przez okupanta albo uciekających przed wrogiem Polaków. Byli to ludzie z terenów wschodnich, z Poznania, Śląska a w końcu z Warszawy. Przyjmowali tych nieszczęśników więksi gospodarze. Za miejsce, wyżywienie, niejednokrotnie ubranie odpłacali się pracą w uprawie roli, hodowli bydła itd. Najliczniejsi przybysze byli za Wschodu i oni pierwsi opowiedzieli nam o mordach na Ukrainie, Wołyniu, wysyłkach na Sybir. Mój „nauczyciel" miał lat ok. 16 (ja 13) nazywał się Franciszek Szklarz. Do Polski uciekł z ojcem, matka i rodzeństwo zostali zabici przez ukraińskie hordy. Opowiadając o tych wydarzeniach, mordach o męczarniach jakich doznawali mieszkańcy wymieniał dwie miej-

scowości - Czortków i Buczacz – czasem Tarnopol. Nie pytałem czy pochodził z Czortkowa czy Buczacza; to nie było ważne. Ważniejsze były fakty, z całą pewnością prawdziwe. To był prosty chłopak – podziwiałem go, za wiadomości i umiejętności przekazania ich słuchaczowi. Miał donośny głos, pięknie śpiewał. On mnie nauczył melodyjnej, o zabawnej treści piosenki: *W piwnicy ciemnej siedzę sam przy kuflu pełnym piwa*.

Druga grupa ludzi. z którą się spotkałem to byli mieszkańcy Rawy Ruskiej i okolicy. Moi rówieśnicy z rodzicami mieszkali u p. Jaszczyńskiego. Nazwiska dość powszechne Czerniaki – Janku i Władku. ”*U*„ na końcu imienia nie oznacza wołacza – to jest mianownik. W wolnych chwilach graliśmy w piątkę w piłkę nożną. To nie była prawdziwa piłka, tylko taka „ szmacianka”. Z samego Lwowa pochodził inż. Świderski. Miał piękny motocykl, mało używał go, ale go często czyścił, regulował. Ze Lwowa pochodziła również p. Sękiewiczowa z synami Jackiem i starszym, którego imienia nie pamiętam. To była, podobnie jak inż. Świderski rodzina inteligencka. Jacek z bratem przyjaźnili się z panem Kazimierzem Kawalcem (który często gości na łamach W.B.). Pamiętam jak Jacek szczycił się faktem że jeden z profesorów krakowskiej wyższej uczelni zwraca się do niego po imieniu. Pani Sękiewiczowa z synami mieszkała w okazałej willi Danikiewiczów w Kolanowie.

Rodzina Szypowskich z Poznańskiego mieszkała u p. Franciszka Olszewskiego. Podobnie jak u innych gospodarzy - za wyżywienie, mieszkanie, czasem coś z odzieży – odpłacali się pracą w polu i utrzymaniu bydła. Dwaj synowie z którymi grałem czasem w piłkę to: starszy – Henryk i młodszy - on tylko „podawał” – Mirosław był lubianą maskotką naszej drużyny „Szmacianki”.

Jesienią 1944 r. w sąsiednim domu pana Sondla zamieszkała 3 – osobowa rodzina wysiedlonych z Warszawy po zakończeniu powstania. Jedyna córka starszych już rodziców ok. 17 lat Zosia Bogdańska była dziewczyną ładną, wesołą , miała powodzenie u miejscowej kawalerki. Obok niewątpliwej urody była przecież „Warszawianką” a to ma niemałe znaczenie. Zosia dużo mówiła na temat tragicznych losów warszawskich Polaków, wielkich zniszczeń materialnych i tragedii ludzkich, o bohaterstwie mieszkańców.

Szkołę powszechną ukończyłem w czerwcu 1944 r. Świadectwo ukończenia wypisane ładnym pismem, dwujęzyczne, polsko – niemieckie wypełnił i podpisał mój niezapomniany wychowawca Tomasz Lohn. W latach 1942-1944 siedzibą szkoły był murowany, parterowy dom przy ul. Kowalskiej. Ogrodzenie budynku szkolnego wyznaczało zachodnią granicę getta. Przez krótki okres po ostatnich wakacjach 1944 r. chodziłem do „Szkoły Handlowej” w Bochni przy ulicy Krakowskiej. Szkoła miała bardzo dobrą opinię, miejscowi nauczyciele gwarantowali wysoki poziom nauczania. Z jednym z nich mamusia uzgodniła tzw. „tajne nauczanie” dla mnie.

21 stycznia 1945 r. był dla Bochni pierwszym, dniem wolnym od niemieckich okupantów. Zaczęto stopniowo uruchamiać urzędy zakłady pracy, sklepy, pracowano nad wznowieniem nauki w szkołach. W tej sytuacji nie miałem zamiaru wracać do szkoły handlowej; czekałem na otwarcie bocheńskiego gimnazjum . Zapisy do tej wymarzonej szkoły rozpoczęto już w lutym, a pierwsze egzaminy wstępne przewidziano w marcu. Pomieszczenia gimnazjum były zdewastowane, brakowało sprzętu: ławek, krzeseł, stolików, tablic itd. Uzupełnienie tych braków wymagało dużo czasu. Do prac pomocniczych zgłaszali się przyszli ”studenci” (tak powszechnie nazywano uczniów gimnazjów i liceów). Brałem w tych pracach udział kilkakrotnie. Na początku marca w wyznaczonym dniu zbieramy się na boisku szkolnym; czeka nas I część egzaminu; większości przyszłych kolegów nie znam. Dzień jest pogodny, ale mroźny. Kto był już wewnątrz budynku twierdzi, że na dworze jest cieplej niż w nieogrzewanych, wręcz wyziębionych salach szkolnym. Dla rozgrzewki biegamy po wale usypanym wokół ziemnego wykopu. W czasie tej bieganiny po jakimś zderzeniu czy potknięciu wpadam na dno wykopu; warstwa zmarzłego lodu nie wytrzymała gwałtownego obciążenia, stoję w wodzie sięgającej mi powyżej kolan. Słyszę chwilowy śmiech, ale zaraz najbliżsi obserwatorzy pomagają mi wyjść. Jestem przerażony – przecież za chwilę czeka mnie egzamin. Moi nieznani przyjaciele wprowadzają mnie do jednej z zimnych sal.

Po częściowym uwolnieniu z przemoczonej odzieży, wyciśnięciu wody, wylaniu jej z butów, wkładam to wszystko z powrotem na siebie. W sali egzaminacyjnej nie siadam na ławie; stojąc skulony, zmarznięty, szczękając zębami nie mogę wypowiedzieć słowa. Prowadzący egzamin nic nie wie o mojej przygodzie; prosiłem by nie rozgłaszano tego faktu przełożonym, bo egzamin przeprowadzony być musi, a nikt nie będzie urządzał specjalnego spotkania. Pierwszą część egzaminu z języka polskiego to podstawowe wiadomości z gramatyki, a więc rozbiór zdania, odmiany rzeczowników, rodzaje czasów itd. Nie miałem z tym trudności bo przecież 3 lata wpychał mi tą wiedzę do głowy nie kto inny a właściwie mój wychowawca – Tomasz Lohn. Temat drugi – wolny; czytałem go na tablicy dwukrotnie, nie wierząc oczom „Opisz ostatnie największe przeżycie jakie przeszedłeś w czasie od zakończenia wojny do dziś” (może nie jest to dosłowne powtórzenie). Opisałem oczywiście to co przeżyłem w ostatnich 2 godzinach. Nie była

Rząd górny od lewej: J. Szeliga, M. Kociołek, B. Kaja, L. Zagórski, J. Dobranowski, S. Zieliński, R. Tota, autor, St. Moroński, J. Dyga, J. Pinowski, M. Foszcz. Rząd drugi od góry:S. Sierpińska, W. Filipczyk, Z. Łopata, J. Flasiński, K. Kokoszka (Orlewicz), J. Krawczyk, p. Kosturkiewicz, Niwiński, Ignacyk, Rząd trzeci od góry: J. Kunze, K. Młynarski, Ks. A. Czapliński, M. Horodyski, S. Ellnein, Z. Marzec, dyr. P. Galas, p. Mączkowa, A. Kuklanka, Rząd dolny:St. Wanicki, M. Ćwik, J. Korta, L. Nowak, P. Świgost, St. Cieślik

mi potrzebna „ ściąga". Zapamiętałem dobrze i na długo to co przeżyłem.

W drodze powrotnej do domu towarzyszył mi jak zwykle Kaziu Kokoszka. Mieszkał „ po drodze". Na siłę wciąga mnie do swojego mieszkania: ogrzejesz się, wysuszysz, zjemy wspólnie obiad – zapewnia. Skorzystałem z tej oferty; znam jego mamę - byłem tam kilkakroć. Pani Kokoszkowa zajęła się mną jak rodzona matka. W wysuszonej na kaflowym piecu odzieży częściowo wypożyczonej, rozgrzany obiadem po paru minutach jestem we własnym domu. Nie przyznałem się do fatalnej przygody, nie wiem właściwie dlaczego. Byłem zadowolony, że już pierwszą część egzaminu mam za sobą. Jeszcze bardziej zadowolony byłem w następnym dniu: po tym wczorajszym przemarznięciu nie miałem nawet chrypki.

Po 3 dniach drugi dzień egzaminów wstępnych - z matematyki i fizyki . Ten egzamin był stosunkowo łatwy; egzaminatorzy zdawali sobie sprawę, że po okrutnych przeżyciach wojennych wszyscy dołożą starań i ewentualne braki nadrobią.

W następnym dniu wyniki egzaminów i listę przyjętych do szkoły ogłoszono oficjalnie. Byłem już teraz pewien, że będę uczniem Gimnazjum Ogólnokształcącego im. Kazimierza Wielkiego w Bochni. W dniu rozpoczęcia nauki z ogłoszenia w hallu, podpisanego przez dyrektora Piotra Galasa dowiedziałem się, że przydzielono mnie do kl. IE, a moją wychowawczynią będzie pani Maria Wójtowicz. Sala siedziby IE była odnowiona, ale pusta: dwa stoliki, dwa krzesła i nic poza tym. W kolejnej grupie wchodzących byli z niecierpliwością oczekiwani przeze mnie Jurek Dyga, Kazio Kokoszka i rozmawiająca z nimi nieznajoma pani. To była nasza wychowawczyni. Już przy komplecie uczniów oświadczyła, że będzie naszą wychowawczynią, będzie nas uczyć języka polskiego. Pierwszym zajęciem dla nas na dziś jest przyniesienie ze stolarskiego warsztatu pana Mleczki z Uzborni kilkunastu ławek, krzeseł i tablicy. I w ten sposób rozpoczęliśmy naukę: od pracy fizycznej. W przenoszeniu największy kłopot sprawiała tablica – płaska, długa, szeroka nie wiadomo jak ją przenosić. Czy ta tablica zawsze będzie nam sprawiała tyle kłopotów? Okazało się, że nie zawsze, ale często.

W następnym dniu poznaliśmy p. Marię Machnicką; będzie nas uczyć łaciny. W pierwszej chwili nowa nauczycielka wydawała się nam jako bardzo wymagająca, a w przeciwieństwie do często roześmianej pani Wójtowicz – raczej poważna. Łacina, a właściwie jej nauczycielka to moje pierwsze spotkanie ze starożytnością. Historia Greków, Rzymian, ich wodzowie, literatura, kultura, przysłowia, to wszystko b. ciekawe, to wiadomości, które zdobywaliśmy jako produkt uboczny nauki języka Rzymian. Sam język - jak nam się wydawało patrząc na wypisany na tablicy kredą temat I lekcji - będzie prosty . Czytam *In schola. En tabula nova est. Forma tabulae est guadrata*. No myślę – łacinę mamy z głowy. Jak się bardzo myliłem w tej ocenie przekonałem się ucząc się tego języka przez 4 lata. Polubiłem go. Wszystko dokładne, podane wyjątki od ogólnych zasad – upodabnia nawet ten język do nauk ścisłych. Do nauki jak większość uczniów w klasie mamy tylko maszynopis na odbitkowym papierze. Coraz więcej nieznanych słów, które z odbitki trudno odczytać. Podpowiada albo pokazuje jakąś ilustrację z książki siedzący trochę dalej Rysiu Tota. Zazdroszczę mu, że ma książkę i zna już łacinę dość dobrze – może podpowiadać. Ale siedzi trochę zbyt daleko ode mnie. Zauważyła moje kłopoty prof. Machnicka. Przesadziła mnie do ławy obok Rysia, miałem teraz z prawej strony Rysia Totę a z lewej Jurka Flasińskiego. Siedzieliśmy w tej trójce obok siebie przez 4 lata. Ja się wyraźnie podciągnąłem w łacinie Jurek trochę mniej, bo siedział od suflera trochę dalej. W drugiej klasie miałem już prawdziwą książkę do nauki „Disce Latina" i trudną do zdobycia „ Gramatykę". Obie nabyłem w Krakowie w jednym z antykwariatów przy placu Szczepańskim. Z każdym dniem czułem się coraz pewniej. Wstąpiłem do drużyny harcerskiej.

Lekcje religii w szkole prowadził ks. Antoni Czapliński. Był wzorowym, lubianym nauczycielem. Lubił młodzież i był przez nią lubiany. Zawsze pogodny, uśmiechnięty. Umiał przekazywać i w interesujący sposób objaśniał treść biblii i katechizmu. Prócz pracy nauczycielskiej spełniał obowiązki kierownika gimnazjalnej bursy.

Pod koniec maja dochodzi nas przykra wiadomość; na polanie Zientarka w Kolanowie został zastrzelony ojciec mojego kolegi z ławy szkolnej – Franciszek Sady. Był szewcem; zostawił w żałobie żonę i czwórkę dzieci. W czasie wakacji znowu tragiczna wiadomość. W czasie pracy, w szpitalu powiatowym w Bochni został zastrzelony jego dyrektor- doskonały chirurg – dr Roman Tunia.

Klasa II, w której rozpocząłem naukę we wrześniu 1945. Oznaczona jest teraz literą D. W okresie jednego półrocza z różnych powodów ubyło około 40 uczniów. Wychowawcą naszym został teraz repatriant ze wschodnich terenów Michał Horodyski - matematyk i fizyk. Był doskonałym organizatorem - wykłady prowadził interesująco; wszystkie wzory, funkcje, wykresy wyprowadzał z pamięci i udowadniał. On nas zapoznał z zasadami samorządności - dowiedziałem się wtedy np. w jaki sposób prowadzić zebranie, poznałem pojęcia absolutorium, wotum zaufania, komisja rewizyjna itd. Mnie, nie wiem czemu to zawdzięczam, powierzył funkcję wójta – przedstawiciela klasy. Był b. dokładny, systematyczny, wymagający. Jego syn Zenon był uczniem II B; tam matematykę prowadził inny wykładowca. Prof. Horodyski miał z nami zajęcia z matematyki i fizyki również przez następne 2 lata i doprowadził na do „Małej Matury". W drugim półroczu II-giej klasy 22 marca 1946 w pierwszym dniu wiosny zginął tragicznie w czasie pracy mój ukochany Tato. Pracował przy kolei ponad 20 lat- ostatnio na stacji w Płaszowie koło Krakowa. Uczestniczył w wojnie bolszewickiej 1920 r. Szczęśliwie wrócił z uciekinierki wrześniowej w której dotarł do miejsc, które poznałem w latach 20 –tych. Przeżył ciężkie lata okupacji a nie doczekał się pełnej wolności Polski.

Dla całej rodziny śmierć Jego była ogromną tragedią. Została mamusia z trójką dzieci: ja najstarszy 16 lat , siostra Elżbieta 8, brat Andrzej 7. Jedynym źródłem utrzymania stanowiła dotąd pensja taty - zastąpi ją teraz symboliczna renta. Nie znane wtedy były pojęcia zasiłek, odszkodowanie, zwrot kosztów, czy inne rodzaje pomocy. Pamiętam pierwszą pomoc. Ze stacji w Płaszowie nasz dalszy sąsiad pan Klęsk też kolejarz przywiózł 3 solone śledzie. To nie była złośliwość ani żart. To była prawda w jakiej żyliśmy w tym czasie. Rodzina, sąsiedzi pomagali nam jak mogli - oni też byli w biedzie. Kolanowska Straż Pożarna poratowała nas zapomogą pieniężną na jaką było ją stać - chociaż tata nie był członkiem straży.

Kiedy po paru dniach zjawiłem się w szkole, wśród kolegów i ich rodziców oraz nauczycieli - spotkałem się z nieopisaną życzliwością wszystkich. Pani Szeligowa mama Józia, zaraz po pogrzebie oferowała swoją pomoc; miałem u nich w domu przy ul. Orackiej otrzymywać codziennie obiady. To była bardzo

duża pomoc. Pomagali nam wszyscy sąsiedzi w stopniu jakim mogli. Dostawaliśmy pomoc z UNRRA – w postaci obuwia, ubioru, żywności, leków.

Wiosną 1946 r. rozpoczęły się prace przy rekonstrukcji boiska sportowego przy ul. Parkowej. Podstawowe zadanie polegało na wypoziomowaniu płyty boiska przez nieznaczne obniżenie części północnej od strony ul. Kazimierza Wielkiego i nadsypania części południowej od strony Babicy. Geodezyjną obsługę prac stanowił duet braci Mastajów i prawdopodobnie starszy z nich nadzorował całość robót. Duży wkład w ten główny remont boiska włożyły ekipy uczniów kierowane przez naszego nauczyciela W.F. pana Stanisława Gawłowicza. Pracę wykonywano ręcznie, szpadlem i kilofem - to robili doświadczeni robotnicy. Przewożenie „urobku" taczkami należało do nas. Ciężka to była praca, ale rezultaty z dnia na dzień były co-

Szkoła gimnazjalna

raz bardziej widoczne. W czasie tych robót na ćwiczenie, gimnastykę poświęciliśmy tylko kilka deszczowych dni.

Język polski przyswajała nam pani prof. Wiesława Kotowa. Jako jedna z niewielu miała tytuł magistra. W okresie okupacji bardzo zaangażowała się w organizację „tajnego nauczania". Wielką uwagę przywiązywała do poprawnej wymowy, umiejętności opowiadania, opracowania różnego rodzaju analiz (to chyba za duże słowo) literackich. To było dość trudne dla prostaków do których i ja należałem. Ja nie lubiłem „ bryków". W samodzielnym opracowaniu np. charakterystyki bohaterów, głównych postaci pomagały mi „ przypisy". Te przypisy były dość szczegółowe w wydawanych przez Bibliotekę Narodową egzemplarzach w opracowaniu Boya Żeleńskiego.

W drugim półroczu naukę języka angielskiego objęła po pani Smołkowej Aniela Kuklanka. Mieliśmy teraz wiele sprawdzianów pisemnych; w czasie lekcji wprowadzała często obowiązek posługiwania się wyłącznie językiem angielskim. Jako nowy przedmiot wprowadzono fizykę. Dla nauki fizyki ukazał się pierwszy, wydrukowany po wojnie podręcznik do szkoły średniej. Autorem podręcznika był A. Werner. Geografię w II i III klasie wykładał prof. Seweryn Ellnein. O krajobrazie, linii brzegowej wybrzeża, o wulkanach, ludności, ciekawych budowlach, zabytkach opowiadał barwnie i ciekawie. Słuchający mógł być przekonany , że w podróży uczestniczy z wykładowcą. Był wymagający ale nie żądał kwiecistych wypowiedzi. Naszą wiedzę sprawdzał okresowo odpowiedziami nie zbyt często - 2 – 3 razy w półroczu. Robił to systematycznie, w kolejności alfabetycznej. Każdy uczeń mógł przewidzieć kiedy przyjdzie jego kolej na odpowiedź. Było to jednak ryzykowne. W początku kwietnia, obaj z Rysiem Totą nie trafiliśmy w porę w przygotowanie się do odpowiedzi. Ja musiałem zdawać dodatkowy poprawkowy egzamin z II półrocza, Rysiu z całego roku.

Przez kilka dni zajęcia z łaciny prowadził w zastępstwie dyrektor Galas, a z języka polskiego prof. Jan Gębica, obaj starsi, doświadczeni, o bardzo dużej wiedzy. Dyr. Galas odstąpił w tych dniach od języka Rzymian - ufał pani prof. Machnickiej. Nas zainteresował natomiast swoją pasją - etnografią. Sam mu dostarczyłem kilka lokalnych nazw w okolicy: Ziętarka, Urwaniec, Czerwieniec, Gory, Dębnik, Zapusta, Beogna.

We wrześniu 1947 r. mój wychowawca profesor Horodyski powiadomił mnie, że wspólnie z p. M. Machnicką i ks. A. Czaplińskim zdecydowali, że teraz będę korzystał z darmowych obiadów w bursie gimnazjalnej. Pani Szeligowa i Józiu nie byli zachwyceni tym pomysłem, ale podobno argument, że teraz mając bliżej do domu, więcej czasu będę mógł poświęcić rodzeństwu. Przekonał ich i wyrazili zgodę. Z mamusią podziękowaliśmy państwu Szeligom za ich bezinteresowną pomoc. Byłem zadowolony z decyzji moich dotychczasowych opiekunów. Sam odczuwałem potrzebę zwiększenia czasu przebywania przy rodzeństwie.

W Bursie byłem świadkiem powstawania w Bochni nowej dyscypliny sportu: siatkówki. Oglądałem czasem rozgrywki siatkowe w Bochni w wykonaniu: wszechstronnie uzdolnionego Władysława Stawiarskiego, A. Urbana, J.Florczyka, Z. Siwadłkowskiego i innych. Teraz miałem okazję poznać nowych asów: byli nimi ks. A.Czapliński, bracia R. i Z. Łopatowie, K. Ślizowski, J.Kunze, Kazimierz Kokoszka, Ryszard Tyszkiewicz i in. (ten zespół, może w trochę innym składzie, jako „KS Górnik Bochnia" zdobył I miejsce w rozgrywkach o „Mistrzostwo Polski Zrzeszenia Górnik" w Polsce. Byłem dumny ze swoich krajan. Działo się to w 1953 albo 1954 roku).

Ksiądz A. Czapliński – kierownik „Bursy" - „rozruszał" bocheńską siatkówkę; on był inicjatorem tej akcji, on spopularyzował tę dyscyplinę sportu w Bochni. Po wakacjach 1947, już w ostatniej klasie gimnazjalnej, naukę języka polskiego po mgr W. Kotowej przejęła pani prof. Stanisława Sierpińska. Ona nas wprowadziła w świat teatru i opery. Po pierwszym pobycie w operze przez cały tydzień porozumiewaliśmy się ze sobą śpiewając. Wesołe to były rozmowy. Pani Sierpińska była osobą zawsze wesołą, uśmiechniętą. Lubiła młodzież. Polubiliśmy ją. Jesienią 1947 roku wstąpiłem ponownie do Z.H.P. Mając stopień wywiadowcy (to taki harcerski kapral) zostałem zastępowym „ Zastępu Sokołów".

Bochnia, Rynek, rok 1966, ja z córką i synem (córka z prawej, syn z lewej strony autora).

Wchodził on w skład plutonu „ Szumiącej Brzozy", któremu przewodził Jerzy Schram. Moim zastępcą był Stanisław Majta a członkami Leszek Nowak, Jerzy Flasiński, Józef Szeliga, Wacław Filipczyk. W styczniu 1948 roku powstała P.O. „Służba Polsce". Była to organizacja paramilitarna, a głównym jej zadaniem była odbudowa zniszczeń wojennych, rozbudowa przemysłu (Nowa Huta, Tychy itd.) Powszechnie przewidywano, że to są początki likwidacji harcerstwa. I tak faktycznie było. W okresie najbliższych wakacji w 1948 roku umundurowani „ junacy" mieli rozpocząć swoją pracę. Z uwagi na trudną sytuację rodzinną zostałem z tego obowiązku zwolniony.

Dzień rozpoczęcia egzaminów maturalnych przybliżał się coraz bardziej. Byliśmy w większości spokojni o wyniki. Przez cały czas uczyli nas doskonali nauczyciele i wychowawcy. Byli wymagający - to prawda, ale to co robili to dla naszego dobra. Nasze oczekiwania sprawdziły się. Świadectwa ukończenia Gimnazjum otrzymali wszyscy uczniowie klasy III D. -

Wakacje ostatnie spędziłem normalnie - trochę roboty w domu, trochę odpoczynku nad Rabą. Reszta maturzystów w brygadach SP wyjechała na Żuławy Wiślane. Tam pracowali przy melioracji terenów, budowie wałów ochronnych, przygotowaniu terenów do rozwoju gospodarki rolnej. Po dwu miesiącach wrócili zdrowi, opaleni i na ogół zadowoleni. Nie wszyscy byli zdecydowani co będą robić dalej, kto podejmie pracę, kto dalsze studia. Ja też byłem na rozdrożu. Dwóch było pewniaków. Do szkół oficerskich W.P. pójdą: Tadeusz Cepak i Franciszek Kociołek. Wojsko potrzebuje maturzystów; zasada: „Nie matura lecz chęć szczera" zaczyna odchodzić w przeszłość. I dobrze.

Władysław Kłóś

Janina Kęsek

Dęby Katyńskie w Bochni

Od kilku lat trwa w Polsce akcja sadzenia „Dębów Katyńskich" upamiętniających ofiary zbrodni dokonanej na oficerach WP w Katyniu, ale też w innych miejscach na terenie ZSRR np. w Starobielsku czy Ostaszkowie. W Bochni organizowaniem tych uroczystości zajmuje się Wydział Promocji Miasta. Podstawową bazę danych stworzyło nasze Stowarzyszenie, które od lat zajmuje się tym tematem . Publikowaliśmy

na łamach „Wiadomości Bocheńskich" szereg artykułów o poszczególnych postaciach jak np. płk. Szymon Skoczylas, mjr Zygmunt Siewiński, kpt. Karol Glazur i inni.

W 2000 roku zorganizowaliśmy pierwszą wystawę, ukazującą zbrodnię katyńską, a także fotografie naszych rodaków tam pomordowanych. Prezentowaliśmy również tych, którzy choć nie byli urodzeni w Bochni, przed 1939 r. pełnili tu służbę w 5 Dywizjonie Taborów, Rejonowej Komisji Uzupełnień czy w Policji Państwowej. Tą bazą danych służymy wielokrotnie, ile razy była potrzeba szkołom, muzeum czy Urzędowi Miasta. Wydział Promocji prowadzi też poszukiwania na własną rękę i tak baza informacji powiększa się systematycznie.

W dniu 13 kwietnia b.r. posadzono kolejne dęby przy Alei Ofiar Katynia i odsłonięto tablicę z następnymi nazwiskami. W tym roku Bocheńska Lista Katyńska poszerzyła się o następujące osoby: zamordowani w Starobielsku: kpt. Leszek Zygmunt Wojas, mjr Karol Czachor, rtm. Aleksander Koralewski, por Jan Kalita, por. Maksymilian Polański, mjr Teodor Augustyn Zachariasiewicz, por. Wnęk, policjanci zamordowanyni w Ostaszkowie: Jan Babral, Władysław Badylak, Maksymilian Bankiewicz, Franciszk Biel, Franciszek Budyś, Tomasz Bożek, Jan Burkiewicz i Szymon Fitrzyk.

Uroczystość w dniu 13 kwietnia rozpoczęła się mszą św. w bazylice św. Mikołaja w intencji ofiar zbrodni na oficerach polskich. Na uroczystość zaproszono ich rodziny, przybyłe

z różnych stron Polski. Uroczystość dopełniły przemówienia okolicznościowe, Apel Poległych i salwa honorowa. Po złożeniu kwiatów obecni na uroczystości udali się do naszego Stowarzyszenia, gdzie otwarta została wystawa poświęcona Bochniakom – ofiarom Katynia, Starobielska i Ostaszkowa przygotowana w oparciu o w/w materiały. Mieliśmy okazję poznać rodziny pomordowanych wojskowych i policjantów, uzyskać dodatkowe materiały: fotografie i informacje uzupełniające, biogramy. Powstała też myśl założenia przy naszym Stowarzyszeniu Bocheńskiej Rodziny Katyńskiej. Propozycja została dobrze przyjęta i już kilka rodzin wpisało się na listę. Zainteresowanych prosimy o kontakt z naszym Stowarzyszeniem - telefoniczny lub pocztowy.

Ostatnim punktem programu było otwarcie wystawy katyńskiej w „Domu Bochniaków" i uroczysty obiad.

W dniu 5 maja b.r. w „Domu Bochniaków" w atmosferze wystawy katyńskiej pan Dariusz Gorajczyk z Instytutu Pamięci Narodowej Oddział w Krakowie wygłosił wykład o zbrodni katyńskiej w oparciu o listy katyńczyków.

zob. Kronika str. 45

Janina Kęsek

Barbara Marszałek (Kraków)

Wspomnienia z zesłania cz.2

W numerze 4 (87) z 2010 r. Wiadomości Bocheńskich zamieściliśmy cz. I „Wspomnień z zesłania" pani Barbary Marszałek z Krakowa. Przedstawiła ona losy swojej rodziny od września 1939 r. na kresach wschodnich, straszne chwile wypędzenia ich ze Stanisławowa 29 czerwca 1940 r. przez uzbrojonych w bagnety żołnierzy radzieckich, gehennę podróży w nieznane pociągiem na Syberię przez Archangielsk, stepy uzbeckie i kazachskie, pobyt w kołchozie Krasna Niwa koło Tomska i po traktacie Sikorski-Majski przejazd do perskiego Aschabadu i w okolice Teheranu. Poniżej przedstawiamy dalsze losy rodziny Więcków pochodzących z Łapczycy. Autorka wspomnień zaprowadzi nas do Indii.

W numerze 1 (88) z 2011 r. zamieściliśmy artykuł kol. Anny Londo pt. „Polskie Afrykanki" oraz wspomnienia pani Danuty Sedlak z Katowic pt."Śladami tułaczy" o wojennych losach polskich dzieci na Syberii, a następnie w Afryce. Czytelnik będzie mógł więc poznać i porównać życie najmłodszych polskich tułaczy w obu egzotycznych krajach.

W obozie przejściowym pod Teheranem

Po powitaniu z mamusią zostaliśmy zaprowadzeni do miejsca zakwaterowania, którym był barak. W baraku podłoga była z desek. Pomieszczenia oddzielone były od sąsiadów kocami. Mieliśmy tyle miejsca, żeby się tam tylko położyć. Umywalnie i prymitywne, wybudowane z desek ustępy były zbiorowe, bez żadnych osłon. Pamiętam, że jakaś dziewczynka wpadła do dołu latryny i utopiła się.

Stołówka była dość obszerna. Wydzielano porcje zbiorowe na 20. osób. Mamusia źle podzieliła i dla nas brakło. Potem nauczyliśmy się tak rozdzielać ten przydział, aby dla wszystkich wystarczyło.

Leszek i Krysia wymyślili zjeżdżanie po dachu namiotu i były z tego powodu kłopoty. Niedługo zaczęły się różne choroby. Najpierw ja i Bronek zachorowaliśmy na jaglicę. Zawieziono nas do szpitalnego baraku, w którym było dużo łóżek. Wszyscy chorzy leżeli na jednej sali. Był tam piecyk opalany naftą. Ja miałam szczęście bo moje łóżko było blisko piecyka. Rano odbywało się badanie i lapisowanie powiek. Odczuwaliśmy bardzo silny ból więc każdy krzyczał i kopał. Dzieci dokuczały sobie jak tylko mogły, szczególnie jakiś starszy chłopak bardzo nam dokuczał. Wiele dzieci moczyło się w nocy i ten chłopak wyśmiewał je i przezywał. Postanowiłam dać mu nauczkę i w nocy podlałam mu łóżko. Kiedy salowa ścieliła to łóżko i zobaczyła, że jest mokre prześcieradło i pokazała je wszystkim. Od tego czasu szykany tego chłopaka ustały.

Po ukończeniu leczenia, wróciłam do baraku, ale po paru dniach dostałam ataku malarii. Zaprowadzono mnie do namiotu i tam czekałam na transport do szpitala. Po jakimś czasie przyprowadzono jakąś dziewczynkę, także chorą i było nam raźniej. Zawieziono nas autem do szpitala w najbliższym mieście. Był to budynek murowany, przydzielono nam materac do spania na korytarzu. Wszędzie były polskie dzieci. Odwiedzin prawie nie było. Auta ciężarowe przewoziły czasem matki do chorych dzieci, ale moja mama się nie dostała tylko podała przez jakąś panią list i trochę słodyczy. Bardzo płakałam, że mnie nikt nie odwiedził. Po wyleczeniu powróciłam do obozu. Po paru dniach znowu znalazłam się w innym szpitaliku, bo zachorowałam na świnkę. Był on urządzony w jakiejś kaplicy, chyba nie katolickiej, leżeliśmy na półpiętrze z widokiem na kopułę i na plac na dole. Tu spędziłam święta Bożego Narodzenia. Było miło – dostałam nawet kredki. Wyzdrowiałam i wróciłam do baraku. W obozie znalazłam jakąś kaplicę, ołtarz był z tabernakulum.

W obozie urządzono prymitywną szkołę. Za stoliki służyły sterty cegieł, a za krzesła pojedyncze cegły. Dostałam

zeszyt i ołówek. Byłam bardzo szczęśliwa. Niestety moje wypracowania były zawsze kreślone, bo miałam brzydkie pismo i robiłam masę błędów ortograficznych. Miałam także duże trudności z rachunkami. Wieczorami odbywały się małe przedstawienia, ale dzieci nie miały tam wstępu. Radziliśmy sobie z tym zakazem stając na beczkach i dzięki temu widzieliśmy przez okna co dzieje się w środku. Pamiętam, że jeden z aktorów śpiewał: *umarł Maciek, umarł i leży na desce..,* inny deklamował: *w kuchni smażą kotlety, a dla dziadów niestety….*

Codziennie wyświetlane były filmy z serii. „Flip i Flap", „Bajki z tysiąca i jednej nocy" i inne. Raz mamusia dostała

Oboz Cywilny Nr. 2 Teheran dn. 21/II 1943
اردو گاه اشخاص غیر نظامی
Przepustka Nr. 3722
پروانه عبور
p. Więcek Marja + 2 dzieci
otrzymał prawo wyjscia do m. Teheran i przebywania
w nim dn. 21 lutego 1943
od g. 10 do g. 18 tej w sprawach
osobistych.
Komendant Obozu
فرمانده میدان

przepustkę i autem wojskowym udaliśmy się wszyscy do Teheranu. Miasto i sklepy olśniły nas. Sklep cukierniczy był cały w lustrach, słodycze znajdowały się w szklanych kulach. Na środku, po turecku, siedział kupiec i spokojnie na nas patrzył. Nie mieliśmy wiele pieniędzy, ale Mamusia kupiła chałwę, która ze słodyczy była najtańsza. W obozie jedzenie było bardzo skromne. Dostawaliśmy także różowe, dojrzałe granaty, które wydzielano po połowie. Wieczorem był grysik na mleku. Jego smak pamiętam do dziś.

W obozie spotkaliśmy pewnego razu ciocię Walę z córkami Basią i Krysią, które wysiedlone zostały z Wilna. Dziewczynki były starsze od nas. Dowiedziałyśmy się o ich przeżyciach w Wilnie i tułaczce.

W końcu rozpoczęto segregację uchodźców do transportów do Afryki albo do Indii. Nas zapisano do Indii. Starsi harcerze, których było nie mało, zorganizowali drużyny zuchów i harcerzy. Ja zapisałam się do zuchów. Nasz zastęp organizował zbiórki, a także wędrówki po okolicy. Kiedyś wyszliśmy na wzgórze, które całe błyszczało miką. Zwiedzaliśmy jaskinie i zdawaliśmy egzamin z odwagi.

Obok naszego obozu był obóz polskich żołnierzy, którzy chodzili w mundurach. Gdy maszerowali wszystkie dzieci szły obok i próbowały znaleźć żołnierzy podobnych do swoich ojców. Spotkaliśmy na warcie żołnierza Antoniego Reszutę, który nas doprowadził z Tomska do Jangi – Jul. Ucieszyliśmy się bardzo, a on także i moją siostrę długo trzymał na rękach. Niestety było to ostatnie spotkanie z nim bo całe wojsko wyjechało na Wschód, na front.

Pewnego dnia zlikwidowano nasz obóz (nr 2) bowiem wielu wyjechało już do Afryki. Nas przeniesiono do obozu nr 3. Mieszkaliśmy nadal w barakach, ale szkoły już nie było. Nastała zima, zaczął padać śnieg. Nie mieliśmy ciepłej odzieży, ale na szczęście jakaś organizacja charytatywna (amerykańska) rozdawała ciepłe ubrania. Dostałam kurtkę wełnianą w brązowo-białe kraty, ale gdy byłam w umywalni – ktoś mi ją zabrał. Bardzo jej żałowałam.

Stawało się coraz bardziej pusto, harcerze wyjechali, zajęć nie było. Czekaliśmy na wyjazd do Indii. Był to rok 1943.

Z Teheranu wyjechaliśmy pociągiem towarowym do Ahvazu. Na jakiejś stacji pociąg zatrzymał się. Było tam dużo żołnierzy amerykańskich, którzy rozbiegli się po naszych wagonach. Do naszego wtargnął jakiś żołnierz i zaczął się umizgiwać do mamusi siedzącej przy drzwiach. Mamusia wzięła szybko na kolana małą Krysię (siostrę)

– wówczas ten żołnierz pocałowawszy mamusię w rękę wrócił do swoich kolegów.

Dojechaliśmy do Ahvazu. Z pociągu autami ciężarowymi zawieziono nas do pustych dużych stajni końskich, podobno z czasów królów perskich. Było nas bardzo dużo, spaliśmy w czterech rzędach pokotem na ziemi, przy żłobach dla koni. Działała tam kuchnia polowa, dostawaliśmy trzy razy dziennie posiłki, a dzieci dodatkowo grysik na mleku. Czas spędzaliśmy w gronie rówieśników, urządzaliśmy różne przedstawienia. Do młodych dziewcząt przychodzili żołnierze amerykańscy. Kiedyś przyszedł jakiś żołnierz i szukał jakiejś Polki, która podobno zabrała mu pierścionek i zegarek. Nie znalazł i wyszedł płacząc.

Pewnego dnia nad ranem wpadła amerykańska żandarmeria wojskowa do naszej stajni i wyprowadzono naszych dwóch młodych kucharzy, których dobrze pamiętam. Okazało się, że mieli zamiar mordować Polaków. Pamiętam jak stali z kajdanami na rękach w wojskowym aucie. Nie powiedziano nam kim byli i dlaczego chcieli popełnić taką zbrodnię. Po tym incydencie wszystkich ogarnęło przerażenie.

Dzieci perskie, bardzo biedne, gromadziły się pod drzwiami i czekały na resztki pożywienia. Wyniosłam na talerzu makaron, dzieci rzuciły się na ten makaron – talerz wypadł mi z ręki i makaron się rozsypał, a one zbierały go z ziemi i jadły.

Z Ahvazu do Karaczi

Z Ahvazu dojechaliśmy pociągiem do portu nad Zatoką Perską (nazwy jego nie pamiętam). Załadowano nas na dwa duże angielskie statki. Pamiętam, że wieczorami mała grupa ludzi gromadziła się na modlitwę śpiewając *Wszystkie nasze dzienne sprawy*.

Na statku obowiązywało zaciemnienie. Czuliśmy się nieswojo, zwłaszcza w nocy – niebo czarne, groźny szum fal. Od czasu do czasu nad falami przelatywały świecące ryby latające. Morze było bardzo niespokojne, chorowałam na chorobę morską, nie mogłam chodzić ani jeść. Po paru dniach „wróciłam do normy". Leczono mnie, za radą marynarzy, wodą sodową kupowaną w kiosku. Dopłynęliśmy do portu w Karaczi.

W porcie załadowano nas na samochody i zawieziono do obozu na pustyni. Zamieszkaliśmy w namiotach. Wszędzie pełno było piasku – w chlebie, w ustach. Wiał bez przerwy wiatr. Ponownie dostałam ataku malarii. Był upał, a ja miałam dreszcze i szczękałam zębami z zimna. Przykryto mnie kocami i szybko zrobiło mi się gorąco, byłam mokra od potu.

Zaprowadzono mnie do polowego szpitala znajdującego się obok obozu w namiotach. Byłam sama, bałam się bardzo i szybko uciekłam do mamy. W następnym dniu znowu miałam atak malarii i ponownie znalazłam się w tym samym szpitalu skąd niebawem zawieziono mnie do szpitala w Karaczi. Umieszczono mnie w dużej sali. Między łóżkami były parawany, obok łóżka stoliczek i butelka wody. Chodząc po sali spotkałam starszego chłopca, który był bardzo chory (woda w opłucnej). Byłam przy jego punkcji i pocieszałam go.

W drugim skrzydle szpitala byli chorzy angielscy żołnierze, którzy zaprzyjaźnili się z Polkami z innego oddziału. Ja pośredniczyłam w wymianie korespondencji. Chorych obsługiwały Hinduski tzw. *Aje*. Jedzenie było dość dobre. Najsmaczniejszy był pudding. Woda była racjonowana – jedna butelka na dzień. Gdy zostałam podleczona, zawieziono mnie z nieznaną dziewczynką autem do naszego obozu. Pamiętam, że kierowca, Hindus, gdy się dowiedział, że nie mamy ojców kupił nam lody.

Obóz, o nazwie „Kontraklub", był w pełnym słońcu, nie było bowiem tam drzew. Ubikacje były osłonięte jedynie parawanem (sedes z wiadrem) – porządki robili pariasi. W obozie była „kantyna", w której były, jak pamiętam cukierki miętowe, ale nie mieliśmy pieniędzy aby je kupić.

I Komunia

W tym czasie w obozie miała być I Komunia święta. Ominęły mnie wcześniejsze rekolekcje, bo wtedy byłam w szpitalu. Ksiądz w wojskowym mundurze (nie pamiętam nazwiska) przygotował mnie, w kilku dniach, do I Komunii świętej. Zafundował mi także białą sukienkę komunijną. Miałam włosy bardzo krótkie, bo ścięto je w szpitalu i dopiero mi odrastały. Kaplicę urządzono w namiocie. W trakcie uroczystości jakaś dziewczynka podpaliła przypadkowo świecą drugiej welon. Powstała panika, ale nikomu, na szczęście, nic się nie stało. Później było bardzo skromne wspólne śniadanie.

Szkoła była na kocach rozłożonych na piasku. Nie mieliśmy żadnych pomocy szkolnych i wszystkiego uczyliśmy się na pamięć.

Pewnego dnia rano, gdy wyszłam z namiotu zobaczyłam dużą kolorową jaszczurkę. Patrzyła się na mnie nieruchomo i wysuwała język. Uciekłam szybko do namiotu.

Nie pamiętam jak długo byliśmy w tym obozie. Z tego obozu autami ciężarowymi zawieziono wszystkich do portu w Karaczi i załadowano nas na polski statek „Kościuszko".

Podróż do Indii

Ulokowano nas w dużych kajutach, było bardzo ciasno i tłoczno dlatego nocowaliśmy na pokładzie, dość wąskim. Morze było niespokojne i często kołysaliśmy się od ściany do burty. Także na tym statku, wieczorami, zbierała się grupa ludzi na wspólną modlitwę śpiewając *Pod Twoją obronę* i modląc się za zmarłych. To wszystko robiło na mnie ogromne wrażenie. Bezkresny ocean, szum fal i nasz statek jak skorupka z orzecha. W pewnej chwili ogłoszono alarm (próbny). Wszyscy musieli wstawić się na pokładzie w kamizelkach ratunkowych.

Po kilku dniach dopłynęliśmy do Bombaju. Marynarze polscy pożegnali nas serdecznie. W Bombaju załadowano nas do pociągu osobowego z ławkami wzdłuż ścian. Jechaliśmy dwa dni i pociąg zatrzymał się na stacyjce Valivade. Niebo było ponure, ołowiane.

Na tej stacji byli Polacy i zaczęli nas rozdzielać do bloków w obozie w Valivade, dostaliśmy podstawowe wyposażenie, garnki bez uchwytów, czajnik, małą miednicę oraz sztućce z aluminium. Otrzymaliśmy pomieszczenia (blok 28/10) – dwa pokoje z małą kuchenką, w której był mały piecyk na węgiel drzewny. Rozpalanie było trudne. Gdy węgiel się rozżarzył można było zacząć gotować. Dostaliśmy trzy łóżka, stół i trzy krzesła. Ubikacja była oddzielnie, na zewnątrz, od nas ok. 100 metrów. Ubikacje nie posiadały drzwi.

Wzdłuż całego bloku, z obu stron, były werandy, z których wchodziło się bezpośrednio do pomieszczeń. Wodę nosiło się wiaderkiem z kranu znajdującego się w centrum obozu, dla nas w odległości ok. 100 metrów. Woda była dostępna trzy razy dziennie po jednej godzinie. Obok kranu był duży zbiornik z wodą przeciw pożarową, a na werandzie obok każdego pomieszczenia były gliniane dzbany z wodą – na wypadek pożaru. Raz w miesiącu dokonywano dezynfekcji łóżek przez zanurzanie ich w wrzącej wodzie w dużej, specjalnie przywożonej, wannie pod którą palono ognisko.

Ściany pomieszczeń były z plecionych, cienkich mat. Szkielet łóżka był drewniany, a reszta pleciona ze sznurków i na nich materac z waty. Dodawano też moskitierę wieszaną na bambusach. Na noc trzeba było podwijać moskitierę pod materac aby zabezpieczyć się przez skorpionami i insektami. Podłogi nie było – była to ubita ziemia. Nie było sufitu tylko belki z ułożonymi dachówkami. Po tych belkach wędrowały często mangusty, które chroniły nas przed wężami pełzającymi na tych belkach. Okna nie miały szyb, a jedynie były okiennice z mat przesuwane. Przed blokiem była łąka na której bawiliśmy się w „berka", graliśmy w palanta.

Niedaleko, poza obozem, był bazar z owocami. Sprzedawcami byli Hindusi siedzący „po turecku". Na straganach były banany, manga, papaje, pomarańcze z zieloną skórką, małe cytryny z twardą skórką. Był też mały sklepik gdzie można było kupić ciastka z prażonych orzeszków ziemnych zlepionych melasą albo z dmuchanego ryżu, sprzedawano też paprykę. Cukru nie było, więc herbatę słodziliśmy melasą. Pieniądze dostawaliśmy, raz w miesiącu, od delegata osiedla – 45 rupii na dziecko, a 53 rupii dla dorosłego.

Przyzwyczajaliśmy się do nowych warunków. Nie wiedzieliśmy wtedy, że spędzimy tutaj około pięciu lat.

koniec części drugiej. CDN

Stanisław Kobiela

Spacer szlakiem bocheńskich zagadek historycznych (cd)

Dlaczego kościół odwrócił się od miasta?

Każdego turystę spacerującego po Bochni zaskoczy usytuowanie kościoła parafialnego p.w. św. Mikołaja, tyłem do bocheńskiego rynku. Jakie okoliczności sprawiły, że do parafialnego kościoła czyli fary nie można wejść bezpośrednio z rynku centralnego placu miasta. Czyżby miasto odwróciło się od Pana Boga? A może to błąd średniowiecznych architektów kościoła albo urbanistów planujących miasto?

Rozwikłanie tej ciekawej zagadki nie jest trudne, jeśli uświadomimy sobie, że rynek lokowanego na prawie czynszowym miasta, od 1253 r. do czasów panowania króla Kazimierza Wielkiego znajdował się w zupełnie innym miejscu, a mianowicie wzdłuż obecnych ulic Białej i Bernardyńskiej, pomiędzy uliczką Studencką od zachodu a wejściem do kościoła parafialnego p.w. św. Mikołaja od wschodu. Z takiego podłużnego znacznie pochyłego rynku wchodziło się bezpośrednio do bocheńskiej fary. Było to zgodne z ówczesnymi zasadami budowania kościołów parafialnych i obowiązującą zasadą orientowania kościołów, o czym będzie mowa niżej. Jak sami dzisiaj widzimy patrząc na to miejsce teren nie za bardzo nadawał się na centralny plac Bochni czyli rynek. Teren opadał bowiem stromo w kierunku obecnych ulic Czackiego i Białej oraz w kierunku wschodnim. W chwili zakładania miasta nie przewidziano, że produkcja jedynej wówczas na ziemiach polskich głębinowej, bocheńskiej kopalni soli i handel tą solą przybierze tak wielkie rozmiary, że istniejący wtedy układ urbanistyczny miasta tego nie wytrzyma. Wozy wyładowane solą wydobytą szybem Sutoris (szybu Campi, Regis i Floris wtedy nie było) kierowały się na Kraków główną arterią miejską czyli obecną ulicą Białą. Zakorkowanie tej ulicy zwłaszcza w rejonie znajdującej się przy tym rynku, lub w niedalekim od niego oddaleniu Bramy Krakowskiej odbijać się musiało niekorzystnie na funkcjonowaniu samego rynku, na którym handlowano nie tylko solą.

Nie powinniśmy się zatem dziwić, że właściciel królewskiego miasta Bochni król Kazimierz Wielki w sto lat później postanowił poprawić lokację miasta. Król ten nie tylko *zastał Polskę drewnianą a zostawił murowaną,* ale pozostawił po sobie pamięć wielkiego organizatora państwa. Lokował w Królestwie Polskim nowe miasta i wsie w niezwykłym tempie, a w miastach już istniejących poprawiał ich lokację, inaczej mówiąc dokonywał powtórnej (drugiej) lokacji tych miast. Nie ominął także stolicy Królestwa Krakowa, a ślady jej widać wyraźnie na ulicy Grodzkiej. W Bochni przeniósł rynek w bardziej dogodne miejsce, tu gdzie się znajduje obecnie. Ten nowy rynek - to Rynek Większy (łac. *Circulus Maior*) albo Rynek Niższy (łac. *Circulus Inferior*) w odróżnieniu od Rynku Mniejszego (łac. *Circulus Minor*) albo Rynku Górnego (łac. *Circulus Superior*). Nazwę Górny Rynek pamiętają jeszcze starsi mieszkańcy naszego miasta, wszak zanim zbudowano kościół szkolny p.w. św. Stanisława Kostki był tutaj przed wojną plac handlowy.

Po kazimierzowskiej poprawie lokacji miasta powstała więc nowa najważniejsza przestrzeń publiczna Bochni czyli nowy rynek i nowy korzystniejszy układ przestrzenny miasta. Pozostał w tym samym miejscu murowany kościół parafialny ufundowany po lokacji miasta przez żonę Bolesława Wstydliwego księżnę Kingę w miejscu pierwszego drewnianego kościółka dla górników z 1251 r. , którego fundatorką była księżna Grzymisława matka Bolesława. Dlatego rynek znajduje się za kościołem. Podobnie tyłem do rogu ul. Augustiańskiej i Skałecznej w Krakowie odwrócony jest kościół św, Katarzyny.

Orientowany kościół

Kościoły średniowieczne od V wieku n.e. do XIX wieku były orientowane, czyli zwrócone prezbiterium na wschód (łac. *Oriens* oznacza wschód). Na naszej długości geograficznej jest to równoznaczne z kierunkiem na Grób Święty w Jerozolimie, ale najstarszy kościół w Dura Europos nad Eufratem w Syrii zwrócony jest także na wschód, chociaż leży on na wschód od Jerozolimy. Zwyczaj orientowania kościołów był znany od początków chrześcijaństwa, które przejęło z tradycji pogańskiej kulty solarne i symbolikę solarną (łac. *sol*-słońce). Tertulian w II i III w.n.e. pisał o domach modlitwy, w których wierni gromadzą się *twarzą do światła* czyli na wschód. Św. Augustyn pisał, że *kiedy wstajemy do modlitwy, zwracamy się ku wschodowi, miejscu, gdzie podnosi się słońce.* Orygenes w „*Traktacie o modlitwie"* nazywał Jezusa Chrystusa *Słońcem Sprawiedliwości* albo *Wschodem.* Wschód słońca symbolizował zwycięstwo Chrystusa na ciemnościami i złem. Św. Tomasz z Akwinu rozwinął ideę orientowania kościołów: 1) aby wskazać majestat Boga objawiający się w ruchu nieba, którego początek jest na wschodzie, 2) aby przypomnieć nam, że usiłujemy powrócić do raju, który istniał na wschodzie, 3) ponieważ prorok Zachariasz nazwał światło świata Chrystusa –Wschodem, a prorok Daniel, głosił, że Chrystus wzniósł się ponad wszystkie nieba na wschodzie, 4) że wg. Ewangelii św. Mateusza powtórne przyjście Chrystusa na świat w dniu ostatecznym nastąpi od wschodu, albo pojawi się ze wschodem słońca. Średniowieczni teologowie Honoriusz d'Autun w traktacie *Zwierciadło Świata* i Durand de Mende porównują świątynię do ciała Chrystusa: prezbiterium przedstawia głowę Chrystusa, nawa główna – korpus, transept – ramiona, wielki ołtarz – serce, czyli centrum życia.

Zorientowanie świątyni miało symbolizować drogę człowieka, którą musiał przebyć od świata zachodu czyli (*profanum)* ku wschodowi (*sacrum*). Kościół staje się więc drogą świętą – drogą pielgrzymowania ku Ziemi Świętej czyli drogą zbawienia. Od chwili wejścia do kościoła człowiek jest oświecany blaskiem słońca przemieszczającego się w przeciwnym kierunku. To symbol łaski Bożej, obecności Boga. To jest *Via crucis* czyli droga światła, co najlepiej widać w liturgii światła w czasie Wigilii Paschalnej: Wierni tkwiący w ciemności podążają za paschałem-Światłem Chrystusa. Przechodząc przez bramę portalu wchodzą do wnętrza rozświetlającej się świątyni. Kierują się ku ołtarzowi, przy którym mają się oczyścić, uświęcić i spotkać z przychodzącym Zbawicielem, aby zasiąść z nim na uczcie.

Od reguły orientowania kościołów były wyjątki. Bizantyjskie bazyliki skierowane były na zachód, czyli na Rzym, gdzie spoczywały relikwie apostołów Piotra i Pawła. Praktykę tej „odwróconej orientacji" zarzucono już w VI wieku.

Już z końcem XIX wieku odchodzi się nagminnie od obowiązujących 1500 lat prawideł świętej geografii" czyli zasady orientowania kościołów. Możliwe, że ta liberalizacja jest wynikiem nieznajomości liturgii i języka symboli religijnych oraz ig-

norancji zarówno inwestorów jak i architektów, może dyktowana warunkami terenowymi. Nowe kościoły w Bochni p.w. św. Pawła Apostoła i św. Jana Nepomucena nie są orientowane.

Aspekt eschatologiczny orientowania kościołów polegał na tym, aby kapłan i wierni modlili się zwróceni twarzami ku wschodowi – w kierunku ołtarza usytuowanego w prezbiterium. Po soborze Vaticanum II nawet w orientowanych kościołach tylko wierni stoją i modlą się zwróceni ku wschodowi, kapłan zaś zwrócony jest do wiernych, a więc ku zachodowi czyli profanum.

Może kogoś zaciekawi proces orientowania kościoła. Ta czynność stała się religijnym rytuałem. Po ustąpieniu zimowej zmarzliny, w okresie wiosennego przesilenia (zrównanie dnia z nocą) rozpoczynano pierwsze pracę. Służył do tego prosty przyrząd gnomon składający się ze słupa, sznurka i rylca. W miejscu, w którym miał powstać kościół wbijano słup, naciągano sznurek i rylcem rysowano koło na ziemi, a następnie obserwowano cień rzucany przez słup. Zaznaczano na ziemi cień poranny i wieczorny, a linia poprowadzona przez te miejsca wyznaczała kierunek wschód- zachód. Kiedy słońce było w zenicie, a cień słupa stawał się najkrótszy wyznaczono kierunek północ-południe. Zaznaczone na obwodzie koła miejsca, jako wierzchołki, tworzyły kwadrat. Okazuje się po latach, że tego rodzaju wyliczenia ówczesnych budowniczych były bardzo dokładne, a odchylenia miały nie więcej niż kilka stopni.

Ulice Bochni, bramy, mury

Układ urbanistyczny śródmieścia Bochni jest pod ścisłą ochroną konserwatorską, dlatego, że odzwierciedla zabytkową, średniowieczną strukturę miasta. Nie oznacza to jednak, że nic nie zostało zmienione. Nie ma już bram i murów miejskich, zamku żupnego, ratusza, ale wiemy dokładnie, gdzie te obiekty były. Możemy np. na planie miasta narysować linię murów miejskich, określanych przez piętnasto i szesnastowiecznych skrybów jako *antiquus murrus* albo *murrus civilis* wzdłuż ulic, przy których one stały, albo przejść tymi ulicami i pokazać gdzie stały bocheńskie bramy miejskie, wymienione już w najstarszej, zachowanej księdze miejskiej (*Acta scabinalia*) pod rokiem 1488: Brama Sądecka (*Porta Sandecensis* lub *Brona Sandecka*), Brama Krakowska (*Porta Cracoviensis*), Brama Piotrkowska (*Porta Pyotrkoviensis*). Czy te informacje nie powinny być umieszczone na planie miasta? Są ulice o średniowiecznych nazwach znane już w XV wieku, przetłumaczonych na język polski, a więc ulica Biała (*Platea Alba*), ul. Różana (*Platea Rosarum*), ul.Kowalska (*Platea Fabrorum* lub *Ferrifabrorum*), ul. Trudna (*Platea Difficilis*) czy ul. Gołębia (*Platea Colombarum*). Nie zawsze ich dawny przebieg pokrywał się idealnie z obecnym.

Dom Bochniaków, Rynek 2

Niejednego, zwłaszcza młodego czytelnika zaskoczy wiadomość, że główną arterią miasta, główną osią handlową łączącą Bochnię z Krakowem nie była dzisiejsza ulica Kazimierza Wielkiego (dawniej ul. Piekarska (*Platea Pistorum*), ale ulica Biała, biegnąca od Rynku Dolnego (*Circulus inferior*) do Bramy Krakowskiej, a wydłużenie ul. Kazimierza Wielkiego i przebicie do traktu cesarskiego Kraków-Lwów nastąpiło dopiero w drugiej połowie XVIIII wieku.

W jakim polskim mieście są tak piękne nazwy ulic (od bocheńskich szybów solnych): Floris, Gazaris, Sutoris, Regis, Campi (od bocheńskich nazw topograficznych): Storynka, Murowianka, Pagorek, (od starych karczm): Czerwieniec, Wygoda, (od nazwisk zasłużonych bochnian): Ptaśnika, Windakiewicza, Julii i Wojciecha Goczałkowskich, Tadeusza Popka, Włodzimierza Podgórca, Marcina Samlickiego, Karola Frycza, gen. Waleriana Czumy. A o pochodzenie nazwy Karosek (dawna Via Nigra – ulica Czarna) możemy się spierać bez końca. I tak można by wymieniać dalej pozostałe nazwy i wykazywać ich związek z Bochnią, bo przecież Konfederaci Barscy także byli w Bochni i ufundowali ołtarz wielki w kościele parafialnym, a Helena Modrzejewska debiutowała w Bochni w 1861 r.

W nazwach ulic jak w zwierciadle odbija się historia Bochni i to muszą uświadomić sobie wszyscy mieszkańcy Bochni, aby w przyszłości nie pojawiały się pomysły na jakieś zmiany jak to miało miejsce w latach okupacji hitlerowskiej (ul. Kazimierza Wielkiego przemianowano na Hitlerstrasse) i PRL-u (ul. Kazimierza Wielkiego przemianowano na ul. Józefa Stalina). Przewrócono także wiele innych historycznych nazw, ale Stowarzyszenie Bochniaków zadbało, aby stare nazwy powróciły w 1989 r. Burzycieli starego pod kłamliwym hasłem nowoczesności, rzekomej wygody dla mieszkańców albo ekonomii nie brakuje w każdej epoce

Urok detalu – kocie łby

W latach PRL-u zlikwidowano w starych, zabytkowych miastach większość „kocich łbów" uznając je, wbrew stanowisku służby ochrony zabytków, za obiekty niepożądane i anachroniczne. Bezlitośnie się z nimi rozprawiono, pokrywając je, pod pozorem nowoczesności, lichymi dywanikami asfaltowymi. Stały się synonimem złych nawierzchni ulic i chodników. Były to kamienie polne starannie stawiane na sztorc. Były wizytówką zadbanych, zabytkowych miasteczek południowej Polski. Na Mazowszu stosowano kamienie okrągłe lub obłe (z lodowca skandynawskiego). Utwardzano nimi jezdnie i zasypywano następnie piaskiem, aby wystawały tylko górne ich części (łby). Kocie łby były na placach i ulicach Krakowa, Paczkowa, Bielska-Białej. Do niedawna historyczne kocie łby były w Oleśnicy i promowały zabytkowy walor tego miasta, ale podobno i tam ostatnio zostały ostatecznie usunięte. Ale w miastach, które dbają o artystyczny detal kocie łby wracają jako nawierzchnia śródmieścia lub jego fragmentów. Przypatrzmy się na starówkę Kołobrzegu. Ile uroku w tym detalu. Szlaki spacerowe wyłożone są wygodnymi płytami z jasnego kamienia o pow. np.2 m x 1 m. Ale wzdłuż tego szlaku są już kocie łby. Są one ułożone wokół latarni, wokół klombów i wazonów kwiatowych, co dodaje szczególnej atmosfery w tej części miasta. Tak właśnie mógłby wyglądać nasz bocheński rynek. Czy naprawdę tak trudno o niewielki gest wobec naszej przeszłości?

Kocie Łby w Starym Sączu

Kwiaty jako element dekoracyjny na bocheskich latarniach

Ważnymi elementem dekoracyjnym miasta są stylowe stare latarnie, fontanny i sadzawki, których potrzebę istnienia odczuwają turyści i mieszkańcy miasta, a także ptaki w upalne, bezdeszczowe dni lata, wygodne, estetyczne ławki na miejskich placach, skwerach i innych miejscach wypoczynku. Turyści zaglądający do „Domu Bochniaków" nie mogą zrozumieć, i my również, dlaczego nie ma ławek na Placu im.gen. Leopolda Okulickiego choć sezon wakacyjny w pełni. Jeden z największych patriotycznych symboli Bochni, jedyny w Polsce pomnik gen. Leopolda Okulickiego ostatniego komendanta Armii Krajowej i jego „żołnierzy jest właśnie w Bochni i przyciąga turystów z całej Polski.

O smaku artystycznym w bocheńskiej architekturze powinni wypowiadać się architekci. Ale zapewne zgodzą się ze mną, że można odnaleźć jeszcze w Bochni ślady gotyku (piękny fronton bocheńskiego kościoła pw. Św. Mikołaja) baroku („Dom Bochniaków" zwany Domem Pod Okiem Opatrzności Bożej, gdzie w latach 1822-1826 była kuria biskupia i mieszkał biskup Grzegorz Ziegler – przed powstaniem kurii diecezjalnej w Tarnowie), rokoka (ołtarz główny), neoklasycyzmu jak pałacyk przy ulicy Konstytucji 3 Maja 21 w którym mieściło się pogotowie ratunkowe, secesji - słynny *Koci Zamek* Teodora Talawskiego przy tej samej ulicy. Na dachu jednego z domów koło plant siedzi kamienny chłopek w czapce krakowskiej z kuflem piwa w ręku. W narożnym parterowym domu Serafińskich przy ul. Bernardyńskiej 10, gdzie wielokrotnie mieszkał także Jan Matejko był piękny wykusz, ale pod pozorem zapewnienia bezpieczeństwa drogowego i przy całkowitej ignorancji włodarzy miasta w 1975 r. nieświadomych jaki ważny element architektoniczny niszczą, został zlikwidowany. Kilka lat temu (w nocy) został wycięty lipowy starodrzew przy I Liceum Ogólnokształcącym im. Króla Kazimierza Wielkiego, pamiętający jeszcze młodzież gimnazjalną, która poszła do legionów Józefa Piłsudskiego, bo zapewne komuś z mieszkańców przeszkadzały liście spadające z tych drzew, miodowy zapach roztaczający się z lipowych kwiatów, albo cień rzucany przez drzewa. Różni decydenci i ludzie wpływowi mogą w Bochni wiele, bez oglądania się na opinię społeczną.

Cmentarz – jeden z najstarszych w Europie

Dawne cmentarze tworzono wokół kościołów parafialnych i zakonnych, a więc i przy bocheńskich kościołach parafialnym p.w. św. Mikołaja i kościołach zakonnych Dominikanów p.w. Najświętszej Panny Marii i Bernardynów p.w. Krzyża Świętego. Duchownych, patrycjat i kolatorów kościoła chowano w kościelnych podziemiach, kaplicach i kryptach[14]. Dopiero dekret cesarza Józefa II z 1784 zakazał pochówku na cmentarzach przykościelnych, nakazał ich likwidację i wytyczenie nowych poza obrębem miast. W takich okolicznościach powstał u nas cmentarz komunalny przy ulicy Orackiej. Założony został w 1787 roku na gruntach cechu krawców w kształcie gwiazdy, w której aleje i ścieżki rozchodziły się promieniście od bramy

Cmentarz Komunalny w Bochni 1787 - brama główna.

cmentarnej. Wzorowany był na Cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie, który powstał rok wcześniej. Jest to najstarsza bocheńska nekropolia istniejąca i funkcjonująca do dzisiaj i jedna z najstarszych w Europie. Położona w północno-zachodniej części miasta na pagórkowatym terenie, wśród pięknego, choć już mocno zniszczonego drzewostanu, to wznosi się, to znów opada, tworzy malownicze zakątki. Cmentarne drogi i dróżki, liczące się z konfiguracją terenu, wśród mogił ziemnych i zdobionych w cmentarne rzeźby grobowców przechodzą w cieniste aleje i skłaniają do zadumy nad przemijaniem życia ludzkiego, zwłaszcza kiedy natrafiamy na miejsce pochówku kogoś nam bliskiego. Tutaj rodzą się uczucia pełne sentymentu dla tych, którzy za cmentarną bramą znaleźli swoją przystań, szacunek dla majestatu śmierci i szczególne odczuwanie piękna tego *miasta umarłych - ziemi mogił i krzyży*.

Bocheński cmentarz komunalny przy ulicy Orackiej jest – jak wyżej wspomniałem – jednym z najstarszych cmentarzy komunalnych w Europie funkcjonujących do dnia dzisiejszego. Starszy jest od cmentarza Powązkowskiego w Warszawie (1790 r.), od cmentarza na Rossie w Wilnie (1801 r.), od cmentarza Rakowickiego w Krakowie (1801-02). Młodsze od bocheńskiej nekropolii są największe cmentarze w stolicach i innych miastach Europy i świata, które przykładowo wymieniam niżej. W Paryżu: *Per Lachaise* (1804), gdzie pochowany jest Fryderyk Chopin i *cmentarz Montmartre* (1795) na którym spoczywają najwybitniejsi francuscy pisarze i kompozytorzy, w Brukseli: *Cimitiere d'Ixelles* (1832) największy cmentarz w Belgii, w Rzymie: *Cimitero del Verano* (Campo Verano) w dzielnicy Tiburtino (1805), *Cimitero Flaminio* (Cimitero di Prima Porta) z pocz. XIX w. największy publiczny cmentarz we Włoszech, cudowny cmentarz protestancki w dzielnicy Testaccio koło piramidy Cestii (1821), w Wenecji: *Cimitero di San Michele* (zał. w XIX w.), w Londynie: *cmentarz Highgate* założony dopiero w epoce wiktoriańskiej, w Madrycie: *cmentarz Almudena* jedna z największych nekropolii w Europie (1884), cmentarz cy-

wilny (1884) cmentarz angielski (1852), w Lizbonie: *cmentarz Prazeres* (1833), w Kijowie: *cmentarz Bajkowy* (Bajkowski) jedna z najstarszych nekropolii Ukrainy (1834), gdzie leży Wanda Wasilewska wiceprzewodnicząca PKWN i poeta Włodzimierz Wysocki, w USA (stan Wirginia): Narodowy *Cmentarz w Arlington* z czasów wojny secesyjnej, gdzie są groby braci Johna i Roberta Kennedych, a do 1992 r. grobowiec Ignacego Jana Paderewskiego, w Rio de Janeiro: *Cemiterio Sao Joao Batista* (1852), w Buenos Aires: narodowy cmentarz *Cementerio de la Chacarita* (1871) i *Cementerio de la Recoleta* (1870), gdzie spoczywają prezydenci i pisarze Argentyny, zmarła w dzieciństwie jednoroczna wnuczka Napoleona i Marii Walewskiej (1847) i zabalsamowane zwłoki 33-letniej Evy Duarte Peron, słynnej Evity.

Kilka podanych wyżej przykładów uświadamia nam jak zabytkowa jest bocheńska nekropolia. Na wniosek Stowarzyszenia Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej wpisana została w 1980 r. do rejestru zabytków województwa małopolskiego. Bocheński cmentarz komunalny ma bowiem nie tylko piękną metrykę (istnieje od 224 lat), ale jest także swoistym lapidarium rzeźby nagrobnej wytwarzanej w bocheńskim zakładzie Wojciecha Samka i Antoniego Hajdeckiego i Franciszka Adamka, który działał tutaj od przełomu XIX i XX wieku. Wykorzystując wzory ludowej, polskiej rzeźby drewnianej tworzył kamienne arcydzieła przedstawiające Chrystusa Frasobliwego, Matkę Bożą, anioły. Tą polską rzeźbą nagrobną wypierał masowe, tandetne produkty wiedeńskiej firmy kamieniarskiej Insam-Prinoth i z tym zalewem niemczyzny skutecznie walczył, o czym interesująco pisał prof. Roman Reinfuss. To istniejące jeszcze na bocheńskim cmentarzu (ubożejące z roku na rok) lapidarium polskiej rzeźby nagrobnej powinniśmy szczególnie chronić.

* * *

Ilość podniesionych wątków dotyczących konieczności ochrony naszych bocheńskich imponderabiliów a także nowego sformułowania oferty promocyjnej jest już wystarczająco duża. Kontynuowanie tego tematu mogło by zmęczyć każdego czytelnika. W okresie wakacyjnego wypoczynku może jednak taka lektura kogoś zainteresuje, może w listach do redakcji ktoś podejmie ten temat, uzna potrzebę jego kontynuowania – a jest jeszcze o czym pisać. Może chętni włączą się do koleżeńskiego kółka naszej redakcji i wspólnie spróbujemy dopisać kiedyś ciąg dalszy.

Stanisław Kobiela

PRZYPISY:

[1] zob. *Monumenta Poloniae Historica* wyd. W.Kętrzyński t.IV p.662-744

[2] Dolna część polichromii została zapewne zniszczona w związku z koniecznością dobudowania kaplicy Matki Bożej Bocheńskiej

[3] Józef Piotrowicz, *Geneza górnictwa solnego w Polsce*, [w: Studia i materiału do dziejów żup solnych w Polsce t.II s.173-234, Muzeum Żup Krakowskich-Wieliczka 1968]

[4] tamże s. 215

[5] Józef Piotrowicz, *Początki kopalni soli w Bochni w świetle faktów i legendy o pierścieniu księżnej Kingi* [w: Wiadomości Bocheńskie nr 4 (83) 2009]

[6] Kolejność poziomów w kopalni wielickiej: Bono, August, Franciszek, Słowacki, Rittinger, Austria, Regis, Lauer, Biliński (głębokość ostatniego 288 m.). Jak wynika z mapy Zwirnera przedstawiającej stan kopalni bocheńskiej w l. 1867-1872 w Nowych Górach pod szybem Campi znajdowało się siedem ukończonych poziomów (August, Wrbna, Ferdynand, Błagay, Podmoście, Stampfer, Russegger i ósmy w budowie Badeni, zaś w Starych Górach pod szybami Sutoris i Floris było dziewięć poziomów (Danielowiec, Reichetzer, Vernier, August, Lobkowitz, Rupprecht, Stanetti, Freindl i Fryze), a trzy podłużnie: August, Podmoście-Freindl i Stampfer-Fryze łączyły obie części kopalni, która rozciągała się od wsi Podedworze na wschodzie do wsi Chodenice na zachodzie. Aktualnie kolejność poziomów w kopalni bocheńskiej jest następująca: August, Lobkowicz, Windakiewicz, Sienkiewicz, Staszic, Błagaj, Furdzik-Windakiewicz, Mickiewicz, Słowacki, Piłsudski, Wilson-Paderewski, Kościuszko (głębokość ostatniego 408 m.). Zob. Kazimierz Dziwik, *Żupy krakowskiej w II Rzeczypospolitej* [w: „Dzieje żup krakowskich", praca zbiorowa Wieliczka 1988 r. s. 236 i 310]. Pan mgr inż. Wiesław Kowalczyk kierownik Działu Robót Górniczych bocheńskiej kopalni soli dodaje, że istniał jeszcze niżej poziom Skoczylas, a w latach 70-tych XX wieku roboty górnicze prowadzono na głębokości nawet 500 metrów i eksploatowano stamtąd sól.

[7] A. Brückner wywodzi nazwę Krakowa od kruka, albo krzaka, inni od legendarnego księcia Kraka lub Krakusa

[8] Patriarcha ten nazywał się Aymar Muur. W polskim przekładzie przywileju błędnie przetłumaczono „sal de Bochegna" jako „szyb" soli w Bochni

[9] Antoni Jodłowski, *Początki eksploatacji soli* [w: Dzieje żup krakowskich, (praca zbiorowa) Wieliczka 1988 r. s 94],

[10] Józef Piotrowicz, *Geneza…*s. 201,

[11] S. Dobranowski, S. Kobiela *Miasto Siedmiu Wzgórz* [w: Wiadomości Bocheńskie nr 4 (36) z 1997 r.]

[12] Prof. dr hab. Józef Mitkowski (1911-1980) wybitny uczony, mediewista, niestrudzony i zasłużony badacz przeszłości Krakowa, inicjator powstania wielotomowych „Dziejów Krakowa", prezes Rady Naukowej Stowarzyszenia Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej (1978-1980)

[13] Kraków otrzymał prawa miejskie w 1257 r. ale już w czasach Bolesławów Chrobrego, Śmiałego i Krzywoustego był mocnym ośrodkiem władzy państwowej i kościelnej, oraz ośrodkiem handlowym, rzemieślniczym, oświatowym i trudno było go zaliczyć do wsi polskich. Kalisz (Calisia) był wymieniony na mapie Ptolemeusza z Aleksandrii w II w., ale prawa miejskie otrzymał w 1257 r., nazwa Bochegna wymieniona była w 1198 r. Andrzej Żaki w pracy *Najstarsze miasta Małopolski* (PAN 1967 s.4-5) pisze o przedkolacyjnych miastach na prawie polskim, a także o pramiastach czyli grodach wiślańskich, z których niektóre jak Chodlik czy Szczaworyż zamarły już w VIII wieku, inne jak Stawy, Damice, Wietrzno-Bóbrka przetrwały do X lub XI wieku i stawia ciekawą hipotezę, że z chwilą narodzenia się ponadplemiennych państw czeskiego i polskiego zostały świadomie zniszczone jako ośrodki władzy plemiennej z wyjątkiem Krakowa.

[14] W czasie remontu kościoła parafialnego w latach 60-tych XX w. wydobyto stosy ludzkich czaszek i kości. Także przy budowie sali gimnastycznej przy I LO w Bochni z końcem lat 70-tych XX w., gdzie kiedyś stał kościół Krzyża świętego natrafiono na liczne szkielety, ale szybko je usunięto.

Michał Wenklar (IPN Kraków)

Jan Jarotek i Jan Dubaniowski „Salwa”

Powojenny opór wobec komunistycznej władzy

65 lat temu, 2 kwietnia 1946 r., w bocheńskim UB zakatowano na śmierć wójta gminy Łapanów, działacza PSL Jana Jarotka. Został zamordowany w odwecie za skuteczną akcję oddziału NSZ Jana Dubaniowskiego ps. „Salwa”. Zorganizowana 19 kwietnia bieżącego roku przez Klub Historyczny im. Gen. Stefana Roweckiego „Grota” przy bocheńskim ŚZŻAK oraz Zespół Szkół im. Jana Pawła II w Łapanowie konferencja „Jan Jarotek – wójt Łapanowa na tle powojennej historii regionu” pozwoliła przypomnieć nie tylko bohatersko-tragiczne postaci Jarotka i Dubaniowskiego, ale szerzej cały, wielowątkowy zryw oporu przeciw narzuconej Polsce po wojnie dyktaturze. Jedność celów przy różnorodności form oporu symbolizowała otwarta wówczas w Łapanowie wystawa „Działacze WiN i PSL przed sądem komunistycznym”.

Sprzeciw wobec reżimu

Koniec II wojny światowej trudno w przypadku Polski nazwać wyzwoleniem. Polskie ziemie zostały zajęte przez Armię Czerwoną, która w dużej mierze zachowywała się jak agresor na terenie podbitym. Aresztowała przedstawicieli legalnych władz polskich, zwalczała podziemną armię. Związek Sowiecki anektował ok. 40% przedwojennego terytorium Polski. Sowieci i komuniści nie planowali współpracy z legalnymi władzami – rządem RP w Londynie i jego konspiracyjnymi przedstawicielami w kraju – ani pozostawienia swobody w wyborze systemu politycznego czy gospodarczego. Stalin dążył do – jak to obecnie nazywamy – okupacji przez przedstawiciela, czyli za pośrednictwem polskich komunistów, których poparcie społeczne było marginalne, utrzymanie władzy musieli więc sobie zapewnić siłą, terrorem.

Instalacja nowej, narzuconej władzy, reprezentującej wartości obce zdecydowanej większości społeczeństwa, budziła oczywisty sprzeciw. Opór ten możemy podzielić na opór zorganizowany, reprezentowany przez partie czy organizacje, oraz na opór niezorganizowany – spontaniczny, żywiołowy.

W pierwszym okresie, do 1948 r., dominował opór zorganizowany, obejmujący zarówno polityczną i zbrojną walkę konspiracyjną, jak i „legalną” działalność opozycji politycznej. Aparat represji nie infiltrował jeszcze wówczas tak głęboko społeczeństwa, wciąż żywe było przekonanie o tymczasowości władzy komunistów, o szybkim ich odsunięciu od rządów czy to poprzez wolne wybory, czy w wyniku konfrontacji świata zachodniego z ZSRR.

W ramach oporu zorganizowanego mieścił się jawny opór polityczny. Był on zdominowany w powojennej Polsce przez PSL (do sierpnia 1945 r. SL) Stanisława Mikołajczyka, byłego premiera Rządu RP w Londynie, który podjął rozmowy z komunistami i od czerwca 1945 r. wszedł jako wicepremier do Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej. PSL szybko stało się najliczniejszą partią w Polsce, szczególnie silną na terenach wiejskich, w terenie, w niektórych regionach monopolizującą wręcz władze lokalne – gminne czy powiatowe. Przedstawicielem tego nurtu oporu był właśnie wójt Łapanowa, Jan Jarotek. Włączali się do działalności PSL nie tylko ludzie związani z ruchem ludowym czy wsią. Niektórzy przyrównują tę partię do późniejszej „Solidarności” – po prostu była to największa jawna siła polityczna, z którą można było wiązać nadzieje na odzyskanie co najmniej swobód demokratycznych, jeśli nie od razu niepodległości. Drugą partią o niepodległościowym programie, która zdecydowała się na działalność w kraju w ramach ustaleń jałtańskich, było chadeckie Stronnictwo Pracy Karola Popiela. Partia ta nie uzyskała takiego znaczenia jak PSL, wcześniej też została przez komunistów praktycznie unicestwiona.

Kolejna kategoria oporu zorganizowanego – opór polityczny konspiracyjny – to przede wszystkim Zrzeszenie „Wolność i Niezawisłość”, zwłaszcza u swoich początków. Zaskakiwać może zaliczenie WiN do kategorii oporu politycznego. Była to przecież kontynuacja podziemia zbrojnego z czasów okupacji, oparta na strukturach AK, i późniejszej DSZ. Pamiętajmy jednak, że twórcom Zrzeszenia „WiN” zależało na przeorientowaniu działalności poakowskiej konspiracji z celów wojskowych na cywilno-polityczne. Uznano, że w warunkach dyktatury wspieranej przez wschodnie mocarstwo, to nie prowokująca represje walka zbrojna, ale jedynie działalność polityczna może doprowadzić do odzyskania przez Polskę niepodległości. Dlatego u swoich początków WiN zakładało, że jego celem będzie walka o to, żeby uratować chociaż to, co nam teoretycznie zagwarantowała Jałta – wolne wybory. Pierwszy dokument programowy organizacji kończył się słowami: „Wyborów sfałszować nie damy”.

Aktywność WiN skupiała się przede wszystkim na trzech płaszczyznach: wywiadu, propagandy i samoobrony. Działalność zbrojna nie stanowiła jego zasadniczej formy działalności, było ono jednak do niej zmuszane przez represje władz. Powstawały kilkuosobowe grupy dywersyjne, nazywane strażami lub oddziałami samoobrony, które poprzez kary chłosty i likwidacje szczególnie niebezpiecznych funkcjonariuszy UB próbowały powstrzymać proces rozpracowywania podziemia. Zwierzchnictwo WiN uznawały też większe oddziały, czy nawet zgrupowania partyzanckie, jak to miało miejsce na Rzeszowszczyźnie, Lubelszczyźnie czy Podlasiu.

Ostatnią formą oporu zorganizowanego było właściwe podziemie zbrojne – oddziały partyzanckie, leśne, tzw. żołnierze wyklęci. Część z nich to po prostu kontynuacja AK – w głównym nurcie organizacja NIE i Delegatura Sił Zbrojnych na Kraj, na bazie których powstanie WiN. Tu również umieścimy podporządkowane WiN oddziały zbrojne, a obok organizacje związane z ruchem narodowym – Narodowe Zjednoczenie Wojskowe (NZW) i Narodowe Siły Zbrojne (NSZ). Do tego trzeba dodać cały szereg lokalnych organizacji i oddziałów, czy nawet zgrupowań kilku oddziałów, pozostających bez łączności ze strukturami ogólnopolskimi.

W tej formie oporu mieści się oddział Jana Dubaniowskiego ps. „Salwa”. Jakkolwiek formalnie był to oddział NSZ, to faktycznie można go traktować jak oddział poakowski. Sam

Dubaniowski był przed wojną oficerem zawodowym, w czasie okupacji walczył w AK. Po rozwiązaniu AK w styczniu 1945 r. nawiązał kontakt z kontynuującymi walkę strukturami NSZ i objął dowództwo obwodu bocheńskiego tej organizacji. Prawdopodobnie zaważyły tu nie związki ideowe Dubaniowskiego z ruchem narodowym – NSZ był traktowany po prostu jako struktura niepodległościowa, szczególnie znienawidzona przez komunistów. Być może „Salwa" do nich najpierw trafił, szukając kontaktów z innymi środowiskami konspiracyjnymi, po zerwaniu łączności ze strukturami poakowskimi. W każdym razie większość jego żołnierzy to byli dawni akowcy, a nawet żołnierze BCh. Trzeba jednak wspomnieć, że teren powiatu bocheńskiego w czasie okupacji posiadał dość silną siatkę konspiracji narodowej, z oddziałami noszącymi nazwę Obozowych Drużyn Bojowych. Przy czym były to te struktury ruchu narodowego, które scaliły się z Armią Krajową.

Akcja podziemia i zemsta UB

Oddział „Salwy" stanowi przykład typowego oddziału podziemia niepodległościowego. Oparty na kadrach poakowskich, ludziach z tej ziemi, dobrze znających teren. Większość jego żołnierzy pochodziła ze wsi Ubrzeż, Zbydniów, Kamyk, niektórzy z okolic Kłaja lub powiatów sądeckiego, myślenickiego czy limanowskiego. Na ich działalność składało się rozbrajanie posterunków MO, likwidacja funkcjonariuszy UB czy sowieckich oficerów, rozstrzeliwanie konfidentów bezpieki. M.in. 6 lutego 1946 r. żołnierze Dubaniowskiego opanowali posterunek MO w Łapanowie i aresztowali przebywających tam trzech funkcjonariuszy PUBP z Bochni, którzy zostali później rozstrzelani. Podstawowym zadaniem było jednak przetrwanie, ciągłe odpieranie kolejnych obław UB. Podczas jednej z takich obław zginął żołnierz oddziału Józef Truty ps. „Lis", co stało się przyczyną ciągu wydarzeń, które doprowadziły do śmierci Jarotka.

Na niedzielę 31 marca „Salwa" zamówił mszę za duszę „Lisa" w Łapanowie. Na ten sam dzień zaplanowany został tam wiec przed zbliżającym się tzw. referendum ludowym. Na wiec w Łapanowie przyjechali z eskortą MO i UB lokalni dygnitarze, m.in. kierownik Wydziału Propagandy Komitetu Wojewódzkiego PPR w Krakowie Jan Chlebowski, I sekretarz Wacław Rybicki oraz II sekretarz Stanisław Smajda z Komitetu Powiatowego PPR z Bochni, przedstawiciele SD i SL z Krakowa oraz wicestarosta Andrzej Burda. Udziału odmówił prezes Zarządu Powiatowego PSL w Bochni, Władysław Ryncarz.

Dubaniowski o wizycie komunistycznych kacyków w Łapanowie dowiedział się prawdopodobnie od wójta Jarotka. Szybko podjął decyzję, by urządzić zasadzkę. Zaczaił się ze swoimi żołnierzami zaraz za mostem nad Stradomką, kilka kilometrów od Łapanowa. Wkrótce nadciągnął powracający do Bochni konwój delegatów. Najpierw jechała ciężarówka, a w niej komendant powiatowy MO Stanisław Gruszka z jedenastoosobowym plutonem operacyjnym, potem opel z działaczami partyjnymi i w końcu dodge z funkcjonariuszami UB. Pierwszy samochód został zatrzymany wiązkami granatów, potem nastąpił krzyżowy ostrzał ze strony partyzantów. Zginęło według różnych danych od siedmiu do dziesięciu osób, w tym komendant Gruszka, czterech milicjantów i trzech ubeków. Rany odniosło ponad dziesięć osób, m.in. Chlebowski z KW PPR i Smajda z KP PPR. Partyzanci wycofali się bez strat.

Na taki cios komuniści zareagowali furią. Nie mogąc dosięgnąć rzeczywistych sprawców, zemścili się na tych, którzy w rozgrywce o wolną Polskę stali po tej samej stronie barykady co żołnierze podziemia, na lokalnych działaczach PSL. 1 kwietnia funkcjonariusze UB spalili zabudowania członka Komisji Rewizyjnej PSL w powiecie Wojciecha Sotoły, aresztowali kilku działaczy stronnictwa z Woli Wieruszyckiej i Zbydniowa oraz wójta Jana Jarotka. Ten ostatni po przewiezieniu do gmachu PUBP w Bochni był okrutnie torturowany, aż do śmierci. Jego zmasakrowane ciało ubowcy pochowali na podwórku urzędu. Do Krakowa wysłano meldunek, że Jan Jarotek został zastrzelony podczas ucieczki.

W tym budynku przy ulicy Krakowskiej funkcjonariusze PUBP w Bochni torturowali i zamordowali wójta Łapanowa Jana Jarotka 2 kwietnia 1946 roku.

Różne drogi w walce o wolność

Różnorodność form oporu, sprzeciwu wobec komunistów, wynikała z przedwojennej czy okupacyjnej działalności, poglądów ideowych, różnego pojmowania świata przez żołnierzy i polityków, przede wszystkim z różnej oceny ówczesnej rzeczywistości. My dzisiaj wiemy jak historia się dalej potoczyła. Ówczesne społeczeństwo nie wiedziało, co się wydarzy, miało własne nadzieje, przewidywania, i zależnie od nich przygotowywało konkretne działania. Z tego wynikały różne metody przeciwstawiania się reżimowi.

Działacze PSL Stanisława Mikołajczyka – a częściowo i pozostającej w konspiracji opozycji politycznej – wierzyli, że komuniści będą respektować ustalenia konferencji jałtańskiej, że zorganizują prawdziwie wolne wybory. Sądzili, że gwarancją wolnych wyborów będzie stanowisko zachodnich mocarstw – Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii. Dlatego zdecydowali się na jawną, legalną w ówczesnym systemie działalność partyjną. Żołnierze podziemia zbrojnego, partyzanci, owi „Żołnierze Wyklęci", liczyli przede wszystkim na kolejny konflikt światowy. Sądzili, że wojna między dawnymi sprzymierzeńcami anglosasami i Sowietami, pozwoli na zrzucenie komunistycznego jarzma. Zadanie, jakie sobie w związku z tym stawiali, brzmiało: przetrwać. Przetrwać pod bronią, zachować strukturę, zachować kadry, w miarę możliwości osłabiać reżim, przeciwdziałać represjom, ale przede wszystkim dotrwać do momentu nowej wojny, tym razem przeciwko Sowietom.

Nadzieje jednych i drugich okazały się płonne. Anglosasi de facto zgodzili się na pozostawienie Polski pod sowiecką dominacją, nie ryzykowali otwartego konfliktu ze Stalinem w obronie polskiej demokracji. Przewidziane w Jałcie wybory zostały całkowicie sfałszowane, PSL zostało rozbite kolejnymi represjami, szykanami, skrytobójczymi mordami. Ostatecznie po ucieczce Mikołajczyka resztki stronnictwa uznały dominację komunistów, a w 1949 r. zostały połączone z prokomunistycznym, tzw. lubelskim SL, tworząc Zjednoczone Stronnictwo Ludowe, które do 1989 r. będzie elementem fasadowej demokracji w PRL.

Jedni i drudzy ponieśli porażkę. Tak potoczyła się historia. Ale należy pamiętać, że oni walczyli o to samo – o niepodległość, suwerenność, demokrację. To był jeden obóz wolności, podejmujący na różne sposoby opór wobec narzuconego reżimu. Trzeba pamiętać, że większość żołnierzy podziemia to byli chłopi, a ich oddziały mogły tak długo funkcjonować, bo posiadały oparcie w terenie, na wsi – gdzie można było uzyskać pożywienie, nocleg, informacje. O żołnierzach „Salwy" UB pisał wprost: *przeważająca ich większość była pochodzenia chłopskiego z środowiska wiejskiego, zamieszkująca w okolicznych miejscowościach powiatu bocheńskiego. Środowisko to, w tym wielu członków rodzin i krewnych bandytów, stanowiło bazę zaopatrującą bandę w żywność, udzielającą schronienia i melin w zabudowaniach gospodarskich.* Była to cecha większości oddziałów podziemia niepodległościowego. Funkcjonowały one, czy wyrastały często z tych samych środowisk, które też głosowały na PSL, ich bracia, ojcowie lub oni sami czynnie działali w partii Mikołajczyka.

Podkreślali to również komuniści często eksponując w propagandzie związki PSL z podziemiem, publikując w prasie zdjęcia zestawiające zdobytą na partyzantach broń z legitymacjami partii Mikołajczyka, pisząc o współpracy peeselowców z „bandytami". Symbolicznym zwieńczeniem takiej strategii propagandowej, ale też poświadczeniem wspólnej walki różnych środowisk niepodległościowych z jednym wrogiem, był tzw. proces krakowski, odbywający się na przełomie września i sierpnia 1947 r. Był to jeden z największych komunistycznych procesów pokazowych. Na ławie oskarżonych zasiadło siedemnastu działaczy WiN i PSL, w tym m.in. płk Franciszek Niepokólczycki, prezes II Zarządu WiN oraz Stanisław Mierzwa, zastępca generalnego sekretarza PSL. Proces trwał niemal miesiąc, a celem jego organizatorów było ukazanie Zrzeszenia „WiN" z jednej strony jako organizacji szpiegowskiej działającej w interesie obcych mocarstw, z drugiej jako podziemnej ekspozytury PSL. Chodziło zarówno o kompromitację wiernych Rządowi RP działaczy WiN, jak i o przygotowanie gruntu do ostatecznej rozprawy z PSL. Na wspólnej ławie oskarżonych umieszczono przedstawicieli dwóch koncepcji walki o Polskę demokratyczną i suwerenną. Powszechnie odczytywano, że jest wstęp do procesu samego Stanisława Mikołajczyka, który jednak dwa miesiące później zagrożony aresztowaniem potajemnie opuścił kraj.

Kres oporu zorganizowanego

Zorganizowane formy oporu najsilniejsze były w pierwszej połowie roku 1946. Wtedy najmocniejsze było podziemie, istniały całe obszary opanowane praktycznie przez partyzantów, gdzie władza komunistów ograniczała się do miast powiatowych, i to w dzień. Wtedy najsilniejsze było PSL. Kolejne represje ze strony reżimu, głównie wykonywane przez UB, miały wkrótce zmienić tę sytuację. Ponieważ władze obawiały się wyborów, wcześniej, w czerwcu 1946 r., przeprowadziły wspomniane tzw. referendum ludowe. Propaganda nawoływała do głosowania trzy razy tak, a pytania były tak skonstruowane, że merytorycznie rzecz biorąc trudno było odpowiedzieć nie. Ale społeczeństwo wiedziało o co chodzi. W powiecie bocheńskim mniej niż 10% głosowało trzy razy tak. W skali kraju ok. 3/4 głosujących sprzeciwiło się władzom. Wyniki zostały jednak sfałszowane z pomocą doradców z NKWD.

Okres referendum to czas wzmożonego terroru i represji. Druga taka fala przyszła przed wyborami do Sejmu Ustawodawczego – tymi zapowiedzianymi w Jałcie. Silnym akcjom przeciw partyzantom towarzyszyły ataki na PSL – propaganda, aresztowania, szantaże, w końcu mordy, podobne do zabójstwa Jarotka. Czas wyborów to praktycznie kres funkcjonowania niezależnego PSL. Wybory zostały sfałszowane, z wykorzystaniem doświadczeń nabytych w trakcie przeprowadzania referendum. Nie znamy ich prawdziwych wyników, ale nie ma wątpliwości, że gdyby były wolne, zwyciężyłaby w nich partia Mikołajczyka. O nastawieniu ludności rejonu bocheńskiego mówi meldunek jednej z tzw. grup propagandowo-ochronnych, które wyjeżdżały w teren przed wyborami: *W powiatach tarnowskim, bocheńskim i brzeskim większość ludności trwa dalej w zaciętym oporze przeciwko propagandzie Bloku Demokratycznego*.

Jan Dubaniowski, który po akcji w Łapanowie z powodzeniem kontynuował działalność partyzancką – w czerwcu 1946 r. zdobył m.in. posterunek MO w Kamionce Małej i zaatakował posterunek w Łukowicach, a w październiku rozbił posterunki w Łapanowie i Iwkowej – postanowił skorzystać z ogłoszonej po wyborach amnestii. Chciał ujawnić się przed władzą, wrócić do normalnego życia, bez ciągłego strachu przed śmiercią. Widział, że walka traci sens, giną kolejni partyzanci, reżim jest coraz mocniejszy, a szanse na nową wojnę światową coraz mniejsze. Po kilku miesiącach od ujawnienia „Salwa" musiał jednak zagrożony represjami wracać do lasu. Z kilkoma dawnymi podkomendnymi odtworzył oddział, z którym następnie próbował przejść w rejon Beskidu Sądeckiego. Zaskoczony na kwaterze w Rudzie Kameralnej, zginął w starciu z funkcjonariuszami UB z Brzeska 27 września 1947 r.

Po sfałszowanych wyborach charakter oporu przeciw władzy się zmieniał, choć pojedyncze oddziały podziemia jeszcze funkcjonowały. Zaczynał się okres, w którym większość społeczeństwa przekonana była o trwałości narzuconego systemu i nieskuteczności czynnego oporu. Nie istniały już niezależne partie polityczne, zanikały struktury podziemia. Ówczesne zjawiska oporu koncentrowały się na ochronie istniejących jeszcze przestrzeni wolności i obronie przed ingerencjami coraz silniejszej władzy w kolejne sfery życia indywidualnego i społecznego. Głównymi nośnikami tego sprzeciwu zostanie z jednej strony Kościół, z drugiej zaś chłopi, którzy od początku lat 50. będą zmagać się z groźbą kolektywizacji, ostatecznie przezwyciężoną w październiku 1956 r. Ten duch oporu będzie przejawiać się w kolejnych polskich miesiącach – czerwcach, październikach, grudniach, sierpniach – aż do odzyskania suwerenności.

Michał Wenklar

Echo okupacyjnych lat w Bochni

Wywiad z panem Ryszardem Czamarą

Pan Ryszard Czamara urodził się 17 stycznia 1928 roku w Bochni, w rodzinnym domu na Skarpie Kolanów. Miał dwóch braci. Ojciec pracował w bocheńskiej kopalni soli a matka zajmowała gospodarstwem domowym. Dzisiaj koło tego domu biegnie ulica Czerwieniec, ale wtedy nie była to część rdzennego Czerwieńca. Dopiero po wojnie w 1945 r. nazwę Czerwieniec rozciągnięto na cały ten teren, aż do ulicy Wiśnickiej.

Pan Czamara odpowiedział na nasz apel zamieszczony w specjalnym numerze „Wiadomości Bocheńskich" poświęconym bocheńskim epizodom Wojny Obronnej 1939 r. i zgodził na udzielenie naszej redakcji wywiadu o czasach, które zapamiętał jako kilkunastoletni chłopiec.

W chwili wybuchu II wojny światowej miał Pan 11 lat

Ojciec z dwoma starszymi synami ewakuował się na wschód i doszedł aż do Niska, skąd następnie z różnymi kłopotami powrócili do domu. Ja z matką ukryliśmy się u sołtysa Piechnika, który był człowiekiem uczynnym i powszechnie szanowanym. Wycofujący się od Myślenic polscy żołnierze nie kierowali się do centrum Bochni, ale przez obecną ulicę Czerwieniec i Zalesie szli w kierunku Brzeźnicy.

Na drugi dzień po strzelaninie wróciliśmy z matką do naszego domu. Na dole szkarpy koło domu leżeli ranni dwaj polscy żołnierze, a trzeci stał za domem i usiłował wyjąć z nogi pocisk. Kula przebiła mu stopę, ugrzęzła w kości, ale znaczny kawałek pocisku przebił się przez skórę i widać go było gołym okiem. Pobiegłem do domu po obcęgi. Przez chwilę mocowałem się z pociskiem, ale nadeszli Niemcy i zabrali jeńców ze sobą. Przed odejściem musiałem z jednym z nich wejść na strych, chcieli bowiem sprawdzić czy nie ma tam ukrywających się polskich żołnierzy.

Czy w czasie okupacji odbywała się nauka w szkołach powszechnych?

Chodziłem do szkoły powszechnej im. Brodzińskiego na Górnym Rynku. Była ona czynna także w czasie wojny, ale część sal przeznaczono dla dzieci niemieckich. Kierownikiem szkoły był pan Lohn, który wpisywał swoje uwagi do dzienniczków. Musieliśmy na drugi dzień pokazywać czy w dzienniczkach jest podpis ojca. Pamiętam, że rachunków uczył nas pan Kaszuba, a polskiego pani Pałamarzowa. Innych przedmiotów nie było. Nauka polskiego ograniczona była do nauki liter i składania wyrazów polskich. Jedynym podręcznikiem była broszura zatytułowana „Ster". Nauka trwała 3 może 4 godziny dziennie. W szkołach średnich nauka była zakazana.

Podobno widział pan zakładników prowadzonych na rozstrzelania w lasku Uzbornia?

W grudniu 1939 r. widziałem w rynku powieszonych na latarni Krzyszkowskiego i Piątkowskiego, a kilka dni później, kiedy wracałem ze szkoły może koło 11.00 lub 12.00 zobaczyłem kolumnę ludzi idących od rynku z podniesionymi rękami. Po obu stronach kolumny szli Niemcy z karabinami w rękach. Na przodzie jechało na koniach dwóch umundurowanych Niemców. Dzień był pogodny, nie sypał śnieg. Kolumna skręciła na Uzbornię. Stałem wtedy z kolegami na ulicy Kazimierza Wielkiego przed niemieckimi koszarami (dzisiaj jest tam budynek internatu). Byłem pewny, że prowadzą jakąś grupę roboczą do prac porządkowych w lasku. Po chwili usłyszałem strzały. To co się tam działo przeraziło mnie. Z płaczem pobiegłem do domu. To był dla mnie ogromny wstrząs.

Jak wyglądało życie codzienne w okupowanej Bochni?

W pierwszych latach okupacji jakichś innych dramatycznych wydarzeń nie zapamiętałem. W 1940 r. jako 12 letni chłopiec zatrudniłem się przy elektrykach w kopalni soli przy szybie Campi. Pracowałem tam razem z Adamem Cyzem. W kopalni pracował mój ojciec i brat Józef. Kierownikiem był Niemiec niejaki Gerber. Dyrekcja kopalni mieściła się w budynku salinarnym na plantach, a dyrektor – jak zapamiętałem – nosił okulary. Pewnego razu, gdy szedłem na drugą zmianę w czasie godziny policyjnej w okolicy koszar zostałem zatrzymany przez patrol. Niemcy mieli przy sobie niewielkie latarki, z których światło było słabe, chyba dlatego, aby nie zauważono go z samolotu. Oświetlili najpierw moją twarz i zażądali : *Bitte ausweis!* Kiedy sprawdzili, że wszystko jest w porządku jeden z nich powiedział: *Ja gut! Schone arbeit!*

Byliśmy jako górnicy w trochę lepszej sytuacji materialnej niż bezrobotni, bo raz w miesiącu otrzymywaliśmy z kopalni papierosy marki „Juno", wódkę „Perełkę" i trochę mięsa w postaci rąbanki. Pamiętam, że tu, gdzie niedawno był sklep PLUS była piekarnia, w której pieczono chleb dla Niemców. Na rogu ul. Wiśnickiej był sklep spożywczy Żyda Kanta u którego przed wojną kupowaliśmy artykuły spożywcze na ,,zeszyt", a gdy ojciec otrzymywał pobory to regulował długi. Kiedy założono getto w Bochni, to Kant wraz z innym Żydami tam się znalazł. Nie wiem jaki był jego dalszy los. Po drugiej stronie ulicy Wiśnickiej naprzeciw sklepu Kanta mieszkał mój kolega Marian Sołtys. Różnica wieku między nami wynosiła jeden rok, ale przyjaźniliśmy się.

Czy msze święte odbywały się bez zakłóceń ze strony niemieckiej?

W czasie okupacji kościół był otwarty i odbywały się w nim msze święte. Niemcy, głównie żołnierze Wehrmachtu gromadnie chodzili na msze do kościoła szkolnego, ale nie wiem czy były one w obrządku katolickim czy ewangelickim. Raz a może dwa zapędziłem się do tego kościołka i wysłuchałem całej mszy, a nikt z Niemców nie zwrócił mi jakiejkolwiek uwagi, że moja obecność jest niepożądana.

Podobno w czasie okupacji odbył się w Bochni mecz piłkarski pomiędzy drużyną polską i niemiecką?

To był mecz piłki nożnej, który rozegrany został na bocheńskim boisku sportowym w jesieni 1943 roku. Niemiecka reprezentacja składała się z żołnierzy Wehrmachtu stacjonujących w Bochni, a polska drużyna składała się z moich starszych kolegów. Nie wiem jak doszło do zorganizowania tego meczu. Przypuszczam, że był to pomysł niemiecki, bo Niemcy lubili takie popisy, a nasi koledzy nie mieli wyboru, musieli wystąpić. Na warunkach niemieckich takie mecze odbywały się przecież w obozach jenieckich. W składzie drużyny polskiej wystąpiła młodzież bocheńska. Na bramce stał Rychter, albo Urban. Zapamiętałem także Olka Żabę, Semena (Semenowocza – przyp. S.K.), Kolawińskiego i Arłamowskiego, którego wszyscy w Bochni nazywali Sarenką, bo świetnie i w ładnym stylu biegał. Nie pamiętam wyniku meczu. Na widowni siedzieli żołnierze Wehrmachtu i grupka naszych kolegów. Tłumów nie było, ani też zainteresowanie w mieście meczem nie było wielkie.

Czy zapamiętał Pan jakieś nazwiska najokrutniejszych Niemców i jak by Pan te postacie scharakteryzował?

Najlepiej w mojej pamięci utkwił Bogusz. Był postrachem Żydów, a także Polaków. Niewysoki, raczej średniego wzrostu, szczupły blondyn, chodził w zielonym mundurze z czerwoną opaską z czarną swastyką na lewym rękawie. Mówił świetnie po polsku. Ilekroć wchodził do getta w ulicę Kowalską, to od razu zaczynał zabijać strzałem z pistoletu. Kaburę z pistoletem miał przypiętą do pasa, ale gdy zamierzał strzelać, to kaburę z pistoletem przesuwał z fasonem zawsze do przodu, aby było mu poręczniej. Po takich egzekucjach żydowscy strażnicy getta wywozili zwłoki na taczkach na Krzęczków, gdzie był kirkut i tam je zakopywano. O żadnej ceremonii pogrzebowej mowy być nie mogło. Zastrzelonych przez Bogusza chowano także na cmentarzu przy ulicy Orackiej.

Zapewne nigdy nie udało się opracować rejestru jego zbrodni?

Najwięcej mógłby powiedzieć miejscowy grabarz, ale był wyjątkowo małomówny. Na bocheńskim cmentarzu mogły się dziać - z udziałem Bogusza - rzeczy straszne. Pewnego razu grabarz był niezwykle wzburzony i opowiedział historię mrożącą krew w żyłach. Z pewnością był jeszcze pod wrażeniem tego wydarzenia, skoro zdecydował się o tym mówić. Powiedział, że Bogusz i jakiś człowiek w cywilnym ubraniu przyprowadzili na cmentarz nieznaną mu bardzo bardzo ładną, zgrabną dziewczynę. Ręce związane miała sznurem. Kazał mu wziąć łopatę i iść razem z nimi na miejsce wybrane przez Bogusza. Dziewczyna stała kilka kroków przed Boguszem. W pewnej chwili spojrzała mu prosto w oczy. Bogusz strzelił do niej raz drugi i trzeci, a ona cały czas szła w jego kierunku. Zdenerwowany Bogusz wystrzelał cały magazynek, a ona szła i upadła martwa na ziemię, dopiero wtedy, gdy znalazła się na odległość ręki od zbrodniarza. Bogusz kazał grabarzowi wykopać tuż koło jej ciała dół i tam ją pogrzebać. Odszedł ze swoim kompanem dopiero wtedy, gdy ziemia została wyrównana, aby nie było widać żadnego śladu pochówku. Nie wolno było nawet się pomodlić. Bogusz nie podał żadnych informacji o dziewczynie. Takich skrytobójczych mordów i takich nie oznakowanych miejsc na cmentarzu bocheńskim może być więcej. W czasach stalinowskich mogło być podobnie.

Bogusz nie miał nigdy żadnej obstawy. Czy nie bał się zamachu na swoje życie?

Tego nie wiem, ale potwierdzam, że nigdy nikt go nie pilnował. Pytałem mojego brata Józefa, który był w strukturach ODB-NOW i prowadził radiostację Obwodu ZWZ-AK „Wieloryb”[1] czy nie można by go rozwalić. Nie było by to takie trudne. Brat uświadamiał mi, że Bogusz jest ważną postacią w aparacie niemieckiego terroru w Bochni i gdyby go zastrzelono, zapewne dokonano by pacyfikacji miasta, w czasie której wielu Bochnian by zginęło lub dostało się do obozów koncentracyjnych. Wtedy uświadomiłem sobie okoliczności egzekucji na Uzborni i przyznałem bratu rację. Spośród innych ważnych w Bochni Niemców zapamiętałem Becka silnego mężczyznę ok. 170 cm. wzrostu i grubego Litmana. Gestapo mieściła się w budynku przy ul. Białej naprzeciw szkoły im. Jachowicza. Żandarmeria zaś miała swoja siedzibę przy ul. Orackiej. W budynku obecnej ubezpieczalni przy ul. Floris był Abreitsamt - Biuro Pracy) którym kierował Niemiec Berka. Tam przywożono ludzi, może z łapanki i dokonywano ich segregacji na roboty, albo do obozów.

Pamięta Pan likwidację getta?

Mogę mówić tylko o tym co widziałem po aryjskiej stronie miasta. Pewien Żyd w czasie tej akcji uciekł z getta i ukrył się pod drewnianą skrzynką w rejonie dzisiejszego Pawilonu Sutoris przy ul. Kraszewskiego. Jakiś Kałmuk z armii Własowa zauważył tam jego nogi. Podszedł i zaczął deptać po jego nogach i skrzynce, aż zadeptał go – na moich oczach - na śmierć.

Jak wyglądała ucieczka Niemców z Bochni w styczniu 1945 r.

Rosjanie byli już na rynku, a kilku Niemców ciągle jeszcze kręciło się koło piekarni przy obsłudze działka przeciwlotniczego. Jak tylko odeszli poszliśmy do piekarni. Okazało się, że oprócz chleba był tam magazyn konserw. Najwięcej było puszek z sardynkami, więc zabieraliśmy je do domu.

Czy zdarzyły się w Bochni przypadki samosądu na Niemcach czy Własowcach?

Zapamiętałem kilka scen z wejścia Rosjan do Bochni. Z Bochni wycofywali się Niemcy i żołnierze z armii gen. Własowa, których było tutaj wielu, a my nazywaliśmy ich Kałmukami lub Azerami. Dwóch Azerów o skośnych oczach postanowiło się poddać. Rosjanie wyprowadzili ich z Czerwieńca, prowadzili przez całe miasto. Dwie Rosjanki w mundurach, które tym oddziałem dowodziły biły ich okrutnie pejczami, a bici słaniali się na nogach. W ten sposób doszli do rogu

plant, koło pomnika. Nie mieli siły iść na cmentarz. Przed pomnikiem legionistów upadli na ziemię. Obie Rosjanki stanęły nad nimi z pepeszami i kilkoma seriami pozbawiły ich życia.

Drugi przypadek to śmierć Wilka. Mówiono, że sam ze strachu odebrał sobie życie. Był to - jak głosiła miejscowa fama - volksdeutsch bardzo niebezpieczny, bo przez całą okupacje donosił na Polaków. Jego 18-letnia córka miała podobno romans ze wspomnianym wyżej Berką. Zwłoki Wilka ułożono na taczkach i zmuszono jego żonę, aby wiozła go przez całe miasto aleją na plantach koło pomnika, następnie ulicą Oracką na cmentarz choleryczny i tam pochowała [2]).

Czy zapamiętał Pan jakieś przypadki zachowania się Rosjan po wejściu ich do Bochni w styczniu 1945 r.

Rosjanie kradli i rabowali w Bochni co się dało. Mojego wujka Franka Balachowskiego, który wiele lat pracował na kolei zatrzymali Rosjanie na ul. Kowalskiej i zapytali o godzinę. Gdy wyjął duży zegarek kieszonkowy, aby sprawdzić godzinę, zabrali mu zegarek i odeszli. W 1945 r. zakończyłem pracę w kopalni. Przez pewien czas pracowałem w firmie „Traktory i maszyny rolnicze Bielecki i spółka". Jeden z zakładów znajdował się na rogu ul. Kowalskiej z Niecałą. Pewnego dnia przyjechali dwaj Żydzi z obstawą dwóch funkcjonariuszy NKWD. Jeden z nich kazał nam przesunąć kowadło przy którym pracowaliśmy. Tuż pod kowadłem niecałe pół metra w ziemi natrafili na jakiś kuferek. Widziałem, że cała czwórka jest bardzo zadowolona ze znaleziska. Nie pokazali nam jego zawartości, ale dali nam, za milczenie, kilka butelek wódki.

Dziękuję za rozmowę

Wywiad przeprowadził Stanisław Kobiela

PRZYPISY:

[1] Józef Czamara brat Ryszarda ur. W 1920 r. działał w czasie okupacji hitlerowskiej w ODB-NOW, a po scaleniu z ZWZ-AK w Obwodzie ZWZ-AK „Wieloryb", prowadził radiostację 12 pp AK w l.1943-1944 i przed rok współredagował podziemną gazetkę „Szczebiec". Od maja do lipca 1945 r. działał w Oddziale Partyzanckim „Pogrom". PO wojnie w II korpusie gen. Andersa, a następnie zamieszkał na Tasmanii, a później w Sydney. Pracował naukowo na wydziale fizyki uniwersytetu w Sydney i brał udział w budowie pierwszego australijskiego komputera Syliac w Australii – zob. Kronika Bocheńska nr 11/98.

[2)] Stanisław Dobranowski pamięta, że martwego Wilka ułożonego na taczkach wiozła żona przez planty salinarne, najpierw aleją wzdłuż ulicy Regis, a potem koło pomnika dalej aleją wzdłuż ulicy Orackiej. Obok taczek szło kilku volksdeutschów i volksdeutscherek pod nadzorem uzbrojonych milicjantów. Co jakiś czas taczki wiózł na zmianę ktoś inny z tej grupy volksdeutschów. Temu przejazdowi towarzyszyła grupa około stu osób. W wyznaczonym miejscu na cmentarzu cholerycznymi rozpoczęto kopanie grobu. Uczestniczyli w tej pracy wszyscy volksdeutsche, gdyż Wilkowa sama nie dała by rady. Nad grobem odegrana został dramatyczna scena. Wystąpiła jakaś kobieta - podobno szwagierka. Wołała, że to on zadenuncjował do gestapo jej męża a więc swojego brata Wilka. Został on aresztowany i znalazł w KL Auschwitz. Rwała włosy z głowy i rozpaczała. Trudno powiedzieć, czy był to prawdziwy akt rozpaczy, czy tylko gra aktorska. Zdarzenie to miało miejsce w maju albo czerwcu 1945 r., a może nawet lipcu. Było już wtedy ciepło. Według relacji mec. Wincentego Heina żona Wilka nigdy - mimo presji ze strony męża - nie podpisała volkslisty.

Stanisław Kobiela

Do końca aktorka

Prawdy i nieprawdy o debiucie Modrzejewskiej w Bochni

Na łamach nr 5 (226) „Kroniki Bocheńskiej" ukazał się artykuł Jana Flaszy pt. *Biała kamelia. 150 lat od debiutu w Bochni* poświęcony pobytowi Heleny Modrzejewskiej w Bochni. Autor, zaznaczając na początku artykułu, że o wydarzeniu tym wiemy w zasadzie tylko tyle, ile wybitna aktorka napisała o nim we wspomnieniach, przytacza fragmenty tych wspomnień, poświęcone jej pobytowi w Bochni.

Wyłania się z nich szlachetna i nieskalana postać Artystki w otoczeniu równie szlachetnych postaci, w niezbyt ciekawym miasteczku, które mimo jego żałosnej kondycji zechciała zaszczycić swoją obecnością: *domy w ruinie i obskurne chaty stoją na miejscu dawnych historycznych zamków. Teraz na zabłoconych uliczkach można zobaczyć zamiast świetnych rycerzy i bogatej szlachty tylko biednych wieśniaków, zaniedbanych Żydów i zaledwie parę przyzwoicie ubranych osób. Krótko mówiąc, dzisiejsza Bochnia jest bardzo nieciekawą miejscowością.*

Nie wspominałabym o tej mieścinie w ogóle, gdyby nie była w dziwny sposób związana z moją karierą sceniczną. Przejdźmy zatem do tych powodów przyjazdu Modrzejewskiej do Bochni i okoliczności kilkumiesięcznego jej pobytu. Artystka rozminęła się z prawdą. Niektóre fakty pominęła milczeniem, zmarszczki i życiowe defekty przykryła aktorskim pudrem i szminką, a rzeczy miałkie i nijakie wzniosła na wysokie C. Po tych makijażach, masażach i piruetach wspomnienia jej stały się swoistym panegirykiem i peanem na jej cześć. Biografowie Modrzejewskiej nie kryli, że wielka artystka pod koniec życia wspomnienia swoje wielokrotnie przerabiała i upiększała. Może nie powinniśmy się tym zabiegom dziwić. Wszak puder i szminka to atrybuty każdej aktorki. Nie można też wymagać, aby wybitna artystka, rozsławiająca imię naszego narodu na obu kontynentach, uzewnętrzniała swoje błędy życiowe i porażki. Nie oznacza to jednak, abyśmy w Bochni mieli zaakceptować taką sekwencję nieprawd.

Szkoda trochę, że autor artykułu nie podjął żadnej próby wyjaśnienia tych fantastycznych opowieści, a nawet poszedł

ciut za daleko. Niektóre wątki niepotrzebnie rozwinął w takim duchu, jakby życzyła sobie tego Helena Modrzejewska. W ten sposób utrwala się przecież nieprawdziwy obraz Bochni i tego, co się tutaj działo w 1861 roku. Najlepszym tego przykładem jest wyprodukowany ostatnio, staraniem Wydziału Promocji UM Bochni film o Bochni, w którym te niektóre błędne informacje zostały powtórzone.

Przyjazd Modrzejewskich do Bochni?

Dokonajmy więc analizy cytowanych fragmentów wspomnień Modrzejewskiej i całego artykułu. *W maju 1861 roku pan Modrzejewski, ja i mój mały synek Rudolf, w tym czasie czteromiesięczny, zamieszkaliśmy w Bochni, dokąd wcześniej już przeprowadziła się matka z moją siostrzeniczką. Drogiej ciotki Teresy nie było już pośród nas. Umarła w połowie stycznia.*

Rzeczywistość wyglądała zgoła inaczej. Helena Misel, która wtedy nie miała jeszcze nazwiska Modrzejewska, przyjechała do Bochni ze swoim „przyjacielem" Gustawem Zimajerem, a nie panem Modrzejewskim, a jej syn Rudolf znajdował się jeszcze w jej łonie. Zimajer został panem Modrzejewskim dopiero w Bochni. W chwili przyjazdu do Bochni nie było więc ani pana Modrzejewskiego, ani syna Rudolfa. Było tylko w jej łonie dziecko, które miało się urodzić (t.zw. *nasciturus* – dziecko poczęte, ale jeszcze nie urodzone) i jego nieślubny ojciec to jest Zimajer.

Cel przyjazdu

Cel przyjazdu do Bochni był oczywisty: urodzić dziecko z dala od Krakowa, ale Modrzejewska – jak widzimy - już na początku ucina jakiekolwiek spekulacje na ten temat. Cóż zatem skłoniło ją do przyjazdu do tej *bardzo nieciekawej miejscowości*. Czyżby w takiej marnej mieścinie chciała rozpoczynać karierę artystyczną, a może jakieś inne powody popchnęły ją to tego kroku? Po co miała by przyjeżdżać nieco wcześniej matka i siostrzenica Heleny? Spróbujmy rozwikłać tę tajemnicę.

O okolicznościach przyjazdu do Bochni i bocheńskim debiucie pisałem w jesieni 2009 r. nr 3 (82) 2009 w „Wiadomości Bocheńskich" w artykule *100 lecie śmierci Heleny Modrzejewskiej*, dlatego ograniczę się do przedstawienia skróconego biegu wydarzeń, licząc, że bardziej dociekliwi czytelnicy sięgną do tamtego artykułu.

Helena była nieślubną córką Józefy Mizel (Misel) wdowy po Szymonie Bendzie, właścicielu dwóch kamienic przy ul. Grodzkiej w Krakowie. Urodziła się w 1840 r. pięć lat po śmierci Szymona Bendy. W tym czasie matka jej żyła w wolnym związku z Michałem Opidem. W księdze parafialnej zapisano Helenę jako *dziecię zrodzone z pani Józefy z Mizlów Bendowej*. Kiedy Helena miała 10 lat w mieszkaniu ich pojawił się lokator Gustaw Zimajer, który stał się „przyjacielem rodziny" i korepetytorem Heleny. Porzucił on starszą od siebie żonę Katarzynę de Rautenberg. Rozbudził w Helenie zainteresowanie teatrem i cztery lata później przygotowywał ją do zawodu aktorskiego. Chciał, aby grała w sztukach wystawianych w języku niemieckim. Brał ją do teatru, uczył tekstów niemieckich, zachęcał do śpiewu operowego. W połowie 1860 r. matka dowiedziała się, że 20-letnia Helena jest w ciąży, a ojcem dziecka jest Gustaw Zimajer. Wszystkie wielkie plany Heleny runęły w jednej chwili. Helena załamała się, bo na dodatek w mieszkaniu matki pojawiła się właśnie wtedy sublokatorka, piękna o południowej urodzie i ciemnych włosach Antonina Hoffmanówna, absolwentka szkoły dramatycznej, która po udanym debiucie warszawskim przyjechała do Krakowa, na pierwszą teatralną posadę.

Energiczna matka Heleny, świadoma skandalu, gdyby wyszło na jaw że jej córka jest w ciąży z żonatym mężczyzną, wzięła sprawy w swoje ręce. Zdecydowała, aby Helena urodziła dziecko poza Krakowem. W jesieni 1860 r. wyprawiła więc Helenę z Zimajerem z Krakowa do nieodległej Bochni, zapewne do swoich krewnych Baumanów, mieszkających przy Krakowskim Przedmieściu w Bochni i tutaj 27 stycznia 1860 r. Helena powiła syna, któremu dała imię Rudolf. Taki bieg wydarzeń był najbardziej prawdopodobny.

Józefa Bendowa była kobietą mądrą, znała życie, które jej nie głaskało, a do tego była po mężu szlachcianką. Nie mogła czekać na rozwój wypadków, na to, że ciąża córki będzie niedługo widoczna. Nie mogła czekać do porodu, mając sublokatorkę w mieszkaniu, która nie była życzliwie nastawiona do Heleny i która zapewne wszystko by wygadała. Wyprawienie Heleny do Bochni przed ujawnieniem jej ciąży było więc jedynym rozsądnym rozwiązaniem.

Jeden z biografów Modrzejewskiej dr Józef Szczublewski[1] opowiada się za zupełnie niewiarygodną hipotezą, sugerując, że Helena pozostała w Krakowie, aż do porodu, 27 stycznia 1861 r. w Krakowie urodziła syna, któremu dała imię Rudolf, a do Bochni przyjechała dopiero, kiedy synek miał dwa miesiące. W podróży towarzyszył jej wtedy Zimajer, matka Józefa i wnuczka Stasia. Widocznie dr Szczublewski nie znał atmosfery w XIX-wiecznym Krakowie, ówczesnych kanonów moralności i charakteru Józefy Bendowej, która wykazałaby się w takim wypadku wyjątkową naiwnością, graniczącą z głupotą.

Inni biografowie Modrzejewskiej i Rudolfa Modrzejewskiego, jak znakomity Tymon Terlecki, jak Jerzy Got, autor noty biograficznej o Rudolfie Modrzejewskim w Polskim Słowniku Biograficznym i Józef Głomb trzymają się realiów i logicznego biegu wydarzeń i uważają, że syn Heleny Rudolf urodził się w Bochni[2]. Mógłby ktoś zapytać dlaczego nie poszukać wyjaśnienia miejsca urodzenia Rudolfa w księgach parafialnych *Liber natorum* w Krakowie i Bochni. Niestety ani w księgach parafialnych w Krakowie, ani w Bochni takich informacji o narodzinach Rudolfa nie ma. Dlaczego? Helena i jej matka były katoliczkami; czyżby zapomniały ochrzcić małego Rudolfa? A może Helena i jej matka obawiały się, że ksiądz w metryce chrztu zapisze Rudolfa jako *dziecię zrodzone z pani Heleny Misel ?* Takie myślenie wydaje się całkiem logiczne i jest całkiem prawdopodobne, że Rudolfa ochrzczono już jako Modrzejewskiego,

dopiero w jednej z kolejnych miejscowość na trasie trupy teatralnej Heleny czyli w Nowym Sączu, Rzeszowie, Przemyślu, albo w Samborze, gdzie Helena powiła córeczkę Marię, lub jeszcze później i tam należy szukać metryki jego chrztu.

Czy bieda wygnała z Krakowa Helenę i Gustawa?

Aby wykluczyć jakikolwiek inny cel przyjazdu Heleny do Bochni, poza urodzeniem dziecka, spróbujmy zastanowić się czy powodem wyjazdu Heleny i Gustawa Zimajera z Krakowa mogła być bieda, jak to sugeruje dr Józef Szczublewski: *pewno bieda wygnała ich z Krakowa, pewno i złe języki sąsiadów.* Matka Heleny prowadziła w Krakowie kawiarnię. Mimo trudności finansowych dbała o wykształcenie swoich dzieci i pasierbów Feliksa i Józefa Bendów. Helena ukończyła szkołę klasztorną SS Prezentek przy ul. św. Jana, nauczyła się francuskiego, pomagała matce w prowadzeniu kawiarni, cieszącej się dużym powodzeniem wśród młodzieży. Ponadto uczyła się śpiewu operowego w szkole prof. Mireckiego. Matka Heleny borykała się z problemami finansowymi, ale nie była w skrajnej biedzie. Feliks Benda w czasie opisywanych wydarzeń miał już za sobą staż teatralny i spore znajomości w tym świecie, Józef Benda był aktorem w Stanisławowie. Błędnie przypuszcza więc dr Szczublewski, że to *bieda wygnała ich z Krakowa*. Trzeba pamiętać, że na Zimajera nie czekała w prowincjonalnej Bochni żadna lukratywna posada. Nie mogli więc liczyć, że w Bochni bez znajomości i bez rozwiniętego środowiska teatralnego będzie im lepiej niż w Krakowie.

Czy Bochnia miała być pierwszym etapem podróży teatralnej po Galicji?

Odpada także ostatni, a może pierwszy cel, który miałby się wyłonić z tekstu cytowanego fragmentu wspomnień Modrzejewskiej – rozpoczęcie podróży teatralnej po Galicji. Zimajer i Helena nie przybyli do Bochni z żadną trupą teatralną. Nie mogli także spodziewać się, że w Bochni do nieznanej nikomu dwójki ludzi zamierzających dopiero być aktorami, lgnąć będą jak do magnesu jacyś miejscowi wielbiciele sztuki aktorskiej. To przypadek sprawił, że tutaj w Bochni, wiosną 1861 roku natrafili na tancmistrza i aktora Konstantego Łobojkę, który z jakichś niewiadomych przyczyn rozstał się z teatrem Pfeiffera: *pewnego majowego dnia podczas festynu....dostrzegliśmy ja i mój mąż, męską sylwetkę w letnim garniturze i z błękitnym krawatem, zbliżającą się w lansadach, z uśmiechem, i z ręką powiewającą wielekroć kapeluszem. Z początku nie rozpoznaliśmy go, ale gdy podszedł bliżej, wykrzyknęliśmy obydwoje: - „Panie Łobojko! Co pan tutaj robi?”* Nie przybył on do Bochni, aby na własne konto, rozwijać działalność teatralną, ale po to, aby założyć w Bochni zakład fotograficzny i w tym celu wynajął pokój na pracownię fotograficzną. Sama Helena pisze przecież o takim celu przyjazdu Łobojki do Bochni: *odpowiedział nam, że wobec nadmiaru zakładów fotograficznych w Krakowie, przeniósł się, żeby właśnie założyć taki zakład – do Bochni, i tu też udziela lekcyj tańca.*

Pomysł na urządzenie wieczoru teatralnego zrodził się dopiero w Bochni. To Łobojko był duszą przedsięwzięcia. Łobojko wybrał na pierwszy występ jednoaktową komedię *Biała kamelia* i komediodramę *Primadonna czyli Mleczna siostra*. On także wymyślił dla Heleny nowe nazwisko Modrzejewska, które bardziej nadawało się na afisz, niż nazwisko Misel. Modrzejewskim został także Zimajer i ich synek Rudolf.

Wymyślona katastrofa

Dalsze rewelacje autorstwa Modrzejewskiej są także wyssane z palca. Posłuchajmy co pisze: *Pewnego popołudnia przyniósł nam pan Łobojko wiadomość o nieszczęśliwym wypadku w kopalni soli, w którym postradało życie wielu górników, pozostawiając wdowy i sieroty bez jakiegokolwiek zaopatrzenia. Przejęliśmy się bardzo tym, co się stało i postanowiliśmy urządzić amatorskie przedstawienie na rzecz rodzin dotkniętych katastrofą, a dochód przedstawienia powinien być znaczny, zważywszy, że Bochnia nie miała własnego teatru, wędrowne trupy nigdy tu nie zaglądały w swoich objazdach.*

Ze świata konfabulacji Modrzejewskiej przenieśmy się do bocheńskich realiów w lipcu 1861 r. W literaturze naukowej dotyczącej historii bocheńskiej kopalni soli nie ma żadnej informacji o jakiejś katastrofie górniczej w tym czasie, nawet takiej w której nie było ofiar śmiertelnych. 11 lat wcześniej 2 lutego 1850 r. spaliła się drewniana obudowa i zapasy drzewa na poziomie August, ale nikt w czasie, bądź w wyniku tego pożaru nie zginął. Następna katastrofa o wiele poważniejsza i tragiczna w skutkach wydarzyła się w bocheńskiej kopalni dopiero w 1875 r., kiedy w wyniku pożaru pod Sutorisem zginęło ośmiu górników, a następnie radca górniczy inż. Andrzej Furdzik i starszy radca skarbu Edward Windakiewicz, którzy w celu zbadania czy pożar pod ziemią został ugaszony, zjechali do kopalni, ale już z niej nigdy nie wyjechali. Czyżby zatem bajeczka wymyślona w całości przez Modrzejewską o charytatywnej idei jaka przyświecała pierwszemu teatralnemu występowi Modrzejewskiej miała służyć tworzeniu aureoli nad głową artystki?

Kasyno?

Kolejna niewiarygodna informacja dotyczy miejsca występu. Wg Modrzejewskiej była to sala bocheńskiego kasyna. *Nasz kierownik artystyczny, będąc jednocześnie człowiekiem o wielkim zmyśle praktycznym, natychmiast uzyskał na ten cel salę kasyna, gdzie zbudował scenę głęboką na dziesięć stóp (trzy metry). Następnie sporządził dekoracje z tapety i płótna oraz kurtynę z czerwonego perkalu, całą pomalowaną w złote gwiazdy.*

Wg miejscowej tradycji występy trup teatralnych odwiedzających Bochnię odbywały się w dużej kamienicy przy ulicy Szewskiej sąsiadującej z kościołem parafialnym. Nie ma żadnych śladów istnienia w Bochni kasyna miejskiego w XIX wieku, a szczególnie w 1861 r. Kasyno w Boch-

ni urządzono dopiero w budynku banku przy ul. Kazimierza Wielkiego, który wybudowano w 1910 r., a więc 50 lat po debiucie Modrzejewskiej. Tam właśnie powstała piękna sala redutowa, w której odbywały się wykłady, koncerty, bale karnawałowe. Trzeba ponadto pamiętać, że debiut Modrzejewskiej nie odbywał się w czasach autonomii galicyjskiej, kiedy nastąpił rozkwit życia kulturalnego w Galicji, wzrost uczuć patriotycznych i zelżała cenzura austriacka, ale w czasach neoabsolutyzmu[3].

Może istniało w 1861 r. jakieś kasyno w austriackich koszarach w Bochni, w którym stołowali się oficerowie zaborczego, austriackiego wojska, ale nie mogło ono mieć wystroju sali teatralnej, budki suflerskiej o której pisze Modrzejewska, a tym bardziej nie mogło skupiać patriotycznie nastawionego środowiska bocheńskiego. Czy austriacki, wojskowy administrator kasyna zgodził by się na „bezpłatne"[4] użyczenie sali dla skleconej co dopiero, nieznanej nikomu grupy teatralnej, nie posiadającej żadnej licencji[5], czy pozwoliłby na to, aby buszował tam jakiś „sepleniący" pan Łobojko, przestawiał wszystko, urządzał scenę, montował wątpliwej jakości dekoracje z tektury i taniego perkalu pomalowanego w złote gwiazdy oraz ustawiał krzesła lub ławy dla publiczności? Gdzie oficerowie austriaccy mieli by w tym czasie wypoczywać, pić wino, grać w wista, preferansa lub pikietę.

Gdyby słowa Modrzejewskiej o debiucie w sali kasyna miały być prawdziwe, to zapytam: dla jakiej widowni miała by występować nieznana nikomu początkująca artystka ? Dla oficerów i żołnierzy austriackich nie rozumiejących po polsku?

Publiczność

Modrzejewska dość ogólnie, ale entuzjastycznie, wspomina, kto był obecny na tym przedstawieniu: *Wszyscy przedstawiciele władzy z powiatu i miasta, kilku ziemian z sąsiedztwa wraz z rodzinami, trochę przyjezdnych, nauczycielstwo i szkoły, naprawdę wszystko, co było ubrane po europejsku, a nawet garstka Żydów w długich jedwabnych chałatach wypełnili salę kasyna po brzegi, dając jak się to mówi w teatralnym języku na całym świecie – „komplet"*.

W opisie następnych dwóch przedstawień wystawionych w Bochni ta publiczność jakoś dziwnie zmalała i stała się niepokojąco zaściankowa: *nieskomplikowana publiczność o staroświeckich upodobaniach* . Nie przybyło ich tak wielu na ten drugi występ, zaledwie garstka: *wiedziałam, że nic nie ujdzie przed krytycznym okiem czy uchem tej garstki prowincjuszy.* Każdy czytelnik zauważy, że coś tu nie gra. Czyżby spadek formy? Nawet nie chcę pomyśleć, że może debiut Modrzejewskiej był także klapą – jak to się mówi w teatralnym języku na całym świecie.

Artystka nie wymienia nikogo z nazwiska, ale za to Autor artykułu w „Kronice Bocheńskiej" w ślad za rewelacjami Modrzejewskiej ryzykownie idzie dalej i - jak pisze - decyduje się na dokonanie „rekonstrukcji historycznej". Wymienia ok. 30 nazwisk, żyjących wtedy w Bochni ludzi, którzy w tym debiucie Modrzejewskiej w sali k a s y n a mogli uczestniczyć. Wśród nich odnotowuje kilka wybitnych postaci, znanych z kart historii, z wcześniejszej i późniejszej działalności patriotycznej, a więc weteranów powstania listopadowego: dr Franciszka Hoszarda, Wawrzyńca Jadowskiego, Romualda Leliwę Żurowskiego, uczestnika Wiosny Ludów na Węgrzech w 1848 r. Józefa Turka, patriotów pamiętających rok 1846, austriackie represje i przygotowujących pomoc dla zbliżającego się powstania w Królestwie w 1863 r. Byli to: wspomniany już dr Franciszek Hoszard lekarz, od jesieni 1862 naczelnik Bocheńskiej Ławy Obwodowej i pozostali członkowie tej Ławy: dr Leonard Serafiński z Wiśnicza, opiekun duchowy Jana Matejki (brat Leonarda Stanisław poszedł do powstania w 1863 r.), malarz Feliks Hanusz zaangażowany w sprawę narodową (jego syn Antoni poszedł do powstania 1863 i brał udział w słynnej bitwie pod Miechowem), Romuald Żurowski, adjutant samego Lajosa Kossutha, aresztowany spędził dwa lata w austriackim więzieniu śledczym, potem pod nadzorem austriackiej policji. Wydalony z Węgier, w 1862 r. wszedł w skład Ławy (jego syn walczył w powstaniu 1863, a synowa opiekowała się rannymi powstańcami). Józef Niwicki, żarliwy patriota, autor „Listków karpackich" był przyjacielem dr Hoszarda i Ludwika hr. Kępińskiego, właściciela Nieznanowic, który 10-letni wyrok za działalność patriotyczną przeciw Austriakom odsiedział w twierdzy Kufstein. Niwicki musiał znać tragiczny los jego brata 26-letniego Henryka Kępińskiego i bratowej Stefanii z hr Dębickich, spodziewającej się dziecka[6].

Doprawdy trudno sobie wyobrazić, aby tej rangi patrioci mogli przybyć na teatralny popis początkującej w banalnej sztuce aktorki i jej trójki kolegów .... do austriackiego kasyna w Bochni. Poczytano by to za akt niebywałej kolaboracji w sytuacji, gdy Austriacy w 1861 r. czuli się pewnie w Galicji i pokazywali Polakom na co ich stać. W 1861 r. zbyt świeża była pamięć o uknutej przez austriackiego zaborcę rabacji chłopskiej w 1846 r. szczególnie w Bochni i okolicy. W latach 50-tych i na początku lat 60-tych XIX wieku Galicją rządziła skrajnie biurokratyczna administracja i policja. Miażdżyły one wszelkie przejawy wolnej myśli. W okresie tym nazwanym erą austriackiego neoabsolutyzmu obowiązywał zakaz zakładania stowarzyszeń, prasa była licencjonowana, język niemiecki obowiązywał w administracji, sądownictwie i szkołach, które były niemieckie „tak z języka, jak przede wszystkim z ducha". W nieumiejętności, głupocie i ciemnocie pogrążyć naród stało się najważniejszym rządu przedsięwzięciem – pisał Niemczewicz. W 1861 r. nowy rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego Józef Dietl został usunięty ze stanowiska za wprowadzenie na uczelni obowiązkowego języka wykładowego polskiego. W 1861 r. naród polski w zaborze austriackim był w żałobie pisał hr. Montalemberg[7]

Wieści o tragicznych wydarzeniach w Warszawie, o liczbach zabitych w manifestacjach ulicznych i t.zw. „rewolucji moralnej" w Królestwie Polskim przenosiły się lotem błyskawicy do Galicji. Kraków reagował żywo na wszystko co działo się w Królestwie – pisze Janina Bieniarzówna w t. 3 „Dziejów Krakowa" s. 207. Po erze martwoty i apatii przyszła kolej na ogromne podniecenie i rozgorączkowanie umysłów. Manifestacje warszawskie stały się impulsem do urządzania podobnych w Krakowie. W listopadzie 1860 r. w czasie uroczystości patriotyczno-religijnej z okazji powstania listopadowego rozległ się głos dzwonu Zygmunta. W kościele Mariackim i przed nim zebrały się tłumy. Przybyli nawet Żydzi. Po raz pierwszy odśpiewano chorał Ujejskiego „Z dymem pożarów". Policji nie udało się wytropić organizatorów. Na przestrzeni następnego roku 1861 chorał ten i „Boże coś Polskę" odśpiewano w czasie podobnych uroczystości co najmniej 30 razy. Zakazano odwiedzania kopca Kościuszki. Policja i sądy austriackie nie próżnowały. Toczyły się śledztwa i rozprawy sądowe „o śpiewanie pieśni podburzających".

27 października 1861 r. w Bochni w czasie solennego nabożeństwa, odbywającego się przed cudownym obrazem Matki Bożej Bocheńskiej – czytamy w Monografii Bochni – pod chórem w kościele rozległ się śpiew „Boże coś Polskę". Do kościoła wtargnęli żandarmi i rzucili się na śpiewających. Wyrwali ze środka manifestujących jakiegoś młodego człowieka. Dopiero interwencja wikarego Korcza przywróciła spokój w kościele[8].

Wzorem Warszawy ogłoszono w Galicji żałobę narodową. Młodzież męska pokazywała się na ulicy w czamarkach, konfederatkach i długich butach. Kółka młodzieży galicyjskiej organizowały się już w 1860 r. One przygotowywały wspomniane wyżej uroczystości. Niebawem przekształciły się w ławy obwodowe, których zadaniem było przygotowanie kraju do niesieniu pomocy materialnej i duchowej przygotowującemu się powstaniu przeciwko caratowi. Na czele ich stała Rada Naczelna Galicyjska. Ława bocheńska powstała prawdopodobnie w jesieni 1862 r. i w pierwszym okresie należało do niej 15 osób.

W 1861 r. Austria przeżywała gorycz przegranych bitew z Piemontem i Francją pod Magentą (4 czerwca 1859 r.) i Solferino (24 czerwca 1850), ale jeszcze nie było Sadowy. Dopiero przegrana wojna z Prusami o hegemonię w Niemczech, przypieczętowana klęską i masakrą Austriaków pod Sadową (Kenningretz) zmieniła sytuację w Galicji. Autonomia tego zaboru rozpoczęta faktycznie dopiero w 1867 r. nie była gestem dobrej woli, ale wynikiem militarnych porażek Austrii. Dopiero w 1867 r. cesarz zatwierdził ustawę Sejmu Krajowego z 22 czerwca 1867 r. o języku wykładowym polskim w szkołach ludowych i średnich w Galicji. W 1869 r. nastąpiło t.zw. spolszczenie sądownictwa i administracji, następnie rozluźnienie cenzury i rozpoczął się okres t.zw. autonomii galicyjskiej.

Prawdopodobne miejsce bocheńskiego debiutu Heleny

Powróćmy jeszcze na chwile do najbardziej prawdopodobnego miejsca debiutu Modrzejewskiej w Bochni, a więc do piętrowego budynku pomiędzy kościołem parafialnym a ulicą Szewską, a nie jakiegoś kasyna. To tam zatrzymywały się trupy teatralne przejeżdżające przez Bochnię i tam mógł odbyć się debiut Modrzejewskiej. Wskazówką jest anonimowy opis wydarzenia, które nastąpiło w Bochni, po klęsce powstania styczniowego. Austriacy przywieźli spoza kordonu czyli z Królestwa około 30 uwięzionych powstańców i w tym budynku ich przetrzymywano. *Mieszkańcy Bochni znosili dla nich najlepsze jadła, cygara i koszule z siebie, do przewdziewania. Wielu wtedy powstańców* – pisze anonimowy autor , cytowany w omawianym artykule – *powyskakiwało oknami i poginęło w tłumie ludu, który otaczał to tymczasowe ich więzienie. Niektórzy pouchodzili, poprzebierani w odzienia kobiece.*

Wzmianka o odzieniach kobiecych może wskazywać, że tam właśnie była garderoba teatralna. Jeszcze dobitniej pisze anonimowy autor na końcu swojej relacji: *Przy samym kościele naprzeciw ogrójcowi jest kamienica pod numerem...*(nie podaje) *... ze salą, w której zwykle teatra przedstawiają. Na tej sali przebywali ciż powstańcy dwa dni pod strażą.*

Kończąc omawiany artykuł pan Jan Flasza pisze o wielu zagadkach związanych z epizodem w życiu Heleny i zachęca czytelników „Kroniki" do *indywidualnych poszukiwań okoliczności wydarzenia, o którym w gruncie rzeczy wiemy przecież tak niewiele.* Nie możemy więc wykluczyć, że przyjmując taką konwencję artykułu Autor świadomie otwiera drogę do indywidualnych analiz i poszukiwań, co niniejszym czynię.

Stanisław Kobiela

Przypisy:

[1] Józef Szczublewski *Żywot Modrzejewskiej* wyd. 1975, *Modrzejewska. Życie w odsłonach* wyd. 2009

[2] Tymon Terlecki. *Pani Helena*. Londyn 1962., Jerzy Got - Nota biograficzna Rudolfa Modrzejewskiego w Polskim Słowniku Biograficznym tom XXI, Józef Głomb, *Człowiek z pogranicza epok,* Warszawa 2004.

[3] Tak określano rządy Aleksandra von Bacha

[4] *Salę kasyna mieliśmy za darmo* – wspomina Modrzejewska

[5] *Te kilka godzin zadecydowało, że moje niewielkie doświadczenie sceniczne otwarło mi drogę do kariery* – wspomina po debiucie Modrzejewska - *...mój mąż poradził panu Łobojce, aby ten udał się do Krakowa i tam zdobył licencję na utworzenie objazdowej trupy teatralnej, na co bez większych korowodów aktorom zezwalano.*

[6] Zamordowani w rzezi galicyjskiej w 1846 r. spoczywają wraz z zamordowanym w łonie matki dzieckiem w zbiorowej mogile na bocheńskim cmentarzu komunalnym.

[7] Nazwa broszury „Naród w żałobie" (*Une nation en deuil*), którą hrabia Montalemberg po powrocie z Krakowa, wydał w Paryżu w 1861 r.

[8] Monografia Bochni. Bochnia. *Dzieje miasta i regionu* (pod red. Feliksa Kiryka i Zygmunta Ruty, Bochnia 1980 r. s. 271,

Zbigniew Sojka (Kraków)

Turystyka na służbowy paszport

Bochnia, to moje rodzinne miasto. Tu się urodziłem, tu chodziłem do szkoły podstawowej im. Jachowicza, tu ukończyłem Zasadniczą Szkołę Zawodową w zawodzie ślusarz, tutaj wreszcie brałem czynny udział w życiu sportowym. Do 1963 roku byłem zawodnikiem sekcji piłki nożnej w Bocheńskim Klubie Sportowym „Bochnia" oraz w „Klubie „Start-Sokół" w sekcjach siatkówki i piłki ręcznej. W zawodach szkolnych występowałem w konkurencjach pchnięcia kulą i w rzucie dyskiem. Interesowały mnie więc różne dziedziny sportu, ale kiedy poszedłem do wojska musiałem wybierać. Służbę wojskową odbywałem w krakowskim „Wawelu" przy ulicy Bronowickiej 5 i uczestniczyłem tam w sekcjach siatkówki i piłki ręcznej u trenera Edwarda Surdyki.

Niestety ze sportu wyżyć się nie dało, więc powróciłem do zawodu ślusarza, a tymczasem mój kolega z drużyny piłki ręcznej Jerzy Ślęczek w porozumieniu z braćmi Romanem i Zdzisławem Łopatami, którzy aktualnie pracowali w Skawinie wpadli na pomysł założenia sekcji piłki siatkowej i zaproponowali mi w niej udział. Podjąłem więc pracę w Hucie Aluminium w Skawinie i grałem w tamtejszym klubie „Skawinka". Pensja ślusarza była niska, nie gwarantowała przyzwoitego życia, toteż rozglądałem się za inną pracą. Właśnie nadarzyła się okazja wyjazdu na budowę eksportową do Maroka, gdzie katowicki „Montokwas" i Z.U.B. „Nysa" budowali fabrykę kwasu siarkowego. W wyniku moich starań zostałem oddelegowany do firmy „Montokwas" w Katowicach-Bogucicach. W Maroku przebywałem niespełna jeden rok, ale zwiedziłem ten piękny kraj od Tangeru do Marakeszu z górami Atlas włącznie. Safi, gdzie byliśmy zakwaterowani, to było miasto portowe, pamiętające jeszcze czasy Maurów. Dla podwyższenia naszego bezpieczeństwa dostaliśmy mieszkania u miejscowym milicjantów, którzy zyski z czynszów przeznaczali na budowę nowych domów także pod najem. W trakcie budowy odwiedził nas i powstającą fabrykę król Hassan II. Pracowałem tam do 1976 roku.

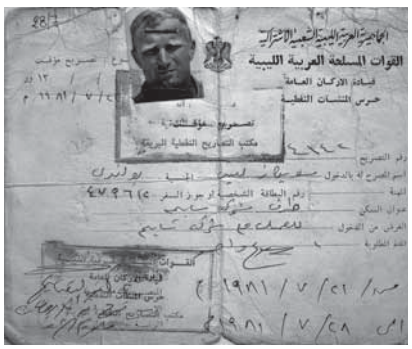

Po powrocie do kraju podwyższyłem moje kwalifikacje. Dostałem dyplom mistrzowski i odbiorowe uprawnienia spawalnicze, co umożliwiło mi wzięcie udziału w kolejnej zagranicznej eskapadzie. Tym razem znalazłem się w ekipie włoskiej firmy „Saipem", która wyruszyć miała do Nigerii na budowę rafinerii ropy naftowej. Przejście etapu kwalifikacji nie było łatwe, bo musiałem złożyć państwowy egzamin i wykazać się umiejętnością wykonania rysunku akseometrycznego. Z tysiąca chętnych wybrano osiemdziesiąt osób, wśród nich i mnie. W budowie rafinerii w WARRI w Nigerii w delcie Nigru nad Zatoką Gwinejską, uczestniczyła międzynarodowa ekipa składająca się z ok. 300 mężczyzn. Otrzymaliśmy przyzwoite zakwaterowanie, bezpłatne jedzenie i rozrywki o standardzie „europejskim". W całej strefie obowiązywało prawo włoskie. Wśród miejscowej ludności przeważali chrześcijanie. Chodziliśmy na nabożeństwa do ich miejscowych świątyń. Do dzisiejszego dnia brzmi w moich uszach piękny śpiew tubylców w czasie nabożeństw. Porównując mój pobyt tutaj z budową eksportową w Maroku zostałem mile zaskoczony. Tam musieliśmy za wszystko płacić, tutaj takich rygorów nie było, warunki pobytu były komfortowe, zarobki o wiele wyższe niż w Maroku, a co pół roku dostawaliśmy dwutygodniowe urlopy. Właśnie wtedy konklawe wybrało na Stolicę Piotrową Papieża-Polaka kardynała Karola Wojtyłę. W oczach Włochów i przedstawicieli innych narodów ranga nas Polaków niepomiernie wzrosła. W październiku 1977 r. odwiedził nas ówczesny przewodniczący Rady Państwa prof. Henryk Jabłoński. Pamiętam, że Profesor źle się tutaj czuł, męczył go upał i wilgotność powietrza.

Po był mój najlepszy kontrakt zagraniczny, bo później z tą sama ekipą udałem się do Algerii, ale tam nie dostaliśmy pozwolenia na pracę od miejscowych władz i po trzech miesiącach musieliśmy ten kraj opuścić.

W Polsce nadal pracowałem w Hucie Aluminium i w 1980 r. firma Kopex Katowice zaprosiła mnie na budowę rafinerii ropy naftowej w Ras-Lanuf w Libii, którą realizowała ta sama firma Saipem. Za pośrednictwem włoskiej telewizji dowie-

działem się tragicznej wiadomości i stanie wojennym w Polsce, o aresztowaniach. Włosi zaproponowali Polakom azyl polityczny i pracę na nowych włoskich warunkach. Uważali bowiem, że stan wojenny unieważnił ich umowę z Polską. Zaniepokojony o rodzinę, którą zostawiłem w Polsce postanowiłem powrócić do kraju. Obecna sytuacja w Libii wywołuje u mnie falę wspomnień. Przecież wielokrotnie byłem w tych miastach, które dzisiaj są niszczone. Pamiętam Trypolis, Ottoms, Misuratę, Sirtę (miejsce urodzenia Kadafiego), Bengazi, Tobruk, Ras-Lanuf i Marsa El Brega, gdzie pracowałem. Żal mi dewastowanych zakładów pracy, które budowałem i współczuję tubylcom. Libia była ostatnim krajem w mojej turystyce na służbowym paszporcie.

Zbigniew Sojka

Ewelina Mroczek

Pamięci Generała „Grota”

Sesja w Publicznej Szkole Podstawowej nr 1 Im. Stanisława Jachowicza w Bochni

Najprostszymi czcimy Cię słowami,
śpij spokojnie Generale.
Pamiętamy!
Słowa partyzanckiego poety Z. Kabata

30 czerwca b.r. w porannym kalendarium radiowej Jedynki podano, że 68 lat temu aresztowany został przez gestapo Główny Komendant Armii Krajowej gen. Stefan Rowecki „Grot” i dalej przytoczono czyjąś archiwalną wypowiedź jakim to szarmanckim oficerem był Generał. Nie padło ani jedno zdanie o randze zasług i ofierze życia. Rozczarowana takim przekazem przywołałam w pamięci wydarzenie jakie miało miejsce w naszym mieście 30 marca 2011 roku. Otóż grupa nauczycieli popularnego „Jachowicza” - członka działającego od 6 lat przy bocheńskim Oddziale SZŻAK Klubu Historycznego im. Stefana Roweckiego „Grota” -przygotowała program poświęcony Pamięci Komendanta ZWZ-AK oraz wystawę „Warszawa w Powstaniu 1944”. Licznie zgromadzona na uroczystości dziatwa szkolna miała okazję poznać kombatantów AK z bocheńskiego Oddziału, byli też obecni przedstawiciele władz samorządowych, Instytutu Pamięci Narodowej i Stowarzyszenia Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej.

Organizatorzy sesji profesorowie Magdalena Hypś i Wojciech Czerny

Autorami tego interesującego i zarazem wzruszającego spektaklu będącego przekazem, pełnej zasług dla Ojczyzny biografii Generała „Grota” byli nauczyciele: Pani Magdalena Hypś (autor i reżyser inscenizacji), pan Wojciech Czerny (konsultacja historyczna i oprawa muzyczna), pani Ewa Widło (dekoracje). Wystawę zorganizowały panie Monika Czesak i Donisława Golonka.

W kilku scenach ilustrujących ważne wydarzenia w życiu Generała: walka w legionach, tworzenie Warszawskiej Brygady Pancerno-Motorowej, budowanie głównej siły niepodległościowego podziemia - Armii Krajowej, wystąpili uczniowie z klas piątej i szóstej oraz koła muzycznego. Temat, scenariusz, aktorskie role były niewątpliwie wyzwaniem dla 12-13-latków. Postać gen. Roweckiego zagrał Michał Uczkiewicz z klasy V b – zaimponował wspaniałym opanowaniem długiej kwestii, dobrą dykcją i brakiem tremy. Nie ustępowali

mu w tej sztuce talentem i przygotowaniem Arkadiusz Budzyn z kl. VI c, Radosław Klasa z kl. Vb i Wojciech Jonak z kl. Vc. Pięknie śpiewali Mateusz Gicala z kl. VIb , A Budzyn i Julia Bieniek z kl. VIc. Wychowawczy walor przedsięwzięcia podnosi fakt zaangażowania wielu uczniów szkoły.

W drugiej części poranku erudycyjny wykład p.t. „Dziś, Jutro, Pojutrze Szarych Szeregów” wygłosił historyk Jerzy Pączek. W zakończeniu tej uroczystej i jakże patriotycznej sesji z uznaniem dla jej autorów i wykonawców wypowiedzieli się goście m.in. dr hab. Teofil Wojciechowski (IPN), który podkreślił, iż zadaniem klubów historycznych jest podtrzymywanie pamięci przez krzewienie wiedzy historycznej i przekazanie jej następnym pokoleniom Polaków.

Ewelina Mroczek

Stanisław Kobiela

Bocheński Przewodnik Literacki cz. 3

W „Bocheńskim Przewodniku Literackim" nie może zabraknąć informacji o kronikarzach, poetach którzy w XV – XVII w. pisali o odkryciu soli kamiennej w Bochni, o słynnej legendzie o pierścieniu Kingi, funkcjonowaniu kopalni soli, a także o ówczesnych podróżnikach, którzy zdecydowali się mimo obaw zjechać w otchłań bocheńskiej kopalni i pozostawili z tej podróży w głąb ziemi pisemne relacje. Wypada zacząć od znakomitego kronikarza **Jana Długosza** (1415-1480), który może do Bochni nigdy nie przyjechał, ale pisał o Bochni

w „Rocznikach czyli kronikach słynnego Królestwa Polskiego" *(Annales seu cronicae incliti Regni Poloniae),* które prowadził od 1455 r. aż do śmierci w 1480 r. i w „Księdze uposażeń diecezji krakowskiej" *(Liber beneficiorum diescesis Cracoviensis* (1470-1480). Pod rokiem 1251 odnotował w Rocznikach, że *we wsi Bochnia znaleziono złoża twardej soli, którą wydobywa się w wielkich bryłach, a w wielu miejscach tak białej, że na oglądających robi wrażenie kryształu.* Całą zasługę odkrycia soli kamiennej w Bochni przypisuje jednak księżnej Kindze, nie wdając się w rozważania, kto dokonał tego wiekopomnego odkrycia[1]. Pisze także o terenie, na którym powstała Bochnia jako o dziedzinie Wincentego, która była własnością klasztoru benedyktynek w Staniątkach, a kiedy Bolesław Wstydliwy chciał tu założyć miasto dał klasztorowi w zamian miarkę soli drobnej tygodniowo. Możemy dowiedzieć się sporo o Bochni w czasach Kazimierza Wielkiego, o słynnym pożarze miasta w 1447 w wyniku którego spłonęła znaczna część miasta, o długim okresie suszy w 1473 r., dalej o pierwszych organizatorach salin krakowskich pochodzących z Włoch: genueńczykach żupniku bocheńskim Gotfrydzie Fattinante i Peterlinusie, którzy brali udział w opracowaniu ordynacji górniczej żup krakowskich pod koniec życia króla Kazimierza Wielkiego, o ich następcach florentyńczykach Leonardzie i Antonim z bocznej linii Medyceuszów, którzy wydzierżawili od króla Jagiełły w 1425 r. żupy za ogromny, jak na owe czasy czynsz 18 500 grzywien i przeliczyli się inwestując znaczne fundusze. Wskutek interwencji rady florenckiej król Jagiełło przyjechał do Bochni w 1428 r. i kazał przedstawić rachunki z dzierżawy. Od następnego roku dzierżawcą żup został Mikołaj z Tarnawy. O wiele więcej informacji o Bochni zawarł Długosz w „Księdze Uposażeń". Bochnia jawi się jako jedno ze znaczniejszych miast w Małopolsce, parafia była bogata, działały cechy i bractwa, wśród których wyróżniało się od 1349 r. Bractwo Literackie Najświętszej Marii Panny, był szpital duchaków wraz z kościołem pw. Krzyża.

Obie kopalnie, bocheńska i wielicka od dawna (od XV wieku) były obiektem turystycznego zainteresowania cudzoziemców, ludzi wykształconych, niejednokrotnie wybitnych humanistów, którzy odwiedzając stolicę państwa polskiego Kraków uważali za obowiązek i oznakę dobrego tonu zwiedzić słynne saliny w Bochni i Wieliczce. Do naszych czasów zachowały się dwie łacińskie relacje na temat bocheńskiej kopalni soli: szwajcarskiego humanisty Joachima Wadiana i humanisty warmińskiego Jodoka Willicha z Reszla. Mają one ogromną wartość poznawczą, zwłaszcza pierwsza zawierająca własne spostrzeżenia autora. **Joachim Wadian** (1484-1551) był poetą, uwieńczonym w 1514 r. w Wiedniu przez samego cesarza laurem poetyckim (*poeta laureatus*), humanistą o wszechstronnej wiedzy, profesorem retoryki na uniwersytecie wiedeńskim, który później przeniósł się z Wiednia do rodzinnego St. Gallen w Szwajcarii. Zanim jednak to nastąpiło odbył podróż do Krakowa, a następnie *z Krakowa do Bochni, by zwiedzić saliny, dzięki życzliwości żupnika Jana Bonera, zostałem gościnnie przyjęty na zamku bocheńskim i niezwykle serdecznie potraktowany przez Jana Oleśnickiego, pana na Damianach* (Damienicach - przyp. S.K.)*, męża sławnego z cnót i wiedzy, zastępującego wówczas Bonera.* Relacja Wadiana z pobytu w kopalni jest dla nas niezwykle cenna, ponieważ jest to najstarszy opis kopalni wielickiej i bocheńskiej. Znalazł się on w komentarzu Wadiana do fragmentu dzieła rzymskiego geografa z I w. n.e. Pomponiusza Meli *De chorographia (Opis krajów),* składającego się z trzech ksiąg[2].

Mapa Pomponiusza Meli

Pomponiusz Mela opisuje Sarmację, jej położenie i naród, który tutaj mieszka. Wadianus komentując ten opis nawiązuje do tego co pisali o Sarmatach Pliniusz Starszy, Sidonius Apollinaris, Prokopiusz Antemiusz, Korneliusz Tacyt. Dochodzi wreszcie pełen zachwytu do świata sarmackich salin czyli do kopalni w Wieliczce i Bochni i pisze, że *niełatwo będzie podziwiał słynne Carrae Arabów, w pobliżu których, jak podaje Pliniusz, wznosi się budowle z bloków solnych spojonych wodą, czy też górę Oromenos w Indiach, skąd odłupuje się bloki soli jak w kamieniołomach ten, kto widział sarmacką Wieliczkę i Bochnię.* W relacji tej dostrzega różnice pomiędzy obu kopalniami poczynając od zjazdu do kopalni: *zjazd w Wieliczce odbywa się tylko jedna studnią, w Bochni wieloma, lecz najczęściej jedną, po uprzednim spuszczeniu robotników, ponieważ z innych wyciąga się wtedy bloki solne*[3], a kończąc na komforcie i poczuciu bezpieczeństwa: *W kopalniach wielickich wszystko przedstawia widok niezwykle przyjemny dla oka, bo nawet dla bojaźliwych i nie przyzwyczajonych zejście pod ziemię nie stanowi żadnego niebezpieczeństwa …chodniki są tak przestronne, że możesz iść w pozycji wyprostowanej.* W Bochni zdaniem Wadiana jest zdecydowanie bardziej niebezpiecznie: *…kiedy udają się na dół, muszą często zbaczać z drogi z powodu znajdującej się pod spodem niezmiernej głębi, gdzie co prawda, nieświadomi schodzą początkowo bez lęku, gdyż lampy oświetlają tylko najbliższe otoczenie, nie ukazując jeszcze głębokości … Jam przynajmniej, choć nierzadko*

lękałem się, będąc w niemałych niebezpieczeństwach na lądzie i morzu, nigdy więcej i w sposób bardziej oczywisty nie myślałem o śmierci niż wtedy, gdy wiedziony pragnieniem poznania bogactw natury, zstąpiłem do owej bocheńskiej otchłani; o niej jeszcze teraz myślę w ten sposób, iż mimo radości z bezpiecznego obejrzenia wszystkiego nie chciałbym więcej tego oglądać przy jakiejkolwiek sposobności. Sporo miejsca poświęca Wadian analizie soli pod kątem jej wagi, wilgotności, smaku, struktury, kruchości. I dokonuje ciekawej konstatacji. Zauważył bowiem, że w *obydwu kopalniach spotyka się jakieś błyszczące żyły, lśniące niby kryształ „klejnot soli" jak się to nazywa w nowszych czasach.* Sól ta ma szczególne zastosowanie w lecznictwie. Zwraca także uwagę na *suche, ciepłe, ostre i niezwykle przenikliwe* powietrze w obu kopalniach, *tak, że chodzący pocą się, a w Bochni nawet kopacze pracują obnażeni obyczajem Cyklopów* (z podziemnych kuźni Hefajstosa – przyp. S.K.) *odziani jedynie w buty i spodnie. Bloki soli, po przetransportowaniu do wylotu najwyżej położonego szybu, zawieszone na linie, wyciąga się przy użyciu zwierząt pociągowych obracających z wysiłkiem olbrzymie koło.* Na zakończenie swej relacji wyraża zdumienie, że *w Bochni do tak wielkiej głębokości sięgają zwarte góry solne i że dzięki poprowadzeniu chodników na tak rozległej przestrzeni zostały przekopane przy świetle kaganków podziemne skały. Nie ma tam dnia, nie ma nocy, ale jedynie ciemności bez nieba. Co więcej, panuje tak głęboka cisza, że gdy ustanie praca, zdaje ci się, że w tym miejscu przebywają duchy.*

Prawie ćwierć wieku po Wadianie odwiedził kopalnie soli w Wieliczce i Bochni humanista warmiński **Jodok Willich z Reszla** (1501-1552) lekarz, teolog, prawnik, wykładowca języka greckiego na uniwersytecie we Frankfurcie, tłumacz z języka greckiego na łacinę. Przybył do Polski w 1543 r. z poselstwem, które miało się ubiegać o rękę Heleny, córki króla Zygmunta I dla elektora saskiego Joachima II. Właśnie wtedy zwiedził Kraków i obie kopalnie, a swoje wrażenia z kopalni zadedykowane królowi Polski Władysławowi IV spisał w tym samym roku po łacinie p.t. *De salinis Cracoviensis observatio* (Wrażenia z salin krakowskich). Relacja ta nie jest tak barwna i oryginalna jak opis Wadiana. Willich korzysta z relacji swojego poprzednika, dużo tu powtórzeń: *w Bochni podobnie jak w niektórych kopalniach złota i srebra, schodzi się drabinami przez wielką ilość zakrętów na taką głębokość, iż mógłbyś sądzić, że w środku ziemi – jak powiadają poeci – ukrywają się pogrzebani Tytani, a ponadto z trudem byś zaprzeczył, że jest to Tartar… jedni z robotników obnażeni – jedynie w butach skórzanych i spodniach – żelaznymi młotami i klinami wyrębują, niby kamieniarze, olbrzymie bloki soli zwane po łacinie „micae" bądź „glebae" względnie „segmenta scammata", skąd – bez wątpienia – nazywa się je tutaj bancae" zgodnie ze zwyczajem niemieckim.* Willich skupia swoją uwagę bardziej na soli oraz na jej właściwościach leczniczych: *dlaczego sól bocheńska jest bielsza i czyściejsza niż wielicka; bocheńska zawiera, oczywiście mniejszą domieszkę żwiru i gliny, wielicka natomiast większą. ..Ta sól najbielsza jest niezwykle przejrzysta, podobnie jak kryształ, zwie się „klejnotem" i jest „iskrą solną". Bo jak prześwieca i mieni się oczko w pierścieniu lub bańka na wodzie względnie łzy w oczach, tak ona lśni wszędzie i wydaje blask, ponieważ występuje najczęściej w bardzo wielkich bryłach.* Pisze też Willich o żyłach czarnego koloru, z których sól połączona z winem stanowi doskonały środek przeczyszczający. Według niego sól w podziemnej komorze jest bardziej gorzka, a po wydobyciu na powierzchnię słodsza. Bloki solne w podziemnych komorach są lżejsze, a po wydobyciu na powierzchnie dwukrotnie cięższe. *Ponad wszelką wątpliwość rosa czyni sól smaczniejszą, wiatry północne powodują jej obfitość, a dzięki deszczom każda sól staje się słodsza; potwierdza to również świadectwo rolników, zgodnie z którym trawa dzięki rosie wydaje się bydłu słodsza.* Sól bocheńską porównuje Willich do soli z Tarentu i tłumaczy dlaczego *sól bocheńska jest bielsza od wielickiej, w Memfis czerwona, w Kappadocji szafranowa, w Baktrii w pobliżu rzeki Oxus ruda, na Etnie purpurowa, a w Luzytanii – jasno purpurowa. Kolor bowiem podobnie jak w przypadku rud metali, zmienia się zależnie od rodzaju materii i proporcji wymieszanych składników*.

Kończąc tę relację podobnie jak to napisał Wadian pisze Willich o widziadłach w kopalni*, ale tylko wówczas, gdy w niedługim czasie ma się wydarzyć jakieś nieszczęście, od którego niech Bóg zachowa! Widziadła te, niby Proteusz lub Wertumnus [4], przybierają tak różnorodne postacie, że mógłby ktoś wymienić bądź kota, bądź świnie, człowieka lub coraz to inny rodzaj istoty żywej, biegającej bez przerwy tu i tam.* Przypomina, że tych widziadeł ziemnych jest chyba sześć, ale nie zawsze są szkodliwe, czasem dają podnietę do pracy, czasem pomagają zbierając urobek do koszów, ale z reguły *żądają od człowieka, by był przezorniejszy i staranniej siebie strzegł przed przyszłym niebezpieczeństwem.*

O odkryciu soli w Bochni i legendzie o cudownym pierścieniu Kingi pisał historyk, lekarz, geograf, alchemik i astrolog **Maciej Miechowita** (1457-1523) *Chronica Polonorum* (1519), który powtórzył wzmianki Długosza. **Marcin Bielski** (właściwie Marcin Wolski 1498-1575) żołnierz, kronikarz i satyryk, dworzanin Piotra Kmity w *Kronice wszystkyego swyata* (1553) wskazuje, ze odkrycia soli w Bochni dokonano przy kopaniu przez chłopów studni. Legendę o pierścieniu Kingi przedstawia jako podanie prostego ludu. W kilkadziesiąt lat później Marcin Bielski w *Kronice polskiej Marcina Bielskiego, nowo przez Joach. Bielskiego syna iego wydanej* w 1597 r. czytamy, że istotnie chłopi przy głębieniu studni natrafili w Bochni na sól w 1251 r., ale „jak drudzy piszą" Kinga znalazła sól w Wieliczce w następnym roku 1252.

Jest to wyraźna próba określenia daty powstania kopalni w Wieliczce, która – jak pisze Józef Piotrowicz[5] już wtedy przyćmiła sławę bocheńskiej kopalni soli. O znalezieniu soli kamiennej „sallis metalla" w Bochni 1252 r. napisał kronikarz, historyk, dyplomata, teoretyk muzyki biskup warmiński **Marcin Kromer** (1512-1589) w dziele *De origine et rebus gestis Polonorum libri XXX*" infor-

mując, że bocheńska kopalnia była wzorem dla wielickiej, gdzie także przystąpiono do wycinania soli.

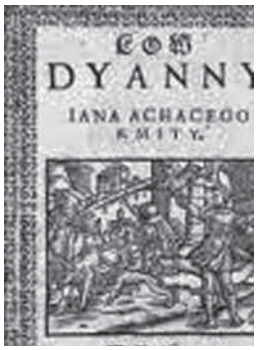

W I połowie XVII wieku opisywał Bochnię i kopalnię soli poeta polsko-łaciński, pisarz miejski, ławnik, rajca, podżupek kopalni soli, a w końcu burmistrz Bochni **Jan Achacy Kmita** (zm. w 1628 r.). Zaciekle walczył, nie tylko piórem z Żydami i miał swój haniebny udział w uzyskaniu dekretu króla Zygmunta III Wazy o usunięciu ich z Bochni w 1605 roku. W jego poetyckiej twórczości ta tematyka zajmuje dużo miejsca. W 1601 r. ukazało się drukiem jego dzieło *Ein Send Brief Abo list od Żydów do Messyasza*, w 1606 r. *Proces sprawy Bocheńskiey z Żydami o Nayświętszey Eucharystiey Sakrament od Żydów u świętokradców kupiony y cudownie okazany,* w 1605 r. *Jerycho nowe,* w 1610 r. *Talmud Abo wiara żydowska Jana Achacego Kmity nie tylko Rabinom, ale i nie rabinom potrzebny a pospólstwu krotochwilny, Summariusz przypowieści Salomonowych, w 1628 r. Lament żydów Bocheńskich dla wygnania z Bochni o Sakrament Najświętszy, w 1641 r. Rozmowa teologa z rabinem, Kruk w złotey klatce abo żydzi w świebodney wolności Korony Polskiey.* Tego rodzaju literatura miała na celu rozpalać i podtrzymywać nastroje antysemickie wśród polskiej szlachty. Zanim włączył się w nurt literatury antysemickiej Jan Achacy Kmita napisał w 1588 r. jedną z pierwszych polskich książek o tematyce łowieckiej *Łowy Dyanny*, a w poemacie heroikomicznym *Spitamegeranomachia* (1595 r.) o wojnie pigmejów z żurawiami ujawnił swoje upodobania do nadzwyczajności. Napisał także *Morocozmea babińskie* (Błazeństwa babińskie) o państwie na opak w osławionym Babinie, w którym podał żart o słynnym dzwonie z iłżeckiej gliny. W utworze *Simbola officialium et officiorum famulorumque Zuppe Bochnensis, nec non regum et zuppariorum inclutorum non nulla antiquitates* z 1605 r. zamieścił 130 epigramatów, w których jest mowa o odkryciu soli, legendzie o pierścieniu Kingi, lokacji miasta i herbie Bochni. Wykorzystał w nich objaśnienia Wadiana w komentarzu do dzieła Pomponiusza Meli.

PRZYPISY:

[1] zob. Stanisław Gawęda, *Żupy krakowskie w dziełach Długosza* w: Studia i Materiały do dziejów żup solnych w Polsce tom IX s.217-229.

[2] zob. *Dwie najstarsze relacje łacińskie o żupach krakowskich z XVI wieku* (wstęp,tłumaczenie, przypisy Anna Smaroń [w: Studia i materiały do dziejów żup solnych w Polsce t. XI s.117-137]

[3] Wadian podaje, że widział w Bochni wyciągnięte na powierzchnię bloki soli o wadze 1500 funtów niemieckich co równa się 3000 funtów rzymskich

[4] Proteusz, bożek morski, syn Posejdona, opiekun trzody fok, miał zdolność przemieniania się, Wertumnus rzymski bożek przemian wyobrażany z rogiem obfitości z owocami

[5] Józef Piotrowicz *Geneza górnictwa solnego w Polsce* w: Studia i materiały do dziejów żup solnych w Polsce tom II 1968 s.176

BOCHNIANA

Znaczy Profesor - o życiu działalności profesora Daniela Dudy.

W numerze 5 (maj) miesięcznika „Nasze Morze" ukazał się wywiad z kapitanem żeglugi wielkiej profesorem Danielem Dudą z Akademii Marynarki Wojennej, który jest honorowym ambasadorem Bochni, założycielem i aktywnym działaczem Oddziału Gdyńskiego Stowarzyszenia Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej. Profesor opowiedział o swoich związkach z Bochnią, gdzie się urodził, gdzie chodził do szkoły i dzisiaj z wielką przyjemnością, kilka razy każdego roku do niej wraca.

Państwową Szkołę Morską w Gdyni ukończył w 1955 roku. *Nauka nie była łatwa* – mówi Profesor – *panowała dyscyplina, trzeba było przykładać się do nauki, co nas zajmowało całkowicie. W szkole nie czuło się atmosfery strachu czy terroru tamtych lat stalinowskiego reżymu. Było to wielką zasługą pracującej tam kadry.*

Po ukończeniu szkoły Profesor pływał na różnych statkach w rejsach na Daleki Wschód, do Indii, Chin, aż do roku 1963, kiedy otrzymał dyplom kapitana żeglugi wielkiej. Mimo propozycji pozostania kapitanem statku i pracy w kapitanacie portu gdyńskiego wybrał karierę naukową i dydaktyczną w szkolnictwie morskim. Przez pewien czas był kapitanem portu w Gdyni, zajmował ważne stanowiska w tamtejszym Urzędzie Morskim. Na pytanie jak godził swoje piłsudczykowskie sympatie z pracą na odpowiedzialnych stanowiskach w latach PRL-u odpowiada: *Pracowałem dla kraju, dla szkolenia studentów, dla transportu. Innej Polski wtedy nie było. To nie były łatwe czasy. Starałem się tak zachowywać, abym nie musiał się potem tego wstydzić. I nie wstydzę się.*

W latach 1972-1981 był rektorem Wyższej Szkoły Morskiej, która po latach przekształciła się w Akademię Morską w Gdyni. Dzisiaj ocenia się, że był to złoty okres tej uczelni. Rozpoczęto budowę *Daru Pomorza.* Profesor wypromował 280 magistrów i magistrów inżynierów oraz 60-ciu doktorów i doktorów habilitowanych.

W epoce Gierka stocznie polskie miały świetną opinię za granicą. Podziwiano polskie statki. Budowa Portu Północnego miała ogromne znaczenie. W maju 1981 r. odbyły się w Wyższej Szkole Morskiej w Gdyni pierwsze demokratyczne wybory rektora. Prof. Duda do nich nie wystartował. Wygrał konkurs na dyrektora Szkoły Morskiej w Nigerii. Zadeklarował także pomoc nowemu rektorowi. Otrzymał godność honorowego członka senatu WSM w Gdyni. W l.1990-1998 był dyrektorem Pionu Inspekcji Morskiej Urzędu Morskiego w Gdyni.

Profesor Daniel Duda jest autorem niezliczonej ilości publikacji naukowych i popularyzatorem wiedzy o morzu. Jest prezesem Polskiego Towarzystwa Nautologicznego i uchodzi za jednego z najwybitniejszych ekspertów morskich w Polsce. Obecnie jest szefem Katedry Eksploatacji Jednostki Pływającej na Wydziale Nawigacji i Uzbrojenia Okrętowego Akademii Marynarki Wojennej w Gdyni.

Na pytanie o stan dzisiejszej polskiej gospodarki morskiej odpowiada: *Wbrew panującej opinii uważam, że nie jest tak tragicznie. Warto zauważyć dobre rzeczy. Przede wszystkim porty. Powstaje jakiś porządek, jakaś specjalizacja, na przykład kontenery, czy sprawy zbożowe, chemikalia. W ostatnim roku Gdańsk osiągnął 27 mln ton ładunków – jest skok. Tu stajemy się potęgą. Powstaje gazo port, a Akademia Morska w Szczecinie tworzy specjalizację w tym zakresie. Szkolnictwo morskie rozwinięte jest nad wyraz. Jest nowa generacja statków ratowniczych. Trochę dzieje się w stoczniach, mimo, że dwie największe upadły, ale niektóre dają sobie doskonale radę: Stocznia Północna i Gdańska Stocznia Remontowa. Ale też Nauta. Największą bolączką jest szczupłość naszej floty. PŻM rozbudowuje flotę i dobrze jej to idzie. Ubolewam natomiast nad tym, że Polskie Linie Oceaniczne, kiedyś potęga w ilości posiadanych jednostek, nie przedstawia dzisiaj większej wartości.*

Profesor Daniel Duda jest aktywnym członkiem Związku Piłsudczyków, popularyzuje wiedzę o Marszałku i przyznaje, że w czasach jego dzieciństwa panowała w domu patriotyczna atmosfera. Żywa była pamięć o Bochniakach walczących w legionach, w wojnie polsko-ukraińskiej, obronie Lwowa i wojnie polsko-bolszewickiej. W mieście jego dzieciństwa jest klimat do pielęgnowania tych tradycji. S.K.

O „Wiadomościach Bocheńskich"

Pan Łukasz Panek z Bochni obronił w czerwcu b.r. z wynikiem bardzo dobrym na Wydziale Historii i Dziedzictwa Kulturowego Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie pracę licencjacką p.t. *Czasopismo „Wiadomości Bocheńskie" w latach 1989-2000.* Promotorem pracy jest ks. prof. dr hab. Bogdan Stanaszek. Autor przedstawił najpierw genezę pisma, a więc środowisko naszego Stowarzyszenia od 1936 roku, pierwsze próby wydawnicze w formie powielanych „Komunikatów" redagowanych społecznie w latach 1961-1972 przez prof. Piotra Galasa i red. Jerzego Freudenheima, okoliczności w jakich środowisko Stowarzyszenia zdecydowało się na wydawanie kwartalnika w warunkach likwidacji urzędu cenzorskiego i transformacji ustrojowej.

Zaprezentował następnie charakterystykę czasopisma, a więc jego program, skład redakcji, autorów artykułów, stwierdzając, że jest to grupa niejednorodna, w większości ludzie z wyższym wykształceniem humanistycznych i technicznym pochodzących z różnych stron Polski i świata: *Autorami wspomnień byli uczestnicy lub świadkowie opisywanych w artykułach wydarzeń, albo ich dzieci. Dzięki aktywności redakcji udało się zgromadzić ciekawy zbiór opracowań, które interesująco, czasem bardziej precyzyjnie lub w innym świetle niż do tej pory ukazują wydarzenia i ich tło* – pisze Autor.

Dużo miejsca w pracy zajmuje omówienie tematyki wspomnieniowo-historycznej. Autor podkreśla, że wiele zamieszczonych wspomnień ma ogromne znaczenie dla historyków, ponieważ utrwalają one ważne, a nieznane wydarzenia, jak np. wejście Rosjan do Bochni w 1914 r. i ich ponad 2 tygodniowy pobyt, wspomnienia z pałacu nad Bajkałem księżnej Orłow w czasie rewolucji bolszewickiej (późniejszej żony dyrektora Języka w Bochni, który wyrwał ją z tego morza krwawej rewolucji), zapiski wojenne pani Marii Odyniec obejmując lata 1942-1943 i stosunki służbowe i erotyczne w kopalni soli w Bochni w czasie okupacji, sylwetki Niemców w bocheńskiej salinie. Niezwykłą wartość mają wywiady z dr Urszulą Wińską o postawie Polek w obozie koncentracyjnym w Ravensbruck, z Tadeuszem Gondkiem, uczestnikiem bitwy pod Monte Casino, z Józefem Wieciechem (Tamarowem), który dokonując z grupą dywersyjną ZWZ-AK w Bochni brawurowego wdarcia się do wiśnickiego więzienia uwolnił wszystkich więźniów politycznych w 1944 roku, z prof. Wacławem Kortą o pracy przymusowej w Baudienście w Bochni. Dużą wartość mają wspomnienia Leona Mączki o przedwojennej służbie wojskowej w Polsce i pobycie w niemieckim obozie jenieckim, albo cykl artykułów żyjącego wówczas prawie 100-letniego prof. Romana Stopy - światowej sławy językoznawcy-afrykanisty o nauce w bocheńskim gimnazjum i pracy naukowej w Afryce w czasie której rozpoznał język mlasków u Pigmejów. Za ten cykl artykułów redakcja W.B. otrzymała podziękowanie od rektora UJ prof. Franciszka Ziejki w 1996 r.

Omawiając opracowania poświęcone historii autor zwraca uwagę na rzucenie nowego światła na nieznane fakty z dziejów Bochni i okolic. Wśród takich tematów wymienia cykl „Bochniacy na szlaku legionowym", artykuły o losach „uwięzionych obrazów" Jana Matejki w Wiśniczu w czasie wojny, o żonie „Ognia" ukrywającej się przed UB w Bochni w 1946 r., o wykolejeniu się trzech niemieckich pociągów w lutym 1943 r., które to wydarzenie kłamliwie było przedstawiane przez propagandę PRL jako największa akcja zbrojna Gwardii Ludowej w Małopolsce, o Tymczasowym Komitecie Rewolucyjnym w Bochni w 1956 r. o Żydowskiej Organizacji Bojowej w Kopalinach w 1944 roku, o Orlej Perci ks. Walentego Gadowskiego oraz o herbie Bochni.

Interesująca jest także problematyka kulturalna i społeczno-gospodarcza - stwierdza Autor. Potwierdza swoje spostrzeżenia wskazując na cykle: „Przewodnik PTTK proponuje", „Demony Chronowa", oraz serię artykułów w związku z uwieńczonym sukcesem staraniami prof. Stanisława Pachuty i Oddziału Warszawskiego o uzyskanie przez bocheńską kopalnię soli statusu pomnika historii. Autor pisze o aktywności Stowarzyszenia na wielu polach, a szczególnie w ruchu regionalnym m.in. w zorganizowaniu Małopolskiej Konferencji Regionalnej w 1998 r.

Na końcu pracy Autor pisze: *Takie czasopismo jak „Wiadomości Bocheńskie" jest potrzebne w każdej społeczności lokalnej czy regionalnej, ponieważ dzięki takim gazetom i ich treści, ludzie nie zapominają o swoich korzeniach i miejscu pochodzenia, a będąc daleko od swojego pierwotnego miejsca zamieszkania z wielką chęcią sięgają po takie periodyki.*

red.

Uliczna edukacja?

Nowa inicjatywa Stowarzyszenia

Niedawno pewna pani z ulicy Karola Frycza wyraziła zdziwienie, że władze samorządowe Bochni nie zadały sobie trudu poinformowania mieszkańców kim był ów Frycz i czym się zasłużył dla naszego miasta, że jest patronem tej ulicy. Została w pełni ukontentowana, gdy jedna z koleżanek z naszego Stowarzyszenia wyjaśniła, że był on malarzem, profesorem ASP w Krakowie, kostiumologiem, reżyserem teatralnym, dyrektorem Teatru im. Słowackiego w Krakowie, dyplomatą polskim w Chinach i współtwórcą Zielonego Balonika, a jako uczeń bocheńskiego gimnazjum płatał żarty i figle swoim profesorom do tego stopnia, że zamierzano wyrzucić go ze szkoły. Ponadto w 1913 r. wygrał konkurs na projekt polichromii bocheńskiego kościoła parafialnego pw. św. Mikołaja. Komisja oceniająca projekty konkursowe (Fałat, Axentowicz, Wyczółkowski, ks. proboszcz Lipiński) zachwyciła się kolorystyką jego projektu i niezwykle trafnym połączeniem stylu Młodej Polski z barokiem i rokoko wnętrz kościelnych, niestety ks. biskup tarnowski Wałęga projekt odrzucił ze względów pozamerytorycznych.

Brak wiedzy o pochodzeniu nazw bocheńskich ulic, o ich patronach i historii odczuwają mieszkańcy Bochni, chociaż na łamach „Wiadomości Bocheńskich" wielokrotnie pisaliśmy o tym, pisała o tym „Kronika Bocheńska", a Jan Flasza organizuje spacery po Bochni, gdzie również ta tematyka się przewija.

Nazewnictwo placów i ulic to ważny temat przyczyniający się do poznawania historii naszego miasta, do tworzenia emocjonalnej więzi z miastem w którym mieszkamy. Te nazwy utrwalają tożsamość regionalną i są wspaniałą wizytówką miasta, która powinna być wykorzystana w promocji naszego miasta. Gdzie w Polsce znajdziemy tak piękne i tajemniczo brzmiące nazwy jak Sutoris, Regis, Gazaris, Floris, Trinitatis, Campi, Storynka, Murowianka etc. Spacer po ulicach Bochni i odczytywanie ich nazw może być dla młodego człowieka chłonnego wiedzy o mieście, a zwłaszcza dla turysty prawdziwą przyjemnością wkraczania w nieco ezoteryczną atmosferę. Zadaniem miasta jest więc uprzyjemnienie takich spacerów przez przekazanie choćby w małej pigułce wiedzy na temat danej ulicy.

Wypróbowaną metodą, stosowaną od lat w Krakowie jest umieszczanie pod nazwą ulicy małej blaszanej tabliczki w formacie A-4, na której znajduje się podstawowa wiedza o ulicy. Są w Bochni ulice, których nazwy nie zmieniły się od ponad 500 lat (jedynie nazwę łacińską zastąpiła polska) i o tym musimy pamiętać.

Dla promocji Bochni te sprawy mają ogromne znaczenie i już w tym sezonie turystycznym takie tabliczki mogły promować Bochnię, tym bardziej, że koszt wykonania jednej sztuki wynosi ok. 20.00 zł. brutto. Stowarzyszenie nasze opracowało w maju b.r. 17 pierwszych propozycji najkrótszych informacji o ulicach Bochni, które powinny znaleźć się na blaszanych tabliczkach formatu A-4, a tabliczki powinno się umieścić pod istniejącymi już nazwami ulic. Propozycje te, których wykaz znajduje się na końcu artykułu złożyliśmy do Burmistrza Bochni w dniu 14 czerwca b.r.

Okazało się jednak, że nie jest to prosta sprawa, że miasto nie ma na to środków finansowych, że koszty wykonania i powieszenia tabliczek będzie można uwzględnić dopiero w przyszłorocznym budżecie. Ponadto będzie trzeba rozmawiać z właścicielami budynków na których te tabliczki będą zamontowane, co nie jest sprawą łatwą i przyjemną.

Trudno nam zrozumieć dlaczego miasto nie chce przyjąć tego prezentu od Stowarzyszenia? Jeśli miasta nie stać na zrealizowanie naszego pomysłu w zakresie 17-tu na razie propozycji (17 x 20 zł. = 540 zł. x 2 (po dwie tabliczki na każdą ulicę) = 1080 zł. brutto), to niech wykona chociaż 5. Myślimy, że pomysł powinien spodobać się radnym, a może niejeden ograniczył by swoją dietę radnego, aby jeszcze w tym roku tę sprawę ruszyć z miejsca? Jeśli miasta nie stać na taką kwotę i ma trudności w pozyskaniu do tego przedsięwzięcia sponsorów, to może ogłosilibyśmy kwestę na ten cel w mieście? - albo sami zrobimy zbiórkę wśród Bochniaków i damy pieniądze. Musimy jednak otrzymać pozytywny sygnał od samorządu. Jeżeli tego nie ma, to ręce opadają. W 2010 r. zgłosiliśmy pomysł na wykonanie mosiężnej makiety 2 m x 2 m „średniowieczna Bochnia w miniaturze" i ustawienie jej we wnęce rynkowej koło muzeum. To także świetny akcent promocyjny i łatwy do wykonania. I co się z tym projektem stało? Może przekazano go na makulaturę, a może leży w jakiejś szufladzie. Może komisja kultury, która powinna nakręcać takie sprawy nic o tym nie wie? (zob. Wiadomości Bocheńskie nr 2-3 (85-86) 2010 s. 37)

Nie musimy także wieszając takie tabliczki na budynkach obawiać się kłopotów z ich właścicielami. W większości przypadków tabliczki będą montowane na budynkach miejskich. W pozostałym zakresie obiecujemy naszą pomoc.

Zdajemy sobie sprawę, że przebieg niektórych starych ulic na przestrzeni setek lat ulegał pewnym zmianom, ale uznaliśmy, że taka forma przekazu, jaką proponujemy, będzie najbardziej czytelna. A oto wykaz naszych propozycji, które skonsultowaliśmy z pracownikami naukowymi Państwowego Archiwum w Krakowie paniami: Joanną Potasz i Zofią Czekalską-Sitko. Większość podanych starych nazw wymieniona jest w najstarszej księdze ławniczej *Acta scabinalia* zachowanej od 1488 r.:

1. ul. Różana

PLATEA ROSARUM wzm. 1493 r. (łac.rosa – róża) jedna z najstarszych ulic Bochni. Biegła do Rynku do Bramy Krakowskiej (Porta Cracoviensis).

2. ul. Biała

PLATEA ALBA wzm. 1488 r. (łac. albus – biały) jedna z najstarszych ulic Bochni. Główny trakt komunikacyjny średniowiecznej Bochni –od Rynku do Bramy Krakowskiej (Porta Cracoviensis).

3. ul. Gołębia

PLATEA COLOMBARUM (łac. columbus - gołąb) lub PLATEA GOLEMBYA wzm. 1521 r. jedna z najstarszych ulic Bochni. Biegła od kościoła św. Mikołaja wzdłuż murów miejskich do Górnego Rynku i Bramy Krakowskiej (Porta Cracoviensis).

4. ul. Trudna

PLATEA TRUDNA (DIFFICILIS) wzm. 1488 r. jedna z najstarszych ulic Bochni wzm.1488 r., znajdowała się kilka metrów poniżej obecnej nawierzchni, częste wylewy potoku Babicy i wpadającej do Babicy Murowianki niszczyły ulicę i utrudniały transport soli.

5. ul. Nad Babicą

BABIZA - nazwa ta wymieniona jest w bulli Gnieźnieńskiej papieża Innocentego II z 1136 r. przetrwała w nazwie potoku Babica (dł. 6 km.). Wg hipotezy jest to pierwotna nazwa osady (późniejszej Bochni).

6. ul. Sądecka

BRAMA SĄDECKA - fragment starego traktu węgierskiego. Nazwa ulicy pochodzi od miejskiej Bramy Sądeckiej (Porta Sandecensis, Brona Sandecka).

7. Plac św. Kingi

KSIĘŻNA KINGA – patronka Bochni i bocheńskiej kopalni soli, żona założyciela Bochni księcia Bolesława Wstydliwego, wg tradycji fundatorka murowanego kościoła św. Mikołaja w 1251 r.

8. ul. św. Leonarda

KOŚCIÓŁ pw. ŚW. LEONARDA - nazwa pochodzi od nieistniejącego dzisiaj drewnianego kościoła św. Leonarda i szpitala św. Leonarda wzm.1494.

9. ul. Floris

PLATEA FLORENSCA lub Florensis biegła od Dolnego Rynku do szybu FLORIS (Florencja), wzm. 1493. Szyb Floris (Florencja) odwiercony w 1430 r. za czasów żupnika Antoniego z Florencji i z jego własnych funduszy.

10. ul. Kazimierza Wielkiego

PLATEA PISTORUM (łac. pistor – piekarz) jedna z najstarszych ulic Bochni wzm. 1489. Ok. 1785 r. połączona z cesarskim traktem Wiedeń-Kraków-Lwów. Obecna nazwa ul. Kazimierza Wielkiego – od 1891 r. Kazimierz Wielki – król Polski, przyczynił się do rozwoju Bochni, kopalni soli i dobrobytu jej mieszkańców.

11. ul. Krakowska

PLATEA CRACOVIENSIS – jedna z najstarszych ulic Bochni wzm.1498, biegła przez Bramę Krakowską (Porta Cracoviensis) w kierunku Krakowa.

12. ul. Bernardyńska

KLASZTOR BERNARDYNÓW - ulica prowadziła od kościoła św. Mikołaja do klasztoru i kościoła Bernardynów (1623 - 1788)

13. ul. Świętokrzyska

PLATEA SANCTI CRUCIS (Krzyża Świętego) – wzm.1488 - nazwa pochodzi od relikwi i kościoła Krzyża Świętego (1347) oraz kazimierzowskiej fundacji przytułku i szpitala dla Górników – z inicjatywy żupnika Peterlinusa Cavallo z Genui (1357).

14. ul. Sutoris

SZYB SUTORIS – najstarszy szyb solny w Bochni, wydrążony w l. 1249-1251, związany z legendą o cudownym pierścieniu księżnej Kingi.

15. ul. Storynka

STORYNKA, ORYNKA – nazwy potoku płynącego od szybu Campi i wpadającego do Babicy

16. Rynek Główny

CIRCULIS MAIOR – powstał w wyniku drugiej lokacji Bochni w czasach Kazimierza Wielkiego

17. ul. Kowalska

PLATEA FERRIFABRORUM (łac. ferrifaber- kowal) - jedna z najstarszych ulic Bochni wzm. 1528 – Powstała na miejscu starej ulicy Trędowatych (Platea Leprozorum (łac. lepra – trąd) wzm. 1487. Cech kowali w Bochni powstał w 1316 r.

Dariusz Niemiec

W trosce o groby bocheńskich górników

30 grudnia 1875 roku przez nieostrożność zapaliły się w komorze Beusta, na poziomie Stampfer-Gussman-Fryze pod Sutorisem zapasy zmagazynowanych tam lin, smarów i drzewa. Stamtąd ogień przedostał się na znaczną cześć kopalni. Ośmiu pracujących w pobliżu górników zginęło w dymie, którego kłęby wydostawały się wszystkimi szybami na powierzchnię – pisze Stanisław Fischer w książce *Dzieje bocheńskiej żupy solnej* wydanej w 1962r. W akcji ratowniczej ściągnięto do nadszybi zewsząd ogromne ilości nawozu, aby szczelnie zamknąć wszelkie wyloty szybów i w ten sposób odciąć dostęp powierza do kopalni. Po sześciu tygodniach, chociaż dym się jeszcze gdzieniegdzie pojawiał inżynier Andrzej Furdzik i radca górniczy Edward Windakiewicz podjęli śmiałą decyzję i zjechali w dół, aby rozeznać sytuację.

Niestety na powierzchnię już nie wyjechali. Zginęli w szybie. Ratujący kopalnię ponownie zatkali nawozem wszystkie otwory i dopiero po kilku dalszych tygodniach wydobyto z kopalni zwłoki ofiar.

W czasie szalejącego pożaru ocalała znajdująca się komorze Beusta mała drewniana figurka przedstawiająca klęczącą Kingę. W Bochni i kopalni soli pamięć o tym tragicznym wydarzeniu i determinacji Edwarda Windakiewicza i Andrzeja Furdzika w akcji ratunkowej, którą przepłacili własnym życiem trwa do dnia dzisiejszego.

W podziemnej kaplicy św. Kingi znajduje się pamiątkowa tablica na której wymienieni są górnicy, który wówczas zginęli: Antoni Hamuda, Ludwig Hendzler, Szymon Herz, Wawrzyniec Kaczmarczyk, Maciej Kołodziej. Christian Koszacki, Jakób Marosek, Stanisław Misiewicz, Wincenty Siatka, Jakób Spiel oraz

C.K. starszy rada skarbu Edward Windakiewicz i C.K. radca górniczy Jędrzej Furdzik.

W 1923 r. malarz samouk Antoni Katra namalował obraz przedstawiający świętą Barbarę. W dolnej części malowidła przedstawił scenę dramatycznego pożaru w kopalni. Obraz ten o znajduje się obecnie w bocznym ołtarzu w podziemnej kaplicy św. Kingi.

Od 1976 r. patronem ulicy stanowiącej przedłużenie ulicy Orackiej jest Edward Windakiewicz, a na cmentarzu komunalnym w Bochni znajduje się pomnik poświęcony ofiarom tego pożaru. Edward Windakiewicz w chwili śmierci miał 50 lat i spoczywa na cmentarzu komunalnym w Wieliczce przy ul. Marszałka Józefa Piłsudskiego. Warto dodać, że Edward Windakiewicz, a później jego synowie Erwin i Edward odegrali ważną rolę w rozwoju górnictwa i geologii w Galicji. Napisali wiele prac naukowych poświęconych obu kopalniom bocheńskiej i wielickiej. Edward Windakiewicz junior (1858-1942) po studiach w Leoben i Pribramie pracował od 1883 r. w żupie w Wieliczce. To on zainicjował urządzenie kaplicy św. Kingi w obecnym miejscu w kopalni w Wieliczce. Po I wojnie światowej wykładał halurgię na AGH w Krakowie. Był doktorem honoris causa tej uczelni. Kiedy na posiedzeniu Rady Ministrów 1 sierpnia 1930 r. zapadła decyzja o likwidacji bocheńskiej kopalni soli z powodu wysokich kosztów eksploatacji w obronie kopalni wystąpił magistrat bocheński i Izba Przemysłowo-Handlowa w Krakowie na forum której wypowiadał się zdecydowanie za utrzymaniem kopalni prof. Edward Windakiewicz junior. W 1939 r. został aresztowany w akcji Sonderaktion Krakau w wieku 81 lat, zmarł w Krakowie w 1942 r.

Od wielu lat grobami górników - ofiar tego pożaru opiekują się górnicy ze Stacji Ratownictwa Górniczego przy Kopalni soli w Bochni składając tam co roku znicze, kwiaty i górnicze lampiony.

Tablica epitafijna ofiar pożaru znajduje się w podziemnej kaplicy św Kingi.

3 czerwca b.r. grupa górniczych ratowników: pp. Wacław Surma, Władysław Jewuła, Andrzej Janik. Bogdan Ćwik, Krzysztof Góra, Marek Smaga za akceptacją kierownika Stacji pana Dariusz Niemca i zgodą Kierownika Ruchu ZG p. Tomasza Migdasa i dyrektora Kopalni Krzysztofa Zięby uporządkowała teren przed pomnikiem Andrzeja Furdzika. Okazało się, że pod płytką warstwą ziemi i mchu znajdują się zapadnięte w ziemi nie jedna, ale trzy płyty nagrobne: Andrzeja Furdzika, Marii Furdzik i Jana Hoffmana. Osadzono je należycie na zaprawie cementowej i odnowiono odczytane na nich napisy. Wynika z nich, że Andrzej Furdzik dwa lata przed śmiercią przeżył tragedię osobistą. Inskrypcja nagrobna informuje bowiem, że Maria Furdzik zmarła 25 lutego 1873 r. w wieku 14 lat. Prawdopodobnie była to córka Andrzeja Furdzika. *Fot. Mirosław Imiołek I mechanik KSRG.*

Wydobyte z ziemi płyty nagrobne Andrzeja Furdzika i jego córki Marii

Dariusz Niemiec jest kierownikiem Stacji Ratownictwa Górniczego KS Bochnia

Wszystko na sprzedaż?

czyli stracona szansa

Za pośrednictwem internetowego portalu Bochnianin dowiedzieliśmy się, że burmistrz Bochni Stefan Kolawiński, burmistrz Nowego Wiśnicza Stanisław Gaworczyk, wójt Łapanowa Jan Kulig, wójt Żegociny Jerzy Błoniarz, wójt Trzciany Józef Nowak, wójt Drwini Jana Pająk i wójt gminy Bochnia Jerzy Lysy wystąpili 20 maja br do starosty bocheńskiego z wnioskiem o przeznaczenie pustego budynku po byłym Pogotowiu Ratunkowym przy ul. Konstytucji 3-go Maja nr 21 na siedzibę szkoły muzycznej II stopnia ewentualnie na siedzibę filii takiej szkoły. Zadeklarowali jednocześnie, że gdyby starostwo nie chciało pełnić roli organu prowadzącego taką szkołę, to organem prowadzącym mogą być te właśnie gminy. Stwierdzili, że obiekt wymaga niewielkich robót adaptacyjnych i zaproponowali wspólne sfinansowanie takiej adaptacji. Władze powiatu nie musiały by więc sprzedawać budynku. Mogły by go wynająć lub użyczyć gminom, do prowadzenia takiej szkoły artystycznej.

Istotnie gruntowny remont kapitalny został przeprowadzony bardzo starannie w latach 90-tych, przed wprowadzeniem tam Pogotowia Ratunkowego. Na przestrzeni ostatnich dwóch lat ilość szkół muzycznych I stopnia w powiecie bocheńskich wzrosła do pięciu w których uczy się obecnie około 650 uczniów, co już obecnie sygnalizuje pilną konieczność utworzenia w Bochni szkoły muzycznej II stopnia, aby absolwenci tych szkół mogli rozwijać swoje talenty na miejscu, bez potrzeby uciążliwych dojazdów do Krakowa czy Tarnowa. Takie przedsięwzięcie da-

wało by wymierne korzyści miastu i całemu powiatowi poprzez zatrzymanie tutaj uzdolnionej muzycznie młodzieży, stworzenie im ponadto możliwości artystycznego włączenia się w życie kulturalne powiatu i gwarantowałoby rozwój życia muzycznego oraz znakomitą promocję powiatu w skali kraju.

Po 64 latach powstała by w powiecie bocheńskim druga średnia szkoła artystyczna obok Liceum Plastycznego im. Jana Matejki w Nowym Wiśniczu (zał. 1947 r.) , które od lat aktywnie znakomicie wpisuje się w krąg miejscowej i powiatowej działalności społecznej.

Taka okazja nie trafia się często i doceniając inicjatywę burmistrzów i wójtów powiatu bocheńskiego należało ją w miarę szybko wykorzystać.

Starosta bocheński pismem z 25 maja b.r. odpowiedział wnioskodawcom, że *z radością przyjmuję Państwa stanowisko do wiadomości. Powstanie na terenie powiatu bocheńskiego szkoły muzycznej II stopnia to przedsięwzięcie, które stwarza uzdolnionej młodzieży oraz dzieciom możliwość dalszego rozwijania swoich umiejętności i talentów. Z zadowoleniem przyjmuję deklaracje samorządów gminnych dotyczące chęci wsparcia tego projektu.*

W dalszej części pisma poinformował jednak o konieczności dofinansowania realizacji w/w zadania. Zażądał deklaracji organów gmin do pokrycia kosztów realizacji zadania w wysokości adekwatnej do wykazanego ujemnego wyniku finansowego, uchwał w sprawie sfinansowania prac adaptacyjnych budynku, stosownych ekspertyz etc. Stwierdził ponadto, że akceptuje przeznaczenie budynku po b. Pogotowiu na ten cel, choć osobiście wolał by go sprzedać i zaproponował jeszcze trzy inne lokalizacje: w nieczynnym dwupiętrowym budynku b. hotelu przy ul. Galasa, w budynku po Studium Medycznym lub w nieczynnej części Liceum Plastycznego w Nowym Wiśniczu.

Deklaracja o „radości pana Starosty" została z sympatią przyjęta przez nasze Stowarzyszenie, które było pewne, że te lęki i obawy przed kosztami szybko znikną, że wszyscy zainteresowani pełni entuzjazmu do pomysłu zasiądą wspólnie do stołu i wypracują jasne stanowisko, że deklaracje zapadną dopiero po szczegółowej analizie problemu oraz, że dopuszczone zostaną społeczne czynniki opiniotwórcze. Wszak budynek stoi pusty od wielu lat, a więc spokojnie może jeszcze stać pusty nawet parę miesięcy, wszystko można przemyśleć i załatwić zgodnie z interesem powiatu i utalentowanej muzycznie młodzieży. Dlatego wysłaliśmy do starosty Jacka Pająka pismo z dnia 7 czerwca b.r. o treści następującej:

Szanowny Panie Starosto

Stowarzyszenie Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej z uznaniem i wdzięcznością przyjmuje inicjatywę i deklarację Pana Starosty oraz PT. Burmistrzów i Wójtów z Powiatu Bocheńskiego w sprawie utworzenia w Bochni szkoły muzycznej II stopnia. Inicjatywa ta jest zbieżna z intencjami naszego Stowarzyszenia.

Przedsięwzięcie to doprowadzi do utworzenia w Bochni regionalnego centrum edukacyjnego, promieniującego także na sąsiednie powiaty i zapewnienia kształcącej się młodzieży rozwijania swoich talentów i umiejętności.

Tradycje muzyczne w Bochni od średniowiecza są bardzo silne. Z Bochni wyrosły w ubiegłym stuleciu wspaniałe, światowej sławy i znane w środowisku muzycznym postacie kompozytorów, wokalistów, pianistów i pedagogów Franciszki Platówny, Jerzego Katlewicza, Władysławy Markiewiczówny, Jerzego Żurawlewa i Ewy Michnik.

Ogromnie cieszy nas propozycja przekazania na potrzeby tej szkoły, znaczącego od połowy XIX wieku w tradycji bocheńskiej, obiektu przy ul. Konstytucji 3 Maja (budynek dawnego szpitala i Pogotowia Ratunkowego). Obiekt ten będzie miał godnego użytkownika. Biorąc pod uwagę, że wielu uczniów

i nauczycieli będzie do Bochni przyjeżdżało z okolicznych miejscowości proponowana lokalizacja blisko dworca PKP, PKS, a jednocześnie blisko centrum Bochni i istniejącej Państwowej Szkoły Muzycznej I stopnia im. Jerzego Żurawlewa, w sposób niewątpliwy ułatwi funkcjonowanie tej placówki. Liczymy na uwzględnienie udziału naszego Stowarzyszenia w dalszych rozmowach w tej sprawie.

Na pismo to nie otrzymaliśmy żadnej odpowiedzi. Nie zaproszono nas na jakiekolwiek rozmowy w tej sprawie, chociaż liczyliśmy na takie zaproszenie, natomiast w starostwie sprawy nerwowo posunęły się do przodu. 10 dni po naszym liście do pana starosty, sprawa s p r z e d a ż y tego budynku pojawiła się na sesji Rady Powiatu w dniu 17 czerwca b.r. Dopiero na tej sesji odczytany został, leżący w biurku przewodniczącego Rady Powiatu pana Aleksandra Rzepeckiego (aż) od 25 maja b.r. wniosek o wykorzystanie tego budynku na szkołę muzyczną II stopnia i zgłoszony został od razu projekt uchwały w sprawie sprzedaży budynku przy ul. Konstytucji 3 Maja 21 w trybie przetargu ustnego nieograniczonego, który ucinał dyskusję na temat szkoły muzycznej II stopnia w Bochni. Jak podały portale internetowe uchwała została szybko przegłosowana. Za sprzedażą opowiedziało się 16 radnych, 5 było przeciw, 2 wstrzymało się od głosu.

W tej sytuacji Stowarzyszenie wystosowało list otwarty i opublikowało go na portalach internetowych „Bochnianin" i „Czas Bocheński". Znaczne jego fragmenty przytoczyła także Gazeta Krakowska:

Do Samorządowców Bochni i Powiatu Bocheńskiego
i Mieszkańców Ziemi Bocheńskiej

LIST OTWARTY

Stowarzyszenie Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej zostało zaskoczone decyzją Rady Powiatu Bocheńskiego o przeznaczeniu na sprzedaż zabytkowego budynku dawnego szpitala miejskiego w Bochni przy ulicy Konstytucji 3 Maja. Ta pochopna decyzja naszym zdaniem jest nieuzasadniona i stanowczo przeciwko niej protestujemy domagając się zmiany podjętej niejednomyślnie uchwały.

Żyjemy w wolnej Polsce i pomysłodawcy uchwały jak i radni powinni mieć świadomość, że nie wszystko im wolno. Są bowiem sprawy, które wymagają rozwagi, zastanowienia, a zwłaszcza szerokiej konsultacji społecznej. Do takich właśnie należy sprawa dysponowania zabytkowym budynkiem starego szpitala miejskiego funkcjonującego w Bochni od 1871 roku przy ówczesnej ulicy Sierosławickiej (obecnie Konstytucji 3 Maja nr 21), w którym działalność charytatywną rozwijała Kongregacja św. Wincentego a Paulo, powołana w Bochni przez proboszcza ks. prałata Franciszka Lipińskiego i burmistrza dr Antoniego Serafińskiego, a od przełomu XIX i XX wieku Siostry Miłosierdzia zwane popularni Szarytkami. W tym właśnie budynku w gronie tych Sióstr pojawiła się późniejsza błogosławiona Marta Wiecka, zajmując się z oddaniem pielęgnacją chorych.

Jest to zatem jedyne miejsce w granicach obecnej Rzeczypospolitej Polskiej, które jednoznacznie powiązać można z postacią błogosławionej i jej samarytańską posługą szpitalną. Budynek ten komponuje się więc jako sui generis sacrum i wyzbywanie się jego w drodze sprzedaży odbierane jest w naszym środowisku z niesmakiem i zażenowaniem.

Jest to tym bardziej przykra sprawa, ponieważ w nieodparty sposób kojarzy się z natarczywą, ubiegłoroczną akcją oderwania postaci Błogosławionej od tego uświęconego Jej obecnością budynku i wbrew opinii społecznej uznania przez Radę Powiatu Bocheńskiego jej za patronkę nowego szpitala przy ulicy Krakowskiej, który nosił imię wielkiego polskiego astronoma Mikołaja Kopernika, nie kojarzył się nikomu z postacią Błogosławionej, ale z instytucją wojskową, która w tamtym okresie i w okresie międzywojennym mieściła się w budynku przy ul. Krakowskiej 31 w Bochni (zob. Wiadomości Bocheńskie nr 2-3 z 2011 – list otwarty s.18-20).

Zabytkowy budynek starego szpitala miejskiego ładnie wkomponowany w bocheński pejzaż powinien służyć społeczeństwu Bochni i Ziemi Bocheńskiej. Wielkim jego atutem jest jego usytuowanie blisko centrum a jednocześnie dworca PKP i przystanków autobusowych. Mógłby więc tutaj powstać ośrodek Rehabilitacji Leczniczej, może hospicjum. Także wspólna inicjatywa burmistrza Bochni i wójtów sąsiednich gmin Nowego Wiśnicza, Trzciany, Gminy Bochnia i Żegociny utworzenia w tym budynku średniej szkoły muzycznej godna jest uznania i wnikliwej analizy. Obecnie działa już na terenie Bochni i powiatu bocheńskiego 4 lub 5 szkół muzycznych I stopnia, co świadczy o ogromnym rozwoju w tym rejonie talentów muzycznych i zainteresowaniu muzyką. Obowiązkiem władz samorządowych powinno być dostrzeżenie takiej potrzeby i zapewnienie warunków do rozwoju takiej edukacji artystycznej, tym bardziej, jeśli okoliczne gminy taką potrzebę widzą i deklarują pomoc organizacyjną i finansową, co w sposób niewątpliwy ułatwia takie przedsięwzięcie.

Stowarzyszenie Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej w piśmie adresowanym do Pana Starosty Jacka Pająka poparło tę inicjatywę, a szczególnie zadeklarowaną przez Starostę możliwość adaptacji na ten cel właśnie budynku dawnego szpitala miejskiego przy ulicy Konstytucji 3 Maja w Bochni. Całkowicie niezrozumiałe jest dla nas tak szybkie odwrócenie się od tego pomysłu, ucięcie społecznej dyskusji na ten temat i „wypracowanie" (zaledwie skromną większością głosów) stanowiska w kwestii sprzedania budynku. W tych szybkich zmianach stanowiska w tym niezrozumiałym pośpiechu brakuje staranności działania, brakuje pochylenia się nad sprawami, które świadczyły by o dalekowzroczności samorządu. Taki sposób rozmowy ze społeczeństwem można uznać za zamykanie, przez fakty dokonane, ust opinii społecznej, za doraźne łatanie budżetu powiatu kosztem rzeczy o wiele ważniejszych.

Wszystkie cele o których piszemy wyżej z wyjątkiem sprzedaży budynku i pozbycia się problemu mają duży ciężar gatunkowy, są społecznie pożądane i oczekiwane i nie da się ich zlekceważyć kolejną obietnic bez pokrycia o przeznaczeniu środków ze sprzedaży na cel społecznie użyteczny. Domagamy się zatem jak najszybszego anulowania nieprzemyślanej i budzącej tak duże kontrowersje uchwały i rozpoczęcia rzetelnej i otwartej rozmowy ze społeczeństwem na omawiane tematy. Właściwe decyzje powinny być podjęte dopiero po wnikliwym zbadaniu wszystkich okoliczności.

Za Zarząd Główny Stowarzyszenia Bochniaków
i Miłośników Ziemi Bocheńskiej
Podpisy: Stanisław Kobiela, Jan Paluch,
Ewelina Mroczek, Dorota Korta, Stanisław Dobranowski,
Mieczysław Dębski, Janina Solarczyk, Janina Kęsek,
Józef Mączka, Stanisław Broszkiewicz,
Bochnia 20 czerwca 2011 r.

24 czerwca b.r. uchwałę-rezolucję w tej samej sprawie podjęło Towarzystwo Miłośników Wiśnicza. Czytamy w niej:

Zarząd Towarzystwa Miłośników Wiśnicza przyłącza się do protestu wystosowanego przez Zarząd Główny Stowarzyszenia Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej w sprawie sprzedaży budynku po byłym Pogotowiu gdzie wcześniej mieścił się najstarszy bocheński szpital.

Uważamy, że pomysł o jego sprzedaży jest szkodliwy dla mieszkańców Bochni i całej bocheńszczyzny.

Podawane argumenty o wysokich kosztach remontu nie są oparte na żadnych analizach budowlanych. Członkom Zarządu znany jest stan techniczny tego obiektu, kwoty podawane przez Vice Starostę i Przewodniczącego Rady Powiatu różnią się między sobą o 1,5 mln złotych.

Zarząd Towarzystwa Miłośników Wiśnicza zwraca się do Stowarzyszeń nie działających dla osiągnięcia zysku o poparcie społecznego protestu w tej sprawie. Zarząd Towarzystwa Miłośników Wiśnicza wnioskuje aby w budynku po byłym Pogotowiu Ratunkowym utworzyć Szkołę Muzyczna II stopnia (Średnią Szkołę Muzyczną).

Uchwałę podpisali prezes i członkowie zarządu Towarzystwa: *Stanisław Domański, Waldemar Klasa, Stanisław Gaworczyk, Antoni Juda, Krystyna Kowalska, Józef Korta, Barbara Klasa.* Protest nasz poparli honorowi ambasadorzy Bochni: prof. dr hab. Daniel Duda kapitan żeglugi wielkiej z Gdyni, dr Tadeusz Skoczek dyrektor Muzeum Niepodległości, pan Piotr Zieliński dyrektor Galerii Wirydarz w Lublinie oraz zarządy i prezesi naszych oddziałów: w Warszawie gen. dr Tadeusz Cepak, we Wrocławiu Andrzej Migdał, w Katowicach dr Maria Kiełbińska, w Krakowie Marian Sołtys, w Wiśniczu Stanisław Domański, w Bochni Dorota Korta.

Pod koniec czerwca b.r. otrzymaliśmy odpowiedź od pana Starosty w piśmie z 29 czerwca 2011 r. znak ES. 4323.53.2011, której treść warto przytoczyć w całości:

Szanowny Panie Prezesie

Ze zrozumieniem odebrałem list, w którym zawarta jest troska władz Stowarzyszenia i Pana Prezesa osobiście o los muzykalnie uzdolnionych młodych bochnian i mieszkańców powiatu, którzy wobec braku innych możliwości, po ukończeniu jednej z kilku szkół muzycznych stopnia podstawowego na terenie naszego powiatu, dalsze nauki, z braku odpowiedniej placówki na miejscu, muszą pobierać z dala od miejsca zamieszkania.

Podzielam to przekonanie i na początku tego roku wraz z dyrektorem Państwowej Szkoły Muzycznej I stopnia Panem Krzysztofem Krawczykiem przeprowadziliśmy próbne symulacje uruchomienia na terenie naszego powiatu szkoły muzycznej II stopnia oraz związanych z tym mocnych i słabych stron takiego przedsięwzięcia. Do mocnych stron zaliczyć należy w pierwszym rzędzie niewątpliwy prestiż, jaki osiągnęłaby Bochnia i powiat wobec faktu posiadania takiego typu szkoły, jednakże nie można przejść obojętnie wobec zagrożeń, jakie generuje taki ruch.

Przede wszystkim w chwili obecnej mamy za mało chętnych, aby takie przedsięwzięcie uczynić już nawet nie opłacalnym, ale samofinansującym się. Spośród absolwentów bocheńskiej szkoły jedynie 15 osób rocznie decyduje się na dalsze kształcenie, pozostałe szkoły muzyczne, usytuowane w gminach powiatu bocheńskiego, to placówki młode, nie mogące pochwalić się jeszcze swoimi absolwentami. Brak stąd, w perspektywie kilku lat, uprawdopodobnienia dla hipotezy, że otwarta teraz taka szkoła miałaby szansę pozyskania oczekiwanej przez nas liczby osób zainteresowanych takim poziomem edukacji.

Istnienie więc takiej placówki w tej chwili to wysokie koszty przy zupełnie niewystarczającej subwencji ze strony państwa, gdyż ta liczona jest na ucznia. Bez stworzenia czytelnego mechanizmu finansowania, w który wprzągnięte musiałyby być również gminy, z terenu których pochodzić będą przyszli uczniowie nowej szkoły – całe przedsięwzięcie skazane będzie na porażkę.

Osobną sprawą jest siedziba przyszłej szkoły. Bez konsultacji z właścicielem obiektu czyli Powiatem Bocheńskim wskazano już adres – budynek b. pogotowia ratunkowego przy ul. Konstytucji 3-go Maja. To działanie <u>nieetyczne</u> (podkreślenie naszej redakcji) *i z jako takim zgodzić się nie mogę. Nie można upubliczniać takich wiadomości i działać bardziej na zasadzie faktów dokonanych, bez pytania właściciela obiektu o zdanie.*

W tej sprawie zabrałem jak Panu zapewne wiadomo publicznie głos i wskazałem inne lokalizacje, równie dobre, jeśli nie lepsze od byłego budynku pogotowia. Przypomnę: miałem na myśli b. hotel „Florian" (własność Gminy Bochnia) od lat stojący bezużytecznie, budynek b. żupy solnej (obecna siedziba Policealnej Szkoły Prac Służb Medycznych i Społecznych) – własność miasta Bochni, który już za rok opustoszeje wskutek definitywnej likwidacji szkoły przez Urząd Marszałkowski, czy wreszcie budynek wiśnickiego „Plastyka", gdzie znalazłyby się wolne pomieszczenia na potrzeby szkoły muzycznej.

Powiat Bocheński wykazuje daleko posuniętą dobrą wolę przy wszelkiego typu działaniach, które służą jego mieszkańcom i ponoszą komfort ich życia, działania te jednak muszą być oparte o zasadę poszanowania autonomii poszczególnych jednostek samorządu lokalnego wypracowane na drodze konsensusu, a nie jednostronnych oświadczeń woli.

Ufam, że takie stanowisko będzie dla Pana Prezesa i Stowarzyszenia podstawą dla dalszych konstruktywnych rozmów mających na celu realne rozwiązywanie, z korzyścią dla mieszkańców powiatu bocheńskiego, kolejnych wyzwań wynikających z dynamicznego rozwoju potrzeb mieszkańców.

Z poważaniem
Starosta Jacek Pająk

Można by więc powiedzieć, że dostało się nam od Pana Starosty, który podgrzał atmosferę: działacie nieetycznie, jesteście marzycielami odbiegającymi od rzeczywistości, nie wtrącajcie się do „naszych" spraw, do „naszych" praw i „naszych" wysokich kompetencji władzy powiatowej. Otóż wydawało się nam, że po 1989 roku społeczeństwo, z którego ta władza się wywodzi, jego poszczególne środowiska mogą i powinny w sprawach ważnych rozmawiać z władzą, nawet władzą POWIATOWĄ, a co więcej mogą tę władzę krytykować. Może w naszym pierwszym piśmie z 7 czerwca b.r. do pana Starosty kończącego się słowami: *Liczymy na uwzględnienie udziału naszego Stowarzyszenia w dalszych rozmowach w tej sprawie,* naiwnie spodziewaliśmy się zaproszenia na jakieś spotkanie na którym będziemy mogli odpowiedzieć, na te argumenty, które Pan Starosta przytoczył w swoim ostatnim piśmie, a więc:

1. w sprawie ilości absolwentów; że od kilku lat rokrocznie do szkół muzycznych II stopnia w Krakowie idzie z bocheńskiej szkoły 15 absolwentów. Gdyby zaś taka szkoła II stopnia była w Bochni, to może liczba absolwentów podwoiła by się, do tego za dwa lata doliczyć trzeba absolwentów z pozostałych szkół muzycznych I stopnia w powiecie bocheńskim. Taki model szkoły *in statu nascendi* jest wygodny, dający wystarczająco dużo czasu na dokonanie pełnej adaptacji pomieszczeń, do stworzenia stowarzyszenia muzycznego, a może fundacji wspierającej rozwój życia muzycznego w powiecie bocheńskim. Z natury rzeczy organem prowadzącym taką szkołę artystyczną powinno być starostwo, które mogłoby na ten cel pozyskiwać środki finansowe z zewnątrz m.in. unijne, ale gminy także mogłyby taką rolę pełnić.

2. w sprawie sprzedaży zabytkowego budynku nadającego się doskonale na wskazany cel ze względu na swoje położenie, a także architekturę neoklasycystycznego pałacyku. Takich obiektów jak ten, o takim charakterze, takiej historii, będący pewnego rodzaju sacrum (pracowała w nim bł. Marta Wiecka) sprzedawać się nie godzi. Powinniśmy przypomnieć, że ten pałacyk został zakupiony przez władze municypalne Bochni na własność funduszu szpitalnego, na wniosek lekarza miejskiego dr Franciszka Hoszarda od pana Ronchetego i uchwałą z 3 listopada 1871 r. Rada Miejska zatwierdziła plany i koszty nadbudowy oraz inne roboty w tym budynku w celu jego uruchomienia.

3. w sprawie kosztów adaptacji (a nie remontu kapitalnego) i partycypacji w nim poszczególnych gmin; jeżeli Zarząd Towarzystwa Miłośników Wiśnicza i portale internetowe informują, że wicestarosta i przewodniczący Rady Powiatu podają *kwoty remontu* które *różnią się między sobą o 1,5 mln złotych,* to nic więcej nie trzeba komentować. Wszystko już wiemy i możemy domniemywać w jakim pośpiechu i chaosie tę sprawę sprzedaży się forsuje i przekonuje do niej niezorientowanych radnych.

4. w sprawie nieetycznego wskazywania lokalu na szkołę, bez pytania o zdanie właściciela obiektu; otóż ten obiekt wśród trzech innych lokalizacji wskazał sam pan Starosta – jak to przedstawiły bocheńskie media. Tak też tę propozycję zrozumieliśmy wyrażając uznanie w naszym piśmie z 7 czerwca. Wprawdzie zaznaczył Starosta, że wolałby ten obiekt sprzedać, to jednak zrozumieliśmy, że poddaje się woli ludu (opinii społecznej?) i nie będzie się sprzeciwiał innym propozycjom. Obrót sprawy o 180 stopni nastąpił w ciągu 10 dni po naszym liście, bez umożliwienia nam i innym środowiskom społecznym, naukowym oraz fachowcom wypowiedzenia się na ten temat. Trudno więc stawiać nam zarzut nieetycznych działań.

Należy wyjaśnić także, że nie mogliśmy wskazywać obiektów, których powiat właścicielem nie jest, bo byłby to targ poza plecami prawowitych właścicieli. Przypominalibyśmy Sobiepana Zamojskiego z „Trylogii", który za podpowiedzią Zagłoby ofiarował królowi szwedzkiemu Niderlandy (czytaj: budynek b. hotelu, budynek po Studium Medycznym etc.). Dopiero w takim wypadku można by nam stawiać zarzuty nieetycznego działania.

Szokująca jest także postawa przewodniczącego Rady Powiatu pana Aleksandra Rzepeckiego, który na łamach Gazety Krakowskiej z 25-26 czerwca b.r. w artykule „Bochniacy przeciwni sprzedaży zabytku" uciął jakąkolwiek dyskusję słowami: *my jednak decyzji nie zmienimy...Na pewno nie będę poddawał pod głosowanie jeszcze raz tego samego tematu. Podjęliśmy słuszną decyzję!* Warto ten krasomówczy popis zapamiętać, bo przecież przewodniczący Rady nie musi łatać dziur w powiatowym budżecie, natomiast odpowiada za prawidłowe relacje władzy powiatowej ze społeczeństwem i na pierwszy sygnał, że coś w tych relacjach zgrzyta, powinien reagować, dać możliwość usłyszenia głosów i argumentów przeciwnych.

* * *

Ten swoisty obrazek obyczajowy przedstawiamy naszym Czytelnikom pod rozwagę. Odpowiedzmy sobie na pytanie czy w naszym środowisku ma jakiekolwiek znaczenie głos opinii społecznej, co oznaczają słowa partnerstwo, upodmiotowienie społeczeństwa, platforma porozumienia. Co myślą dzisiaj panie i panowie radni powiatowi zarówno ci, którzy głosowali za wnioskiem pana starosty jak i ci, którzy się mu sprzeciwiali, po usłyszeniu słów gorzkiej prawdy. Ta uchwała będzie przecież ciążyć na Radzie Powiatowej przez całe lata. Niszczy ona na całe pokolenia cenną inicjatywę, zamyka drogę do stworzenia w Bochni i powiecie czegoś dobrego dla młodzieży. Może jeszcze nie jest za późno i radni przyznając się do błędu spróbują go jeszcze naprawić wbrew temu co deklaruje pan Aleksander Rzepecki. To nie będzie rejterada, ale dowód dojrzałości i uczciwości wobec samych siebie.

Prezes Stanisław Kobiela
i członkowie Zarządu Głównego
Stowarzyszenia Bochniaków
i Miłośników Ziemi Bocheńskiej

KRONIKA

MUZEUM im. STANISŁAWA FISCHERA

Czwartkowe Spotkania Muzealne

31 marca gościem Czwartkowego Wieczoru Pamięci był prof. dr hab. Stanisław Nicieja z Instytutu Historii Uniwersytetu Opolskiego, wybitny znawca Lwowa i jego przeszłości. Spotkanie było autorską prezentacją najnowszej książki profesora *Lwów. Ogród snu i pamięci. Dzieje Cmentarza Łyczakowskiego oraz ludzi tam spoczywających w latach 1786-2010* wydanej w tym roku przez wydawnictwo MS. Niezwykle ciekawe spotkanie wzbogacone było prezentacją slajdów z tego starego polskiego cmentarza na Łyczakowie. Po spotkaniu była okazja zakupu najnowszych książek prof. Nicieji dotyczących tematyki kresowej, a szczególnie Lwowa.

14 kwietnia odbyło się spotkanie z Michałem Piotrowskim, fotografikiem dokumentalistą, naszym rodakiem z Bochni mieszkającym obecnie w Nowym Sączu. Zaprezentował temat *Paszyńskie perełki*. Paszyn to mała wioska niedaleko Sącza, niespotykany ośrodek twórczości ludowej zainicjowany przez sądeckich etnografów i miejscowego księdza. W Paszynie, w najlepszych latach działalności było około 60 artystów rzeźbiarzy ludowych i kilka malarek na szkle. Ten paszyński fenomen utrwalił Michał Piotrowski w cyklu fotografii *Paszyńskie Perełki*

26 maja prof. dr hab. Krzysztof Polek z Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie wygłosił wykład *Upadek czy transformacja świata antycznego?* Autor rozważał jak świat antyczny wpływał na kształtowanie się etnicznych, politycznych i kulturowych podstaw średniowiecznej Europy.

16 czerwca historyk sztuki Agnieszka Truś-Bakalarz, kustosz muzeum zaprezentowała temat *Wizytówka miasta? Dworzec kolejowy w Bochni i jego przemiany.* W wykładzie i prezentacji multimedialnej pokazała jakim przemianom ulegał budynek dworca i jego otoczenie na przestrzeni lat, przypomniała ludzi i ważne wydarzenia związane z tym miejscem.

Muzealia 2011

22 maja otwarta została w muzeum wystawa poświęcona Helenie Modrzejewskiej zorganizowana w 150 rocznicę jej scenicznego debiutu w Bochni w lecie 1861 roku. Na wystawie *Epizod, który stał się debiutem* zaprezentowano postać Heleny Modrzejewskiej na tle ówczesnej Bochni i jej mieszkańców. Klimat wystawy tworzyły liczne fotografie wielkiej Artystki wypożyczone z archiwum Teatru Starego w Krakowie, afisze i rekwizyty.

Kolejnym punktem programu był wykład dr Agnieszki Wanickiej z Wydziału Polonistyki UJ (Katedra Teatru) *Bochnia-Kraków-Warszawa- Nowy York. Helena Modrzejewska- cztery portrety kobiecości.* Następnie odbyły się warsztaty wywierania wpływu na innych pod hasłem *Słowo i gest czyli sztuka wymowy* prowadzone przez dramaturga, reżysera i malarza Mirosława Orzechowskiego. O godzinie 19 w tym dniu w Oratorium św. Mikołaja odbył się spektakl *Madame* w reżyserii Ewy Lachnit z udziałem aktorów scen krakowskich. W roli Heleny Modrzejewskiej wystąpiła Beata Malczewska, a Maciej Słota wystąpił w potrójnej roli: jako Karol Chłapowski, Henryk Sienkiewicz i Edwin Booth. Spektakl zrealizowano przy wsparciu: Stalprodukt-Serwis S.A. ASO Mercedes-Benz Jan Kosmowski oraz parafii św. Mikołaja w Bochni.

Koncerty

10 czerwca z okazji Dni Bochni na dziedzińcu muzeum odbył się XV już koncert z cyklu „Wirydarz pełen muzyki". Tym razem wystąpił znany zespół „Dzień dobry" z programem „Dzień dobry panie Marku" W programie obok piosenek własnych zespół wykonał wiele piosenek z repertuaru Marka Grechuty.

23 lipca pod hasłem " Musica Antiqua in Vigiliae Sanctae Cunegundis" czyli w przeddzień święta patronki górników odbył się w muzeum wieczór słowno-muzyczny *Źródła naszej tradycji.* W programie wieczoru dyrektor Jan Flasza opowiadał o związkach św. Kingi z Bochnią, Korczynem i Starym Sączem, a muzyk Ireneusz Trybulec uświetnił wieczór grą na lutni.

Wystawy

Oprócz wspomnianej już dużej wystawy poświęconej Helenie Modrzejewskiej muzeum przygotowało trzy małe okolicznościowe ekspozycje. Od 1-20 maja ekspozycja *Jan Paweł II. Pamiątki serdeczne w muzeum bocheńskim* oraz druga wystawa obrazów Adama Faglio *Motywy biało-czerwone* **.** 29 maja ekspozycja plenerowa (przed budynkiem muzeum) *Pomnik króla Kazimierza Wielkiego na Rynku bocheńskim na przestrzeni 140 lat.*

Janina Kęsek

STOWARZYSZENIE BOCHNIAKÓW

Bocheńska Rodzina Katyńska

13 kwietniu po uroczystościach wkopania dębów katyńskich przybyła do „Domu Bochniaków" duża grupa gości – rodzin katyńskich ofiar. Dokonano otwarcia wystawy katyńskiej na której pokazano fotografię oficerów pochodzących z Bochni lub powiatu bocheńskiego internowanych w obozach Kozielsk, Starobielsk i Ostaszków, a następnie z rozkazu Stalina, bez wyroku sądowego rozstrzelanych w miejscach kaźni: Katyniu, Charkowie i Miednoje. Organizatorami wystawy byli : Janina Kęsek, Stanisław Kobiela, Mieczysław Dębski, Stanisław Dobranowski, Kazimierz Kozłowski ze Stowarzyszenia, Agnieszka Gicala i Dorota Szymczyk z Państwowego Archiwum w Krakowie O/Bochnia, pan Andrzej Maywald z Wydziału Promocji U.M. Bochni. W uroczystości odsłonięcia wystawy uczestniczył burmistrz Bochni pan Stefan Kolawiński i wiceburmistrz pani Małgorzata Szczepara.

Przedstawiciele rodzin zamordowanych oficerów utworzyli przy naszym stowarzyszeniu Bocheńską Rodzinę Katyńską. Zachęcamy wszystkich bliskich żołnierzy Września, którzy zginęli w miejscach kaźni na Wschodzie o ewentualne deklaracje wpisania się na listę. Wpis na listę nie pociąga za sobą żadnych kosztów.

Wystawa katyńska w „Domu Bochniaków"

5 maja w „Domu Bochniaków" odbyło się oficjalne otwarcie wystawy katyńskiej p.t.*Bochniacy z obozów jenieckich w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie zamordowani w Katyniu, Charkowie i Miednoje.* W otwarciu wystawy wziął udział pan Jacek Pająk starosta bocheński i pan Ireneusz Sobas z wydziału Edukacji Starostwa i pani Edyta Groblicka-Kuc sekretarz Miasta Bochni. Po otwarciu wystawy przez prezesa S. Kobielę i oprowadzeniu przez kol. Janinę Kęsek interesujący wykład o zbrodni katynskiej w oparciu o listy katyńczyków wygłosił pan Dariusz Gorajczyk z Instytutu Pamięci Narodowej Oddział w Krakowie.

Szabla polska w „Domu Bochniaków"

12 maja w „Domu Bochniaków" odbyło się spotkanie z wrocławskim kolekcjonerem em. płk. p. Stanisławem Modelskim , który opowiedział o historii polskiej szabli i zaprezentował ponad 20 egzemplarzy z własnej kolekcji.

O hydrologii i higienie w „Domu Bochniaków"

17 maja w „Domu Bochniaków" odbyła się prelekcja dr med. Wiesława Tlałki pt *Hydrologia i higiena wczoraj i dziś*, w czasie którego prelegent posługując się fotografiami i wykresami pokazał jak pojęcie higieny w tym higieny osobistej zmieniało się w ciągu wieków. Sporo miejsca poświęcił także Bochni wskazując, że w XIII wieku najprawdopodobniej w Bochni zostały wybudowane dwie pierwsze w Małopolsce łaźnie.

Dorota Korta

Spotkanie ze Stowarzyszeniem Ziemi Zarzeckiej

W lipcu b.r. odbyło się w „Domu Bochniaków" drugie już spotkanie z działaczami Stowarzyszenia Ziemi Zarzeckiej, którzy w ramach wycieczki krajoznawczej zwiedzili zamek wiśnicki, a następnie Muzeum Motyli Arthropoda" w Bochni. Pełni wrażeń goście w liczbie 15 osób przybyli do „Domu Bochniaków" z panią prezes Herminą Przemyk na czele. Tutaj w miłej rozmowie z grupą Bochniaków toczyły się przy kawie i herbacie rozmowy na temat obu stowarzyszeń, wzajemnej wymianie doświadczeń. Padły też propozycje odwiedzenia Ziemi Cieszyńskiej i Pszczyńskiej w ramach rewizyty. Stowarzyszenie otrzymało wiele ciekawych interesujących wydawnictw z tamtego terenu, wśród nich starannie wydawany cyklicznie „Pamiętnik Zarzecki" w którym kultywowane są zwyczaje, tradycje i historia zalanej wodami Zapory Goczałkowickiej w 1954 r. wsi Zarzecze, która istniała od 1226 roku. Mówiono w czasie spotkania o tej tragedii wysiedlenia i rozdzielenia zarzeckiej społeczności, o wychodzących po latach błędach i bezduszności ówczesnych władz PRL-u.

Jesteśmy pełni uznania za to, że pani prezes Stowarzyszenia Hermina Przemyk i jej nieżyjący mąż podjęli tak wielki i tak niezwykle skuteczny wysiłek łączenia rodzin zarzeckich i następnych pokoleń w formie takiego Stowarzyszenia.

S. Kobiela

Średniowieczne spotkanie u Bożogrobców.

Pod taką nazwą zorganizowano spotkanie odtwórców historycznych, które odbyło się w dniach od 8-10 lipca 2011 r. w dawnej siedzibie zakonu Bożogrobców, w Chełmie nad Rabą.

Głównym organizatorem spotkania był Wójt Gminy Bochnia. Również gminne służby zapewniły i sfinansowały logistyczne zabezpieczenie imprezy. Urząd gminy zadbał także o wyżywienie rycerstwa i o strawę duchową. Pomysł takiego spotkania zrodził się w Sekcji Historycznej naszego Stowarzyszenia, której członkowie zajęli się kwestią zaproszenia grup odtwórstwa historycznego oraz przygotowania wstępnego programu imprezy. Również w trakcie jej trwania czuwali nad jej przebiegiem.

Spotkanie było ściśle datowane – XIII wiek, to znaczy, że uczestniczyć w nim mogły osoby odtwarzające wybraną postać historyczną z tego okresu. Przegląd odtwarzanych postaci przynajmniej częściowo dawał obraz ówczesnego społeczeństwa. Wśród gości byli rycerze-zakonnicy (niestety nikt nie odtwarza jeszcze Bożogrobców), ciężko – i lekkozbrojni, duchowni (w tym nawet biskup), mieszczanie i mieszczanki oraz zwykli kmiecie. Na wzgórzu zwanym „Grodziskiem", z którego roztacza się wspaniały widok na dolinę Raby, pobliskie Targowisko aż do Krakowa, rozbito warowny obóz, składający się z namiotów, pawilonów i polowych kuchni. Wszystkie używane sprzęty, zgodnie z przyjętą konwencją, musiały być replikami przedmiotów z XIII wieku. Uczestnicy spotkania to w większości znajomi rycerzy z naszej sekcji, których spotykali na podobnych imprezach w kraju i za granicą. Przybyły też osoby, z którymi kontakt nawiązano za pośrednictwem Internetu. Wszyscy byli zachwyceni miejscem, gdzie odbywało się spotkanie, niewiele osób zdawało sobie sprawę z tego, że tak ciekawy teren pod względem historycznym znajduje się tuż obok ruchliwej trasy E-4, którą wielokrotnie podróżowali. W sobotę obozowisko było otwarte dla zwiedzających, wówczas można było za zgodą mieszkańców wejść do namiotu i pooglądać znajdujące się tam sprzęty. Po południu niemal wszyscy uczestnicy przemaszerowali w pełnym rynsztunku (pomimo upału) spod starego kościoła w Łapczycy na grodzisko w Łapczycy i z powrotem. Ze względu na wysoką temperaturę i względy bezpieczeństwa nie udało się zrealizować przemarszu do samego Chełmu, tak więc część trasy rycerze pokonali jadąc wynajętym przez Urząd Gminy Bochnia autobusem. Na miejscu, w „Galerii Chełm" czekał już na nich wspaniały żurek oraz pan Janusz Paprota ze swoich wykładem o Chełmie, Łapczycy i Via Regia Antiqua. Wieczorem na chełmskim wzgórzu miała miejsce inscenizacja potyczki pomiędzy wojskami lokalnych możnowładców, a po niej nastrojowy koncert muzyki celtyckiej w wykonaniu zespołu Castle Dreams z Wrocławia. Dzień zakończyła uczta, na której serwowano pieczone mięsiwa. W spotkaniu uczestniczyło około 50 osób, a najdalszym miastem, z którego przybyli był Poznań. Impreza była zorganizowana w bardzo krótkim czasie, jak na tego typu przedsięwzięcia, ale wszystko odbyło się sprawnie i bez niespodzianek. Udało się zrealizować niemal w całości plan spotkania. Miejmy nadzieję, że ta impreza historyczno-edukacyjna na stałe wpisze się w kalendarz wydarzeń w ciekawy sposób pokazujących historię Chełmu i ziemi bocheńskiej. Ciekawej relacji ze spotkania oraz wywiadów z niektórymi jej uczestnikami można posłuchać na stronie: http://www.dzikiemiasto.net/dzikie-miasto-5-w-trzynastym-wieku-cz-1-u-ojca-rekonstruktora-czyli-zycie-chlopa-i-rycerza/ Wywiady zebrał i opracował pan Andrzej Famielec.

Jarosław Przybyło

Na brydżowych stołach Stowarzyszenia

Na półmetku długofalowego turnieju brydża sportowego o puchar prezesa Stowarzyszenia Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej po rozegraniu 24 spotkań w „Domu Bochniaków", w których uczestniczyło 32 brydżystów czołowe pozycje w prowadzonej klasyfikacji zajmują: Tadeusz Brzeski i Leszek Matusik 205 pkt, Bronisław Mucha – 191 pkt, Józef Nastałek 189,5 pkt, Honoriusz Piech, Jacek Piech, Wacław Wyżga – po 183 pkt, Jan Paluch 171,5 pkt, Jerzy Bursztyn 167 pkt, Andrzej Zawada 166 pkt. Po przerwie wakacyjnej druga tura turnieju zostanie wznowiona 5 września.

23 lipca rozegrano kolejny IX mecz szachowo-brydżowy Wieliczka-Bochnia organizowany na cześć św. Kingi patronki miast solnych Bochni i Wieliczki. Główne trofeum Pierścień Solny św. Kingi zdobyli tym razem zawodnicy Wieliczki wygrywając w meczu szachowym 7 : 5 i remisując w brydżu spor-

towym 15 : 15. Drużynę szachową reprezentowali: Mateusz Zając, Bartosz Ślęczka, Konrad Buś, Łukasz Czaplak, Krzysztof Kuta, Marcelina Tracz. Najwięcej punktów zdobyli: Mateusz Zając i Łukasz Czaplak. Drużyna Bochni: Karol Marzec, Marcin Tyrka, Jacek Tyrka, Edward Dorociński, Krzysztof Sowiński, Justyna Krcil. Dwa zwycięstwa odniósł Marcin Tyrka. Uczestnicy teamów brydża sportowego Wieliczki: 1 para: Tadeusz Kubik, Wacław Śliwa, 2 para: Stanisława Szewczyk, Wojciech Kozubski. Teamy Bochni: 1 para: Jan Paluch, Stanisław Majta, 2 para: Bronisław Mucha, Wacław Wyżga. Dwumecz zorganizował Klub Przyjaciół Wieliczki pod patronatem Burmistrza miasta i gminy Wieliczka przy dużym zaangażowaniu przewodniczącej Klubu Jadwigi Duda i wsparciu Jana Palucha wiceprezesa Stowarzyszenia Bochniaków (opr. Jan Paluch)

Działalność Towarzystwa Miłośników Wiśnicza

(opr. Józef Korta)

Rocznica uchwalenia Konstytucji 3-go Maja

Tradycyjnie w Święto Uchwalenia Konstytucji 3-go Maja zgromadzili się liczne na zamku Kmitów i Lubomirskich mieszkańcy miasta i gminy Nowy Wiśnicz. Po odegraniu hymnu wiśnickiego odbyła się msza święta celebrowana przez proboszcza Krzysztofa Wąchałę, podczas której śpiewał chór „Canon" pod kierownictwem Stanisława Domańskiego. Przybyły poczty sztandarowe wśród nich poczet sztandarowy TMW, laureaci Herkulesa Wiśnickiego, władze samorządowe. Po nabożeństwie odbył się w sali rycerskiej jubileusz 30-lecia Muzeum Pamiątek po Janie Matejce w Koryznówce, prowadzonego od początku przez panią Marię Serafińską Domańską, która jest honorowym obywatelem Wiśnicza oraz odsłonięcie obrazu „Bitwa pod Grunwaldem", wykonanego techniką haftu krzyżykowego w skali 1 x 1, w formacie 4,26 x 9,87 cm. sprowadzonego specjalnie na ten jubileusz. Wykład o Janie Matejce wygłosił prof. ASP Stanisław Rodziński. Przemawiał także pan Adam Bartosz dyrektor Muzeum Okręgowego w Tarnowie oraz pan Stanisław Gaworczyk burmistrz Wiśnicza, który był jednocześnie gospodarzem na zamku i wspólnie z TMW i Muzeum Koryznówka organizatorem spotkania.

Wiśnickie majówki

W maju b.r. grupa wokalna TMW organizowała – w celu podtrzymania tradycji religijnej – wspólne śpiewanie pieśni maryjnych pod figurami Matki Bożej w Łomnej i na wzgórzu zamkowym. W śpiewaniu tych pieśni i modlitwach uczestniczył ksiądz Adam.

Czarna księga wiśnickich złoczyńców

8 czerwca b.r. z okazji 395 lecia Nowego Wiśnicza, który założony został przez króla Zygmunta III Wazę - 8 czerwca 1616 r. odbyła się prezentacja książki prof. Wacława Uruszczaka z UJ p.t. *Księga czarna złoczyńców sądu Kryminalnego 1665-1785).* Po spotkaniu można było zakupić to wydawnictwo i poprosić o autograf Autora.

Rocznica egzekucji Polaków w Wiśniczu

9 maja br pod pomnikiem „Tęcza Wolności" na Wzgórzu Zamkowym w Wiśniczu odbyła się podniosła uroczystość uczczenia pamięci 10-ciu ofiar rozstrzelanych przez Niemców, w lesie nad więzieniem w dniu 5 czerwca 1940 roku. Wśród rozstrzelanych byli m.in. ks. Ferdynand Machay, Władysław Bobilewicz, Jerzy Liban. Po wspólnej modlitwie za wszystkich zmarłych i pomordowanych w latach II wojny światowej złożono kwiaty i zapalono znicze. Następnie uczestnicy uroczystości przeszli do Koryznówki, gdzie po ucieczce z KL Auschwitz przebywał rotmistrz Witold Pilecki, późniejszy uczestnik Powstania Warszawskiego, oficer II Korpusu gen. Andersa we Włoszech, aresztowany w okresie terroru stalinowskiego i zamordowany w więzieniu mokotowskim w Warszawie 25 maja 1948 roku. To tutaj w jakiś symboliczny sposób splotły się losy i dokonania dwóch wielkich Polaków Jana Matejki i Witoda Pileckiego – mówił pod tablicą poświęconą pamięci Rotmistrza burmistrz Wiśnicza Stanisław Gaworczyk i Maria Serafińska-Domańska.

W trzeciej odsłonie uroczystości na cmentarzu więziennym w Leksandrowej odbyła się msza święta w intencji zamordowanych w czasie II wojny światowej na Ziemi Wiśnickiej koncelebrowana przez ks. proboszcza Krzysztofa Wąchałę i ks. Mateusza ze Zgromadzenia Księży Filipinów z Tarnowa, który przypomniał postać ks. Ferdynanda Machaya. Został on zdradzony przez osoby, które się u niego spowiadały, był więźniem Montelupich. Ks. Machaya przed męczeńską śmiercią ukląkł i zrobił na piersiach znak krzyża.

Małopolskie Święto Ludowe w Wiśniczu

19 czerwca odbyła się uroczysta msza święta w intencji Ojczyzny i Ruchu Ludowego, koncelebrowana przez ks. proboszcza K. Wąchałę i ks. dr Kozioła kapelana ludowców w województwie małopolskim. W uroczystości uczestniczyło ok. 60 pocztów sztandarowych. Obecni byli przedstawiciele najwyższych władz: wiceminister Kosiniak-Kamysz, Marek Sowa – marszałek Sejmiku Województwa małopolskiego i Wojciech Kozak - wicemarszałek, posłowie RP: Bronisław Dudka i Andrzej Sztorc, Janusz Żmija rektor Uniwersytetu Rolniczego w Krakowie, Roman Kotowicz – prezes ZP PSL w Bochni, Ludwik Węgrzyn – radny Powiatu Bocheńskiego i inni. Odśpiewano Rotę. Odznakę „Złotej Koniczynki" otrzymał pan Waldemar Krakowski członek TMW. Następnie odbyły się występy zespołów artystycznych. Jako pierwsza wystąpiła kapela „Królewianie" prowadzona przez pana Albina Kiełtykę.

Wisnicki Weekend Brydżowy o puchar Burmistrza Wisnicza

TMW zorganizowało w dniach 2-3 lipca 2011 r. VII już turniej brydża sportowego o puchar Burmistrza Wiśnicza. Odbywał się on na sali rycerskiej zamku wiśnickiego i zgromadził wielu sympatyków brydża z całej Polski – 127 uczestników. W turnieju „Barometr" wystąpiło 27 duetów brydzowych, a zwycięskie pary to: Jacek Kostur-Zdzisław Reczek (Małopolska) 64,04%, Eugeniusz S.-Piotr Małkiewicz (Małopolska) 61,12%, Stanisław Prokuszki – Piotr Markiewicz (Tarnów) 60,75 złl.

Paweł Kowalski-Hubert Urban (Suchedniów) 58,28%, Leszek Jaworski (Gliwice) – Adam Pietrzak (Bytom) 56,35%, Józef Korta – Henryk Kowalczyk (Nowy Wiśnicz) 55,72%.

W turnieju o Puchar Burmistrza Wiśnicza wystąpiło 6 drużyn; a zwycięstwo odniosły: 1. Podbeskidzkie – Leszek Jaworski (Gliwice) , Tomasz Kłys (Szczyrk), Katarzyna Parcia (Gliwice), Adam Pietrzak (Bytom) 63,68%, 2"Curde" Joanna Kotarba, Paweł Kotarba, Piotr Markiewicz, Stanisław Prokuszki – 61,67%

3 „Hetman" Aleksandra Krakowska, Waldemar Krakowski (Nowy Wiśnicz), Paweł Kowalski, Albert Urban (Suchedniów) – 59,68% oraz 49 duetów sportowych, a zwyciestwo odniosły: Bogdan Sukiennik-Regina Sukiennik

(Kraków) – 64,78%, Jacek Czajkowski – Stefan Skowron (Tarnobrzeg) – 60,30%, Andrzej Borek-Marek Adamczyk (Rabka-Zdrój) – 59,75%, Renata Wajdowicz-Wojciech Hyenar (Tarnobrzego) – 59,23%, Kazimierz Gałak (Kraków) – Andrzej Tyszownicki (Rabka-Zdrój) – 59,92%, Mariusz Kita – Bogusław Lisiecki (Tarnów) – 58,40%. Rozdano zwycięzcom puchary i nagrody rzeczowe ufundowane przez TMW i innych sponsorów m.in. Bank Spółdzielczy Rzemiosła w Nowym Wiśniczu. Sędziami turnieju byli: panowie Rusak i Sagan.

Wycieczka TMW do Krakowa

16 lipca b.r. odbyła się autokarowa wycieczka do Krakowa. Zwiedzono Sanktuarium w Łagiewnikach, Sanktuarium na Skałce, Drogę Królewską, Kościół Mariacki i podziemny rynek – mulitimedialne, interesujące muzeum pod płytą rynku. Podkreślić należy znakomitą organizację wycieczki przez TMW, a szczególnie kol. Waldemara Klasę i jego małżonkę.

Spływ kajakowy imienia Dwóch Generałów

12 lipca b.r. Oddział Wrocławski zwrócił się do Zarządu Głównego z propozycją zorganizowania spływu kajakowego Rabą od Pierzchowa - miejsca urodzenia gen. Jana Henryka Dąbrowskiego do Bratucic - miejsca urodzenia gen. Leopolda Okulickiego. Poinformował, że rzeka Raba łączy te dwie miejscowości. Taka impreza ma ogromny walor promocyjny dla powiatu bocheńskiego, i gdyby była odpowiednio rozreklamowana wcześniej mogłaby ściągnąć tutaj sporą liczbę miłośników sportów wodnych.

Musimy sprawdzić, czy Raba jest na tym odcinku spławna i bezpieczna pod kątem organizacji takiej imprezy masowej. W takim przypadku na wiosnę 2012 r. można by się pokusić o zorganizowanie pierwszego takiego rajdu.

Andrzej Migdał

List od pani prof. Olgi Chylowej z Kęt

W czerwcu b.r. otrzymaliśmy od pani prof. Olgi Chylowej z Kęt cenną przesyłkę. Obok serdecznego listu do Stowarzyszenia jest w niej sześć wierszy prof. Zdzisława Zajączkowskiego (1894-1941), profesora bocheńskiego Gimnazjum, b. legionisty, zaangażowanego w tajne nauczanie i działalność konspiracyjną w Bochni od 1939 r. i więźnia KL Auschwitz, pisane w okresie legionowym pod pseudonimami Andrzej Stary, Stary, Wilk. Pani Profesor załączyła notę biograficzną o prof. Zajączkowskim, który był jej wujem.

W nadesłanych materiałach jest także korespondencja z Instytutem Polskim i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie oraz praca Olgi Chylowej pt. Profesor Tadeusz Milewski we wspomnieniach przyjaciół i uczniów opublikowana w pracy: „Językoznawstwo historyczne i typologiczne. W 100 lecie urodzin prof. Tadeusza Milewskiego" w tomie LXXXVI Rozpraw Wydziału Filologicznego Polskiej Akademii Umiejętności, Kraków 2008. W pracy tej jest interesująca wzmianka o działającym przed wojną przy Uniwersytecie Jagiellońskim Akademickim Kole Ziemi Bocheńskiej. Prof. Tadeusz Milewski był więźniem Sonderaktion Krakau w KL Sachsenhausen i KL Dachau 6.XI.1939-29.XI.1940.

V Zjazd Bursaków

13 sierpnia b.r. w Bochni odbył się V Zjazd Bursaków czyli wychowanków Bursy prowadzonej przez ś.p. ks. profesora Antoniego Czaplińskiego, w którym uczestniczyły 22 osoby. Bursacy zrzeszeni są w Stowarzyszeniu Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej. Mszę Świętą w kościele szkolnym odprawili z okazji 30 rocznicy śmierci ks. Czaplińskiego księża Kazimierz Góral, Franciszek Gondek, Kazimierz Trybuła i Tadeusz Kukla. Uczestniczyła rodzina ks. Czaplińskiego: bratankowie p. Jan Czapliński z żoną i siostrzenicą (z Krakowa) oraz p. Marek Czapliński z żoną (z Wrocławia). Słowa powitalne do zebranych skierował ks. dr Zdzisław Sadko proboszcz i kustosz Bazyliki Mniejszej p.w. św. Mikołaja. Pani Janina Kęsek w krótki wykładzie przypomniała historie bursy. Uczestnicy zjazdu złożyli kwiaty na grobie ks. Czaplińskiego, zapalili znicze i odmówili modlitw. Prezes Stowarzyszenia przekazał dla uczestników ostatnie numery „Wiadomości Bocheńskich".

Kazimierz Kozak

Pod pomnikiem załogi Liberatora

12 sierpnia b.r. w Nieszkowicach Wielkich pod pomnikiem bohaterskiej załogi Liberatora, zastrzelonego przez Niemców w nocy z 14/15 sierpnia 1944 r. odbyła się uroczystość zorganizowana przez Gminne Centrum Kultury, Czytelnictwa, Sportu i Rekreacji Gminy Bochnia. Po mszy świętej składano kwiaty i wieńce pod pomnikiem, a młodzież ze Szkoły Podstawowej Nieszkowicach Wielkich dała piękny program artystyczny. Stowarzyszenie reprezntowali: Dorota Korta, prezes Oddziału Bocheńskiego i Stanisław Kobiela prezes ZG.

Nekrologii

Z żalem żegnamy kol. lek.med. Krystynę Królińską-Gądek ur. 28 kwietnia 1930 r. w Sosnowcu, we Wrocławiu ukończyła studia medyczne i przez wiele lat pracowała jako specjalista ginekolog-położnik w Szpitalu Położniczo-Ginekologicznym im. Madurowicza i w Przychodni Przyszpitalnej we Wrocławiu, w w latach 80-tych w Przychodni Konsultacyjnej ginekologiczno-onkologicznej dla dzielnicy Krzyki. W latach 1985-88 szkoliła i nadzorowała młodych cytologów. Była01 ekspertem Wojewódzkiej Komisji Poborowej w zakresie swojej specjalizacji, lekarzem poradni ginekologicznej Spółdzielni Pracy lekarzy Specjalistów i Stomatologów VITA we Wrocławiu, współautorem wielu prac naukowych, wyróżniona medalem 40-lecia PRL i resortowymi odznaczeniami. Interesowała się teatrem, literaturą, Ziemia Bocheńską, turystyką. Jej mąż mgr inż. Karol Gądek, budowniczy dolnośląskich dróg i mostów był naczelnikiem Wydziału Drogowo-Mostowego Zarządu Dróg Publicznych we Wrocławiu i był także wieloletnim działaczem Oddziału. Cześć Jej Pamięci.

Zarząd Główny i Oddział Wrocławski Stowarzyszenia

Nagroda Orkana dla Stanisława Bukowca

Jednym z tegorocznych laureatów prestiżowej Nagrody im. Władysława Orkana został Stanisław Bukowiec , od kilku miesięcy - zastępca wójta gminy Bochnia. Doceniono jego wysiłek, związany z przygotowaniem i wydaniem serii pięknych i niezwykle cennych - a i cenionych - książek , poświęconych ochotniczym strażom pożarnym . Składa się dziś na nią już

9 bogato ilustrowanych albumów , dokumentujących szczegółowo dzieje i współczesność tych tak ważnych i cieszących się społecznym szacunkiem organizacji w setkach wsi kilku powiatów Małopolski , a także w mazowieckim powiecie Łuków . Ostatni ukazał się kilka tygodni temu i prezentuje Straże powiatu proszowickiego . W planach - dalsze pozycje tego typu. Warto podkreślić , iż serię tę rozpoczęła przed pięciu laty księga poświęcona Strażom we wsiach powiatu bocheńskiego , a jedną z kolejnych poświęcono OSP sąsiedniego powiatu brzeskiego.

Nagrody przyznano po raz 9. Ustanowił je działający w Warszawie Instytut im. Orkana , a jednym z jej inicjatorów był ówczesny wicepremier , obecnie poseł do Parlamentu Europejskiego - Jarosław Kalinowski. Do dziś jest zresztą członkiem jej kapituły - obok kilkunastu innych osobistości życia politycznego i kulturalnego z całej Polski. Jeden z ważnych celów Instytutu - obok najważniejszego: popularyzacji twórczości wybitnego i zasłużonego , a dziś nieco zapomnianego pisarza z niedalekiej Poręby - jest promowanie i nagradzanie twórców kultury, inspirujących się tradycjami wsi - a szerzej : prowincji - jak również działaczy te tradycje dokumentujących i popularyzujących . Do tych ostatnich zaliczono właśnie Stanisława Bukowca i słusznie , bo przecież opisywane przez niego i jego współpracowników Straże mają także w dziedzinie kultury na wsi nieocenione wręcz zasługi i do dziś odgrywają w tej mierze ogromną rolę.

Warto dodać, iż tę jego pracę doceniła także i już dwukrotnie nagrodziła Komenda Główna OSP . I podkreślić , że jako laureat Nagrody im. Orkana dołączył do grona kilku już wyróżnionych nią w latach ubiegłych mieszkańców Bocheńszczyzny : Jana Flaszy , Stanisława Kobieli , Moniki Piątkowskiej , Marii Koczary z Łąkty i Michaliny Pięchowej.

Nagrody wręczał podczas uroczystej gali w Domu Kultury w Sokołowie Podlaskim dyr. Instytutu , płk. dr Stanisław Dąbrowski , minister Rolnictwa i Rozwoju Wsi - Marek Sawicki i dyrektor warszawskiego Muzeum Niepodległości - dr Tadeusz Skoczek. Z Małopolski wyróżniono nią ponadto Zofię Bugajską , wybitnego działacza kultury z podbabiogórskiej Zawoi.

Stanisław Gawor

Andrzej Migdał (Wrocław)

O Andrzeju Launerze

18 stycznia 2011 r. w wieku 75 lat odszedł od nas kol. Andrzej Launer, wieloletni działacz Oddziału Wrocławskiego Stowarzyszenia Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej człowiek o wielostronnych zainteresowaniach i pasjach twórczych. Urodził się w Krakowie 22 czerwca 1935 r. Ojciec był przedwojennym harcerzem, drużynowym słynnej „Krakowskiej Czarnej Trzynastki", jednej z pierwszych drużyn harcerskich w Galicji, istniejącej do dnia dzisiejszego. Ojciec walczył w wojnie polsko-bolszewickiej 1920 r. Matka Zofia była nauczycielką wychowania fizycznego i przed wojną uczyła sportu w Seminarium nauczycielskim im. Klementyny z Hańskich Hoffmanowej w Bochni.

W maju 1945 r. Launerowie wraz z 10-letnim Andrzejem przyjechali do zniszczonego Wrocławia. Ojciec dostał pracę we wrocławskim magistracie, zaangażował się w pracy społecznej na rzecz sportu i był współzałożycielem I Klubu Sportowego Ślęża-Wrocław. Działał także w PCK. We Wrocławiu spędził dzieciństwo i młodość Andrzej. Zdobył zawód elektryka, udzielał się w sekcji kolarskiej WKS Wrocław, zdobył uprawnienia pilota szybowcowego i z pasją uprawiał ten sport. Pracował w Rozgłośni Polskiego Radia we Wrocławiu, potem przez wiele lat był inspektorem nadzoru budowlanego w Dyrekcji Miejskich Inwestycji Komunalnych i w miejscowej spółdzielni mieszkaniowej.

W 1967 r. ożenił się z Jadwigą, nauczycielką biologii i historii w Szkole Podstawowej nr 2 w Obornikach Śląskich i przeniósł się do tego miasta. Wierny swojemu zaangażowaniu w pracy harcerskiej działał nadal jako instruktor Hufca ZHP w Obornikach Śląskich, a w 1988 r. został komendantem drużyn dolnośląskich biorących udział w Zlocie Grunwaldzkim. Wspólnie z innymi instruktorami organizował obozy harcerskie w Borowym Młynie, Jarosławcu, Boszkowie, Wieży koło Gryfowa Śląskiego, Ścoborzu nad jeziorem Otmuchowskim, akcje zimowe na Strażnicy Wojskowej w Jakuszycach i Podgórzynie oraz liczne zimowiska. W latach 1995-1997 pełnił funkcję komendanta Hufca w Obornikach Śląskich. Przez wiele kadencji był radnym Obornik Śląskich. W 2005 r. Rada Miejska uhonorowała jego zaangażowanie w pracy społecznej medalem za zasługi i pracę twórczą.

W czasie tej pracy z młodzieżą i na spotkaniach w Oddziale Wrocławskim naszego Stowarzyszenia zawsze emanował serdecznością, ciepłem. Na wielu organizowanych przez nasz Oddział wycieczkach, biwakach, ogniskach i wieczornicach, jeszcze za prezesury śp. prof. Wacława Korty imponował wszystkim talentem organizacyjnym i doświadczeniem harcerskiem. W 2005 r. od pięciu lat ciężko chorował. Będzie nam brakowało wspaniałego Kolegi i Druha.

Andrzej Migdał jest prezesem Oddziału Wrocławskiego Stowarzyszenia Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej

Kapela „Łapanowianie” na festiwalu folklorystycznym na Węgrzech

W wiosennym numerze „Wiadomości Bocheńskich” (nr 1(88) 2011) pisaliśmy o nowej Kapeli Ludowej „Łapanowianie” pod kierunkiem pana Józefa Różyńskiego przy Centrum Kultury w Łapanowie. 30 lipca b.r. „Łapanowianie” uczestniczyli w Międzynarodowym Festiwalu Folklorystycznym w Balatonszarszo na Węgrzech. W czasie inauguracji Festiwalu Kapela nasza prowadziła ulicami tego węgierskiego miasta, w rytmie krakowiaków i polskich marszów, cały barwny korowód artystów zaproszonych do udziału w festiwalowych konkursach. W czasie festiwalowych dni wystąpiła dwukrotnie na estradzie w utworze „Tokaj” i w repertuarze polskich piosenek ludowych. Przy niemilknących brawach bisowała znaną polską piosenkę „Szła dzieweczka do laseczka” porywając do zbiorowego śpiewu publiczność, która na stojąco, rzęsistymi brawami dawała wyraz uznania dla naszych artystów i radości z ich występu. Dyplom uznania wręczył burmistrz Balatonszarszo. Wraz z kapelą przyjechał na ten prestiżowy festiwal wójt Gminy Łapanów pan Jan Kulig oraz dyrektor Gminnego Centrum Kultury pan Michał Paszkot. Kapela wystąpiła w składzie: Józef Różyński- akordeon, Jerzy Grzesik – skrzypce, Wiesław Kłuś, Bartłomiej Sacha – klarnet, Grzegorz Kapcia – kontrabas.

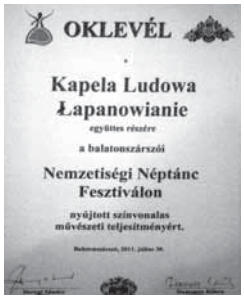

Spis treści numeru 2 (89) 2011 lato

1. Spacer po Bochni śladem bocheńskich zagadek historycznych - Stanisław Kobiela str. 2
2. Bocheńskie lata szkolne - Władysław Kłóś (Częstochowa) str. 9
3. Dęby Katyńskie w Bochni - Janina Kęsek str. 14
4. Wspomnienia z zesłania cz. 2 - Barbara Marszałek str. 15
5. Spacer po Bochni c.d. str. 15
6. Jan Jarotek i Jan Dubaniowski „Salwa” - Michał Wenklar str. 22
7. Echo okupacyjnych lat. Wywiad z panem Ryszardem Czamarą str. 25
8. Do końca aktorka. Prawdy i nieprawdy o debiucie Modrzejewskiej w Bochni Stanisław Kobiela str. 27
9. Turystyka na służbowy paszport - Zbigniew Sojka str. 32
10. Ewelina Mroczek – Pamięci Generała „Grota” str. 33
11. Bocheński Przewodnik Literacki cz. 3 - Stanisław Kobiela str. 34
12. BOCHNIANA str. 36
- Znaczy kapitan
- O „Wiadomościach Bocheńskich
13. Uliczna edukacja str. 38
14. W trosce o groby bocheńskich górników - Dariusz Niemiec str. 39
15. Wszystko na sprzedaż? str. 41
16. KRONIKA str. 45
17. O Andrzeju Launerze - Andrzej MIgdał str. 49
18. Kapela Łapanowianie na Węgrzech str. 50
19. Stopka redakcyjna str. 50
20. Spis treści str. 50

Na okładce: Budynek starej poczty w Bochni. fot. Paweł Klasa

WIADOMOŚCI BOCHEŃSKIE
KWARTALNIK STOWARZYSZENIA BOCHNIAKÓW I MIŁOŚNIKÓW ZIEMI BOCHEŃSKIEJ
Redakcja: Stanisław Kobiela – red. naczelny, Janina Kęsek, Dorota Korta, Ewelina Mroczek, Anna Londo, Anna Kowalczyk, Jan Paluch, Jarosław Przybyło.
Adres redakcji: 32-700 Bochnia, Rynek 2, Dom Bochniaków, tel. (0-14) 612-34-79,
e-mail: w.bochenskie@wp.pl, bthm@vp.pl **Strona internetowa:** www.bochniacy.pl
Przygotowanie elektroniczne i druk: Brzeska Oficyna Wydawnicza, 32-800 Brzesko,
ul. Czarnowiejska 1, tel. (0-14) 686-14-70, tel/fax: (0-14) 663-11-91, e-mail: oficyna@brzesko.net.pl

Składanie kwiatów pod pomnikiem załogi Liberatora w Nieszkowicach Wielkich 12 sierpnia 2011

Wycieczka Towarzystwa Miłośników Wiśnicza - Kraków 2011

Wystawa katyńska w Domu Bochniaków

Spotkanie ze Stowarzyszeniem Ziemi Zarzeckiej

Pani Hermina Przemyk prezes Stowarzyszenia (trzecia z prawej)